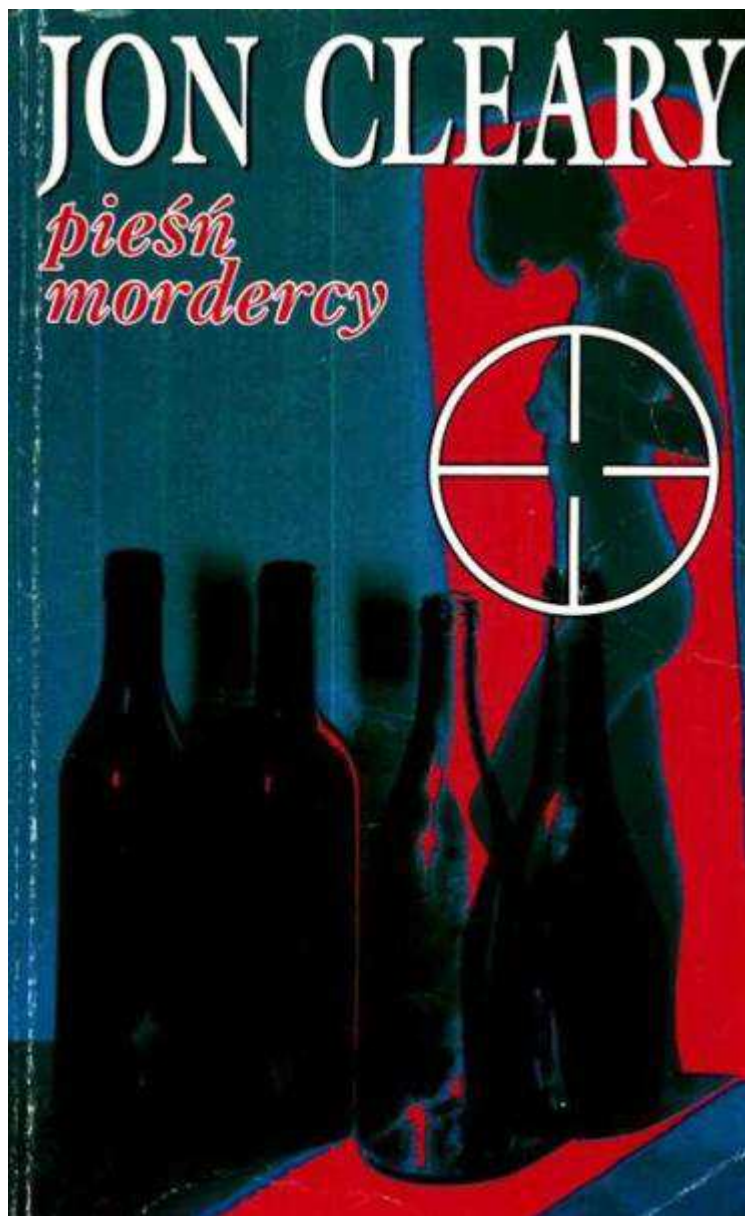


# JON CLEARY

*pieśń  
mordercy*



Młoda kobieta zostaje zastrzelona w luksusowym apartamencie w Sydney. Początkowo morderstwo wydaje się nie mieć motywu, okazuje się jednak, że zostało popełnione w mieszkaniu Boru O'Briena - bogatego biznesmena związanego ze światem podziemnym i uwikłanego w romans z żoną premiera Australii. Zabójca najpewniej pomylił cień sylwetki Mardi Jack z Boru O'Brienem. Dwadzieścia trzy lata wcześniej O'Brien i inspektor policji Scobie Malone byli kadetami w akademii policyjnej. Wkrótce z tej samej broni, od której zginęła Mardi Jack, zostaje zastrzelony kolega z ich klasy. Czyżby Malone miał do czynienia z zabójcą seryjnym mordującym kadetów z jego rocznika? Czy na liście psychopaty znajduje się i jego nazwisko?



*"Cleary jest mistrzem powieści sensacyjnej. Sceny z jego powieści "wślizgują" się tak miękko i bezszelestnie jak biegi w dobrym samochodzie."*

The Times Literary Supplement

*"Wszystkie książki Jona Cleary'ego noszą znak najwyższej jakości."*

Sunday Telegraph

  
almapress

ISBN 83-7020-118-0

JON CLEARY

*pieśń  
mordercy*

*Tłumaczenie:  
Bogusław Świątlicki*

**almapress**

*Oficyna Wydawnicza Alma-Press*

*Warszawa 1993*

Tytuł oryginału *Murder song*

Projekt okładki

*Marta i Łukasz Dziubalscy*

Redaktor

*Andrzej Naglak*

Redaktor techniczny

*Włodzimierz Kukawski*

Korektor

*Elżbieta Wygoda*

Sundowner Productions Pty Ltd 1990

for the Polish edition by Oficyna Wydawnicza Alma-Fren 1992

DRUK I OPRAWA

Zakłady Graficzne w Gdańsku

ul. Trzy Lipy 3.

tel. 32-57-69

ISBN 83-7020-118-0

**Dla Kathleen i Boba Parrish**

# Rozdział pierwszy

## 1.

Pogoda tego dnia była idealna dla pilotów, obserwatorów ptaków, fotografów i snajperów. Powietrze przejrzyste, jak to bywa w Sydney w niektóre zimowe dni sierpnia. Zachodni wiatr sprawił, że niebo nad płaskim, suchym kontynentem, przybrało piękny, błękitny odcień. Błazi mieszkańcy porozpijali kołnierze płaszczy i spoglądali na wschód, w oczekiwaniu na nadejście wiosny. Inni, zmuszeni do pracy w tych twardych warunkach, z zadowoleniem witali w te sierpniowe dni każdy powiew świeżości.

Robotnik budowlany, w kasku i grubej kamizelce ochronnej, pracował samotnie przy stalowej konstrukcji dwudziestego piętra nowego budynku towarzystwa ubezpieczeniowego na północnym przedmieściu Chatswood. Odchylony pod wiatr, zwrócony na północ, trzymał kurczowo linę zabezpieczającą, kiedy kula trafiła go prosto w pierś. Nie mógł widzieć nadlatującego pocisku - jeśli nawet krzyknął - nikt go nie słyszał. Odpadł od liny i był już trupem w momencie upadku na ziemię, z wysokości dwustu stóp.

Kilku przerażonych kolegów widziało jego upadek, ale żaden z nich nie znał w tej chwili prawdziwej przyczyny śmierci. Nikt nie szukał mordercy, nikt więc go nie widział.

Szrał mógł paść, z któregośkolwiek z pół tuzina pobliskich biurowców, lecz dziesięć po dziewiątej to pora, kiedy zarówno szefowie, jak i pracownicy pochyleni są nisko nad biurkami. Zbyt wcześnie, by patrzeć w okno.

Ofiara - Harry Gardner, szczęśliwy mąż i ojciec czwórki dzieci, nie miał na tym świecie żadnych wrogów. Żadnych, poza człowiekiem, który go zabił.

## 2.

Tydzień później, w zimny, deszczowy dzień, kiedy nikt nie mógłby powiedzieć nic dobrego o sierpniu, sierżant Terry Sugar, dwadzieścia cztery lata w służbie Departamentu Policji Nowej Południowej Walii, wysiadł z samochodu na podjeździe swego domu, gdy pocisk trafił go w szyję, przebił na ukos klatkę piersiową i utkwił w siedzeniu auta. Terry widział zabójcę, lecz nie był to nikt, kogo by znał. Zmarł niemal natychmiast, nie zdążył więc nikomu o tym powiedzieć.

Był żonaty i miał dwóch niemal dorosłych synów, studentów.

Naturalne, że jako policjant miał nie tylko przyjaciół - co jest typowym przejawem australijskiej mentalności. Od zeszłego roku urzędował jednak wyłącznie za biurkiem w Centrum Policji w Paramatta i żadna nić nie łączyła go z zewnętrznym światem przestępczym. W opinii detektywów, zajmujących się tą sprawą - choć nie mówili tego wprost - było to dzieło szaleńca opętanego nienawiścią do policji, niezrównoważonego mordercy lub ...tragiczna pomyłka.

W uroczystościach pogrzebowych wzięły udział całe rzesze policjantów, a wśród nich: inspektor Scobie Malone i detektyw Russ Clements - obaj dobrzy znajomi Terry'ego. Trumnę niosło czterech kolegów. Policyjna gwardia honorowa, komisarz John Leeds, kilku wyższych oficerów i setka nieumundurowanych policjantów; wszyscy maszerowali w kondukcje żałobnym. W czasie czterdziestopięciominutowej uroczystości w rejonie Parramatta zdarzyły się cztery włamania, dwie grabieże i próba napadu na bank.

Był kolejny słoneczny, jasny dzień, ale wiatr wiejący dziś z południowego zachodu niósł ze sobą powiew zimnego powietrza znad Antarktydy; łązy zamarały na policzkach. Dla fotoreporterów i operatorów kamer pogoda była idealna, jakkolwiek pogrzeby nie są tak wdzięcznym obiektem jak pokazy mody.

Malone, Clements i reszta uczestników rozeszli się po głównej ulicy. Na życzenie rodziny zasadnicza część pogrzebu miała się odbyć jedynie w

wąskim gronie najbliższych. Schodząc na bok, Malone zderzył się z jednym z operatorów telewizyjnych - wysokim, łysym i dość otyłym mężczyzną z brodą.

- Przepraszam - rzucił tamten i oderwał oko od wizjera kamery. - A, inspektor! Nie zauważyłem pana.

Malone nie znał jego nazwiska. Od czasu do czasu widywał go w akcji, gdy pracował nad jakimś kolejnym przestępstwem. Spojrzał na tabliczkę z nazwą sieci TV - kanał 15.

- Pokażecie to dziś wieczór?

- Możliwe.

Malone zerknął na Clementsa.

- Przypomnij mi, abym tego nie oglądał.

Reporter uśmiechnął się przez czarną, gęstą brodę.

- Rozumiem. Ale to moje zajęcie. Jak każde inne. Sam za tym nie przepadam.

- Może - odezwał się Malone. - Po prostu nie chcę, aby moje dzieci oglądały ojca idącego za trumną innego gliniarza.



# Rozdział drugi

## 1.

- Mamy więc następne - powiedziała Claire, wchodząc do kuchni.
- Co? - zapytała mama.
- Morderstwo. Spójrz na to.
- Okropne! - stwierdziła Maureen. - Znow będziemy mieli jego nazwisko w gazetach.
- Chyba założę nowy album z wycinkami - odezwał się Tom.
- Nie zaczęłaś jeszcze pierwszego - Maureen spojrzała na niego z dezaprobatą.
- No...nie, miałem zamiar ale...
- Kto tu mówił o morderstwie? - zapytał Malone. - Kto dzwonił?
- Wujek Russ - odpowiedziała Claire. - On wciąż tam wisi przy słuchawce. Mrucząc niezrozumiale, Malone podniósł się i ruszył do holu.
- Russ? Ileż to już razy mówiłem ci do cholery? Nie wspominaj o trupach przy moich dzieciach!
- Przestań się pieniść inspektorze - odezwał się Clements spokojnym głosem, w którym czuć było delikatną drwinę. - Claire ma bujną wyobraźnię. Nie wiesz po kim?
- ...Po matce. Dobrze, mów wreszcie. Mamy nowe morderstwo czy nie?
- Tak, ale ja tylko zapytałem Claire, czy wyszedłeś do biura. Wiesz jak uważam na twoje dzieci, Scobie.
- W porządku. Przepraszam. Gdzie mamy zajęcie tym razem?
- W mieście, na Clarence Street. Blok z apartamentami. Wygląda to na przeciętną sprawę - dziewczyna zamordowana jednym strzałem.

- Jeśli to takie proste, to po co dzwoniisz? Weź kogoś i jedź tam!
- Scobie - grypa położyła mi trzech facetów. Potrzebuję wsparcia.
- Inspektor pomocnikiem sierżanta? Próbujesz zepsuć mi dzień? ...No do-  
brze. Będę tam. Ale najpierw muszę dokończyć śniadanie. To przywilej zwią-  
zany ze stopniem.

Odwiesił słuchawkę i wrócił do kuchni. Było to duże pomieszczenie w sta-  
rym stylu, przypominające, pomimo nowoczesnego wyposażenia, inne czasy i  
inną kulturę. Dom zbudowany osiemdziesiąt lat temu, częściowo z kamienia,  
częściowo z czerwonej cegły, prezentował styl, który znów stawał się modny.  
Pochyły dach kryty dachówką, szeroka weranda z frontu i zdobione okapy  
podkreślały uznanie dla starego, zgoła nie nowobogackiego szyku.

Kupili ten dom osiem lat temu, a teraz był wart trzy razy tyle. Basen w  
ogrodzie, prezent od rodziców Lisy, dodatkowo podnosił jego wartość. Cza-  
sami wątpili, czy sąsiedzi naprawdę wierzyli, że jest policjantem. Podejrzli-  
wość i zawiść to cechy, które są cechą uniwersalną.

- Chyba wypiję jeszcze filiżankę kawy - odezwał się w końcu, kładąc tro-  
chę domowej konfitury - dzieła Lisy - na kawałku pełnoziarnistego pieczywa.

- Co z tym morderstwem? - zapytała dziesięcioletnia Maureen, próbująca  
udawać dorosłą. Jej świat stanowiły telewizyjne kryminały i opery mydlane.  
Myśli latały w jej głowie jak jaskółki, choć nie był to na pewno ptasi mózdzek.  
Malone czuł, że w pewien sposób wyrastała na najbardziej wrażliwą z trójki  
jego dzieci.

- Boże, dlaczego musimy mieć ojca glinę? Nie chcesz nigdy rozmawiać z  
nami o swej pracy.

- Myślisz, że Bond siedzi przy śniadaniu i dyskutuje o swojej robocie z  
wnukami?

- A papież? - zapytał siedmioletni Tom.

- Już ci mówiłem! Papież nie ma dzieci. Do jakiej szkoły ty chodzisz? Co  
robicie na lekcjach religii?

- Gramy w okręty.

- Święty Boże! A myślałem, że się tam modlicie.  
- To też - odparł Tom z nabożeństwem w głosie.  
- Wiesz, co mówi babcia o takim gadaniu?  
- Powinna pójść do Ducha Świętego któregoś dnia i posłuchać starszych dziewczyn - rzuciła Maureen.

- O Boże!

- Dobrze, że zwróciłeś wreszcie na to uwagę - odezwała się Lisa, która używała dosadnych słów tylko w łóżku i nigdy, gdy dzieci mogłyby ją słyszeć.

- Tato - wtrąciła się Claire. Miała już czternaście lat; wyrastała na piękną dziewczynę, świadomą zresztą tego. - Co z moją pięćdziesiątką? Powinnam wpłacić zaliczkę za obóz narciarski.

- Kto jedzie z wami?

- Siostra Filomena, siostra Szybki Gonzalez.

- Sześćdziesięcioletnia zakonnica na nartach? Ciekaw jestem, czy papież wie coś o tej emancypacji?

- Co to jest emancypacja? - zapytał natychmiast Tom, którego zawsze interesowały dziwne słowa.

- Zapomnij o tym. - Malone wyjął pięćdziesięciodolarowy banknot z portfela. - Obdzierasz mnie ze skóry. Pamiętam moje wakacje, kiedy pojechaliśmy do Coogie Beach.

- Chyba nie zimą - powiedziała Claire, racjonalna jak jej matka. Wzięła banknot i włożyła go z troską do swojego portfela, który jak zauważył, był grubszy niż jego własny. Odziedziczyła po nim niechęć do wydawania pieniędzy, ale w jakiś sposób zawsze była bogatsza niż on.

- Nie pozwól, byśmy zleciały się do światła - rzekła Maureen też zawsze oszczędna. - Tato, powiedz nam teraz o tym morderstwie.

- Jak pójde na emeryturę i nie będę miał nic innego do roboty. Teraz ruszajcie do szkoły.

Chwilę później, oboje wyszli przed frontowe drzwi. Patrzyli na dzieci maszerujące w kierunku szkoły. Spacer był rodzajem ćwiczenia, na które nalegała Lisa.

- To niezdrowy objaw, że one tak uparcie interesują się takimi sprawami jak morderstwa.

- A czego się spodziewasz jako ojciec, który od dziesięciu lat siedzi w wydziale zabójstw? Mogłeś poprosić o przeniesienie do służby ruchu albo administracji. Praca od dziewiątej do piątej i nie musiałybyś nosić broni. - Dotknęła wypukłej kabury, jak jakieś narośli na jego ciele.

To był drażliwy temat. Nie mógł jej za *to* winić. Gliniarze na całym świecie słyszą prawdopodobnie to samo od swoich żon i kochanek.

- Zanudziłaś się na śmierć, gdybym został urzędnikiem.

- Może zaryzykujesz? Pocałowała go, wypowiadając ostrzeżenie, które już stało się banałem: - Uważaj na siebie.

Ruszył w kierunku centrum swoim sześćioletnim *commodore*, ciężkim jak on sam w zimowe poranki. Stanowili letnią parę. Auto zaczynało okazywać swój wiek, a i on w takie dni czasami czuł swoje lata. Lekko po czterdziestce, dość szeroki w barach i wciąż w miarę szczupły, nie był już tak gibki jak wtedy, gdy grał w krykieta. Czasami odzywał się w nim młody duch, ale wiedział, że to przeszłość i tamte dni nie wrócą już nigdy. Ostatnio przyłapał się na tym, że obserwuje Lisę, wciąż świeżą, pomimo czterdziestki. I choć zaokrągliła się lekko, łaskawie dla niej - i prawdę mówiąc dla niego - mijające lata traktowały ją łagodnie.

Pokonanie drogi z Randwick, gdzie mieszkał, oddalonego od centrum o osiem kilometrów, w fali porannego szczytu zajęło mu dwadzieścia pięć minut.

Clarence Street, północna arteria centrum biznesu, jedna z czterech ulic noszących imiona dziewiętnastowiecznych książąt angielskich, była pozostałością czasów kolonialnych. Kiedyś zlokalizowano tu koszary. Knajpy i burdele były w zasięgu ręki, zapewniając określony komfort. Później wiele z tych miejsc wyczyszczono, ale część pubów pozostała. Pojawili się kupcy, zajmując lokale na składy i małe sklepiki - jedwab i satyna stały się towarem w miejsce seksu. Malone pamiętał taki skład herbaty i kawy z czasów, gdy był małym chłopcem. Zapach herbaty mieszał się z aromatem różnych przypraw. Zatrzymywał się i głęboko je wdychając marzył o Zanzibarze, Cejlonie i ciemnoskórych dziewczętach z buszu. Dojrzewał wcześniej, co było wspólną cechą zapaleńców i fanatyków krykieta - wcześniej w sensie fizycznym. Wreszcie, gdy w pobliżu powstały nowe firmy handlowe, wewnątrz budynku zamieniono na

kosztowne apartamenty.

Dwa auta policyjne zaparkowane przy krawężniku, poprzedzały dwa inne, które sądząc z rejestracji również należały do służb specjalnych - przypuszczalnie lekarz i ktoś z wydziału kryminalnego. Zaparkował swego commodore na miejscu zastrzeżonym dla zaopatrzenia i wszedł do budynku. W małym holu stał policjant.

- Dzień dobry, panie inspektorze. To na dziewiątym. Oni wszyscy już tam są - lekarz, fotograf - wszyscy.

Malone rozejrzał się wokół.

- Jest tu jakiś portier?

- Nie, inspektorze. Wszystko jest automatyczne; zamki, windy, wszystko. - Miał młodą, delikatną twarz. Wciąż na stażu, starał się być gorliwy.

- To twoje pierwsze zabójstwo?

- Tak, proszę pana.

- Na pewno nie ostatnie. Przyzwyczaisz się. Pilnuj, by wchodzili tylko nasi ludzie. I żadnych krewnych. Weź ich dane, jeśli ktoś się pokaże.

Wjechał windą na dziewiąte piętro i wszedł do mieszkania. Dwie sypialnie, pokój dzienny, mała kuchnia i jeszcze mniejsza łazienka. Z balkonu, wychodzącego na zachód widać było przystań Darling i kompleks Zgromadzenia; w oddali grzbiet Balmain z wieżą ratusza, wystającą jak minaret, w którym nawracano grzeszników, bynajmniej nie modlitwą.

Meble w mieszkaniu były dobrej jakości, jakkolwiek nie najwyższej klasy; gruby, niedrogi dywan, poplamiony w kilku miejscach, tapety w ptaszki - typowe miejsce schadzek.

Ciało leżało tuż przy zamkniętych, przeszklonych drzwiach prowadzących na balkon. Russ Clements odsłonił zwłoki.

- Nazywa się Mardi Jack - jak wynika z jej prawa jazdy. Mieszkała w Paddington. Wiek - trzydzieści trzy lata.

Malone spojrzął na zwłoki. Rude, modnie ostrzyżone włosy, na pewno farbowane - pomyślał. Szeroka niegłupia buzia, lekko skrzywiona w bólu. Musiała nieźle wyglądać; śmierć wprowadziła w jej ciało jakiś nieład. Ciuchy - z wyglądu kosztowne, choć nie był to wielki świat. Styl dyskotekowy - pomyślał w duchu. Nie wiedział zbyt wiele o modzie. Jego gust był raczej

konserwatywny, a w opinii żony i starszej córki nie miał go wcale. Mardi miała na sobie zieloną bluzkę, wyszywaną cekinami. Na piersi zaschła już wielka plama krwi. Czarne obcisłe spodnie, zbyt sugestywne - pomyślał. Dziewczyna nie przyszła tu, by samotnie spędzić noc, czy weekend - to pewne.

- W sypialni leży jej czarne futro z lisa; myślę, że farbowane - powiedział Clements.

- Skąd wiesz tyle o lisich futrach?
- Kiedyś kupiłem takie. Dla mojej mamy.

Malone spojrział jeszcze raz na zwłoki, po czym nakrył je z powrotem.

- Jak długo nie żyje?

Clements rzucił okiem na lekarza, który wyszedł właśnie z kuchni, gdzie przyrządzał sobie kawę.

- Jak dawno, doktorze?

- Trzydzieści sześć godzin, może trochę więcej. W nocy z soboty na niedzielę. - Doktor Gilbey wyglądał, jakby miał za chwilę wybuchnąć; brzuch, policzki, podbródek, jak napompowane. Oddech z trudem wydobywał się z grubego gardła. Malone często dziwił się, dlaczego wybrał dziedzinę, w której większość badań musiał przeprowadzać na kolanach. Któregoś dnia, schylając się skończył swe życie, padając na badaną ofiarę.

- Jedna kula, prosto w serce. Celny strzał. Kula jest wciąż wewnątrz.
- Daj mi znać, kiedy wyślesz ją do balistyków. Gilbey pociągnął łyk kawy.
- Będą mieli ją dzisiaj.

W małym mieszkaniu zaczynało robić się tłocznie: dwóch pracowników zakładu pogrzebowego, dziewczyna-fotograf, dwóch policjantów. Malone otworzył drzwi i wyszedł na balkon, dając znak Clementsowi, by zrobił to samo.

- Co o tym sądzisz?
- Cholera wie. - Clements, jak zwykle gryzł dolną wargę.

Był dużym, pospolicie wyglądającym chłopem, parę cali wyższym i prawie dwadzieścia kilogramów cięższym od Malone'a. Kawaler - unikał kobiet,

ale czasami zazdrościł mu komfortu życia rodzinnego. Miał spokojny charakter i umiarkowane poglądy; potrafił narzekać na zbyt wielką liczbę Azjatów osiedlających się w kraju, ale równocześnie pocieszać Wietnamkę, która straciła syna w porachunkach między gangami. Nie różnił się w tym zresztą od Malone'a, ani milionów innych Australijczyków.

- Kto ją znalazł?

- Pani, która tu sprząta. Clements należał do tych, dla których słowo kobieta nie oddawało w pełni należnego kobietom szacunku; kolejny dowód na to, jak nieprawdziwy jest narodowy mit mówiący, że Australijczycy nie uznają podziałów klasowych.

- Przesłuchałem ją i puściłem do domu. Jest Greczynką, a widok trupa był dla niej trochę ekscytujący.

- Tak jak dla mnie. Też nie lubię na to patrzeć. Rozmawiałeś z kimś jeszcze?

- Kazałem rozejrzeć się chłopakom po budynku. Jak dotąd nie przyprowadzili nikogo.

- Mieszkanie należało do niej? - Malone skinął na ciało, przykryte teraz zielonym plastikowym pokrowcem.

- Nie, mieszkanie należy do firmy. W biurku znalazłem papier i koperty z nadrukiem: Spółka własnościowa Kensay. Mają biura w Cossack House na Bridge Street. Ale ona miała klucze.

Malone spojrzał na pobliskie budynki, potem na dziurę w szybie.

- Karabin o długim zasięgu?

- Mógłbym iść o zakład. Nie sądzę, aby ktoś strzelał stąd. Jest tu pełno kurzu. Wygląda na to, że sprzątaczką nie dotyka balkon zimą. Nie ma tu żadnych śladów poza naszymi.

- Jak sądzisz, skąd padł strzał?

- Z tamtego budynku. - Clements wskazał biurowiec na Kent Street. - Idealne miejsce na tym płaskim dachu. Nie więcej niż sto, sto pięćdziesiąt metrów. Dla fachowca z dobrym karabinem i noktowizorem był to łatwy cel.

- W porządku. Wyślij Andy Grahama, niech odwali tę głupią robotę. Każ mu przeszukać dach. Może znajdzie łuskę. Zostań tu dopóki nie skończy. Ja

jadę do Paddington poszukać kogoś, komu mógłbym przekazać tę smutną wiadomość.

- Dobrze, że nie ja.

- Kiedyś będziesz musiał. *Modlę się, aby nie była to wiadomość dla Lisy* - pomyślał.

Zostawił Clementsa i poszedł do windy. Dwóch pracowników firmy pogrzebowej właśnie wynosiło zwłoki. Winda nie była dość duża i musieli postawić ciało pionowo. Jeden z nich podtrzymywał je i wyglądało to tak, jakby obejmował podpitą partnerkę w tańcu.

Malone wyszedł na ulicę, przepychając się przez tłumek zainteresowany ambulansem. Zauważył też dwa samochody ekip TV; operator uruchomił natychmiast kamerę, ale Malone pokręcił głową i powstrzymał go gestem ręki. Zbliżyło się dwóch reporterów.

Rozmawiajcie z sierżantem Clementsem. On tu rządzi.

Jego commodore był ozdobiony mandatem za złe parkowanie. Wyjął blankiet, włożył go za wycieraczkę jednego z wozów TV i ruszył w drogę. W lusterku widział nosze z ciałem Mardi Jack, wkładane właśnie do ambulansu.

Początek nowego tygodnia - nowa robota. Zastanowił się przez moment, jak czują się szefowie wydziałów ruchu czy administracji każdego poniedziałkowego ranka. Nie cierpiał momentu, w którym musiał zawiadomić rodzinę ofiary. Wolałby to robić pisemnie. Wciąż pośredniczył między żywymi a umarłymi.

## 2.

Jednokierunkowa, wąska Goodwood Street zabudowana była po obu stronach wąskimi, tarasowymi domami. W ciągu ostatniego stulecia w Paddington przemieszały się domy solidnych kupców z mieszkaniami robotników. Przyczepione do grzbietu, dzięki tarasowemu ułożeniu miały zapewnić ładny, perspektywiczny widok w kierunku przystani. W rzeczywistości większość umożliwiała jedynie oglądanie sąsiednich domów, co nie było najciekawsze,



zwłaszcza w piątkowe i sobotnie wieczory, pełne pijackich burd. W latach dwudziestych i trzydziestych zdominowali ten rejon robotnicy wraz z ich licznymi rodzinami, żyjący w wiecznych długach.

W ostatnim dwudziestoleciu pojawili się tu artyści przyciągnięci przez bogatszą klientelę wschodnich dzielnic, pisarze nie na tyle zdolni, by zamieszkać w Balmain i yuppies, zamieniając te wąskie, stare domy na minipałacyki. Domy z frontem szerokości szesnastu stóp, warte teraz tyle, ile kiedyś wystarczyłoby rodzinie na całe życie, były przykładem zwrotów w historii miasta.

Malone musiał znów zaparkować w niedozwolonym miejscu - commodore zbierał w ciągu roku tyleż mandatów co i śladów ptasich gównien. Zapukał do jasnych, żółtych drzwi. Zanim zdążył powtórzyć, w otwartych drzwiach stanęła zaspana dziewczyna w szlafroku frotte i pokręconych żółtawych włosach. Mrużyła oczy w porannym słońcu.

- Co jest? - w jej głosie słychać było całą uprzejmość kogoś, kto nie znosi, gdy się go budzi, nawet o dziesiątej rano.

Malone przedstawił się i zapytał: - Czy mieszka tutaj Mardi Jack?

- Tak, ale jej nie ma. A co?

- Jesteś jej krewną?

Sen zniknął szybko z oczu dziewczyny; zagrożenie budziło jej inteligencję.

- Stało się coś? Trafiła do pudła czy coś w tym stylu?

Malone opowiedział wszystko najdelikatniej, jak mógł. Miał już spore doświadczenie, ale nigdy nie było to łatwe.

- Miała rodzinę? Rodziców, może męża?

Dziewczyna oparła się o drzwi, mocno przerażona.

- Mój Boże! Zastrzelona? - Głos jej się łamał. Kaszlnęła, mocniej zacisnęła szlafrok, jakby ogarnął ją chłód, nie tylko poranka.

- Nie wejdzie pan? - Poprowadziła go przez hol i mały pokój do kuchni, która wyprzedzała stary front domu o dwieście lat. Przez oszklone drzwi widać było ogródek; parę drzew, brodzik, grill na kółkach. - Zrobię kawę. Z ekspresu czy cappuccino?

Te wszystkie spryrciary - pomyślał - ta dziewczyna i Mardi wiedzą, jak ustawić się w życiu. Tyle, że spryt Mardi już na nic się nie zda.

- Niech będzie cappuccino. Możesz mi powiedzieć, kim jesteś?

- Nazywam się Gina Gazelli. Mardi mieszka ...mieszkała tu ze mną. Pytałeś o jej rodzinę? Miała ojca. Jest gdzieś na Złotym Wybrzeżu. Nie byli zbyt blisko. Jej rodzice rozeszli się, gdy była dzieckiem. Potem zmarła jej matka ...pięć, może sześć lat temu.

- Miała jakichś znajomych? Poza tobą. Może jakiegoś chłopaka, byłego męża?

- Nie sądzę ... Nigdy nie wspominała. Nie miała żadnego konkretnego faceta. Była - nie powinnam tak mówić, ale próbuję pomóc, to znaczy znaleźć tego, który ją zabił - miała różnych facetów. Chryste! To nie brzmi lojalnie, no nie? - Zajęła się filizankami i włożyła kilka bułek do kuchenki mikrofalowej.

Kuchnia była wykorzystana do maksimum. Gina wyglądała nieciekawie, ale razem z Mardi prowadziły schludny dom.

- Nie była dziwką. Po prostu nie miała szczęścia do facetów, na których trafiała. Potrafiła być zupełnie zwariowana na punkcie jakiegoś faceta. Po trzech, czterech miesiącach rzucała go i wpadała w objęcia innego... Na przekór sobie czy innym, nie wiem. Wie pan, jakie potrafią być kobiety.

Spojrzała ostrożnie. Uśmiechnął się i skinął głową.

- Tak, próbuję je zrozumieć, ale to nie takie łatwe.

Wyjęła bułeczki z kuchenki.

- Nie jadłam jeszcze śniadania. Ma pan rację. Z mężczyznami jest prościej.

- Co robiła Mardi? Czy się zajmowała?

- Śpiewała. Nieźle, ale nie dość dobrze, by zrobić karierę. Kręciła się po różnych klubach, wie pan, takie wstawki o miłości przeplatane komicznymi, seksownymi kawałkami. Nie cierpiała tego, ale dawało to zawsze jakiś grosz. Jej główny dochód pochodził jednak z piosenek nagrywanych w studiach. Tak właśnie ją poznałam. Jestem asystentką producenta nagrań.

- Byłyście przyjaciółkami?

Podawała kawę i bułeczki. Podsunęła ku niemu dżem truskawkowy w małej zdobionej miseczce; prowadziły ten dom według standardu reklamowanego przez pismo „Domy i ogrody”. Rozłożyła sympatyczne, żółte serwetki, pasujące do koloru drzwi i pasków na szufladkach w kuchni.

- Nie, nie byliśmy tak blisko. Żyliśmy, każda swoim własnym życiem. Było między nami dziesięć lat różnicy - ona miała trzydzieści trzy. Lubiła starszych facetów.

Malone pociągnął łyk kawy. Próbował nie być zbyt nachalny. Przyglądał się Ginie - pulchna i pospolita, z kręconymi włosami, które zawsze, w nocy i w dzień, wyglądały tak samo. Najnowsza moda, wiedział to dzięki Claire, która była w tej dziedzinie ekspertem. Znał ten typ kobiet.

- Był jakiś konkretny, starszy mężczyzna w jej życiu ostatnio? - Nigdy nie używał słowa *facet*. Jego ojciec Con Malone, który nie znosił cudzoziemców bardziej niż aborygeni, dbał aby jego język nie wzbogacał się o żadne pospolite określenia. - Mam na myśli ostatni okres - dodał.

Gina zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, nie było nikogo przez ostatnie cztery, może pięć miesięcy. Nikt, kogo przyprowadziłaby tutaj. - Ugryzła kawałek bułki. - Ale ...

- Ale co? - zapytał spokojnie po chwili.

- Sądzę, że był jakiś facet. Dzwonił czasami. Rzadko ... dwa, trzy razy. Ona nigdy nie mówiła o nim, a ja nie pytałam. Dzwonił do niej w sobotę rano. Nagrywałyśmy w studio. Boże! Kiedy o tym pomyślę!

- O czym?

- Kawałek miał tytuł *Będę żyła wiecznie*. - Bliska płaczu, przełknęła łyk kawy. - Odebrałam telefon. To był on.

- Przedstawił się?

- Nie. Ale to był on. Kiedy Mardi skończyła, wyglądała na złą. Musiałam zająć się pracą, a gdy wróciłam koło szóstej do domu, jej już nie było.

Malone odstawił pustą filiżankę. Bułeczki i cappuccino w poniedziałkowy poranek są może dobre dla artystów Wszelkiej maści ale nie dla pracującego gliniarza.

- Mógłbym rzucić okiem na jej pokój?

Gina zawahała się, po czym skinęła głową.

- Myślę, że ma pan prawo, choć to tak jakby wtrącać się w jej życie, nie?

- Nie należy to do przyjemności - odparł.

Uśmiechnęła się słabo.

- Dlaczego ludzie nazywają was świniami? Nie wszyscy jesteście źli.

Poprowadziła go wąskimi schodami do pokoju, którego okna wychodziły na ogród. Wyglądał na świeżo malowany, ale bałagan wewnątrz był okropny. Rozesłane łóżko, ciuchy porozrzucane po krzesłach, toaletka, jakby przeszedł nad nią huragan. Pomyślał, że życie Mardi było równie nie uporządkowane.

- Brała kąpiel dwa razy dziennie, ale nie bardzo miała pojęcie do czego służą wieszaki i szafy.

- Miałabyś coś przeciwko temu, gdybym porozglądał się tu sam? Możesz mi zaufać.

Rozejrzała się wokół lekko zmieszana, a potem nagle odwróciła się i wyszła.

Rozpoczął systematyczne przeszukiwanie pokoju próbując zrozumieć, kim była ta dziewczyna. Przejrzał szafę pełną kosztownych ciuchów, szuflady, aż w końcu znalazł to, na co liczą policjanci w podobnych sytuacjach: osobiste notatki pozostawiane zazwyczaj, kiedy życie kończy się nagle i nieoczekiwanie. Sekrety, które nie ujrzałyby nigdy światła dziennego.

Nie był to ani dziennik, ani pamiętnik; wewnątrz nie dostrzegł żadnych dat, jedynie cyfry wytłoczone na zielonej okładce - 1989. Mardi pisała tylko o jednym - o mężczyznach jej życia. Historia ciągłych wlotów i upadków. Znajomości i rozstania, miłość, radość i rozczarowania. Raz po raz. Chryste, pomyślał Malone, dlaczego kobiety potrafią tak się umęczać?

Ostatni fragment mówił o panu B. *Miłość mego życia*. Wspomnienia pierwszych dni znajomości kreśliły obraz poważnego, szlachetnego człowieka.

*Dzięki niemu czuję się tak, jakbym wędrowała wśród obłoków. Wszystko czego chcę, to śpiewać o miłości i o szczęściu. Przepadnij Billie Holliday!*

Parę stron dalej słowa i melodia zaczęły się zmieniać

- *Boże! On jest taki sam jak cała reszta. Dostałam kopa już drugi raz w tym tygodniu.*

Przez jej słowa przemawiała teraz złość; pismo było roztrzęsione.

*Bez słowa wyjaśnienia. Nie mogę dziś wieczór, stwierdził krótko. Jezu! Czemu się tak denerwuję? Przecież to nie pierwszy raz. Wracajcie! Billie Holliday, Edith Piaf, ze swoimi łzawymi bluesami. Wiem chłopcy, naprawdę wiem, co jesteście warci.*

Banalny melodramat - pomyślał Malone. Słowa te nie były jednak przeznaczone ani dla niego, ani dla nikogo innego. Trudno oczekiwać lakonicznego stylu policyjnego raportu.

Ostatni fragment najwyraźniej został zapisany tuż przed fatalną sobotą.

- *B, zgodził się na spotkanie dziś wieczór; mam nadzieję, że przyjdzie. Musimy wszystko wyjaśnić. Czy to ostatni raz? Boże! Proszę, nie. Wiem, na pewno jest ktoś inny. Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, tyle lat temu, w Londynie, było podobnie. Tak, ale on nie jest już taki sam. Zresztą i ja byłam wtedy inną dziewczyną.*

Malone zamknął notatnik i zszedł na dół.

- Wezmę to ze sobą. Dam ci poświadczenie. Czy wiedziałaś, że prowadziła te zapiski?

Gina pokręciła głową; siedziała w kuchni przy stole, sącząc drugą lub trzecią filiżankę kawy.

- Znalazł pan tam coś?

- Mardi opowiada o kimś nazywanym B. Nie wiesz, kto to może być? Nie wspominała o nim?

- Nigdy. Ale to pewnie ten facet, z którym spotykała się ostatnio. - Przez chwilę próbowała się skupić. - Nie, na pewno żaden z tych, których pamiętam, nie nosił takiego imienia; Charlie, Roger, potem był Raul, ale nikt na B. To

wszystko takie ptaszki na jedną noc. Ona tego jednak nie dostrzegą, a ja nie jej nie mówiłam.

- I już nie powiesz. Przyślę policjanta, który przeszuka wszystko jeszcze raz. Jeżeli sobie coś przypomnisz, zadzwoń.

Położył wizytówkę na stole, i tak jak mawiał do Claire, gdy miała pięć, sześć lat, dodał:

- Uważaj na mężczyzn!

- Na jakich mężczyzn? - odparła, uśmiechając się lekko.

Pożegnał ją i wrócił do samochodu. Poza kolejnym mandatem, commodore ozdobiony był dwoma nowymi kleksami ptasich gówień. Policja drogowa nie zawsze za nim nadążała, ale ptaki były nie do pokonania. Prawdopodobnie nawet gdyby wziął swoje auto na Antarktydę, pingwiny też nie dałyby mu spokoju.

### 3.

Russ Clements czekał już w biurze. Porządkował karton, w którym trzymali różne drobiazgi zebrane w czasie dochodzenia. Nie było tego wiele.

- Sprawdziliśmy ten budynek. Bez rezultatu. Tylko sześć mieszkań zajętych jest przez stałych lokatorów. Reszta należy do różnych firm. Nikt nie słyszał strzału, nikt nie widział Mardi Jack. Dwa pozostałe mieszkania na piętrze też należą do firmy. Andy Graham przeszukał dach budynku na Kent Street. Ktoś tam był - znaleźliśmy nadgryzioną kanapkę i puszkę po coli.

Malone spojrzął na pudło.

- Trzymasz tam tę kanapkę?

- Żartujesz? Wysłaliśmy ją do analizy. Będziemy porównywać zęby każdego, kogo złapiemy.

- Świetna robota. A łuski?

- Nic. Prawdopodobnie karabin z ręcznym zamkiem. Robota zawodowca. Jeden strzał. Dach jest około dwadzieścia stóp niżej od balkonu; musiał strzelać pomiędzy prętami barierki.

- W nocy?

- Pokój był dobrze oświetlony. Używałeś kiedyś nocnego celownika? Byłbyś zdziwiony, jak dokładnie wszystko widać.

Clements był ekspertem jeśli chodzi o broń. Malone nie przepadał za strzelaniem i poświęcał ćwiczeniom minimum koniecznego czasu.

Zdjął marynarkę i usiadł. Mimo że minął już prawie rok od przeprowadzki do nowego centrum policyjnego, wciąż nie mógł się przyzwyczaić do przestronnego biura. Przez całe lata poszczególne działy Departamentu Policji porzucane były po całym mieście. Wydział zabójstw korzystał z pomieszczeń wynajmowanych w normalnej czynszowej kamienicy. Nowe centrum miało wygląd sterylnego laboratorium, do którego Clements, z natury niechlujny, starał się jakoś dopasować. Malone ze swej strony utrzymywał swoje biurko w porządku, jakby w obawie, że któregoś dnia zjawi się tu Lisa i oceni wszystko okiem gospodyni.

- Wiesz coś o firmie, do której należy mieszkanie?

- Kensay. Sprawdziłem w Urzędzie Rejestracji; jeden z dziesięciu oddziałów Cossack Holdings. Stąd to mieszkanie w budynku należącym do Cossack.

- Kensay?... Co to za firma?

- Promocje muzyczne, studio nagrań,...zarejestrowana w 1983.

- A Cossack? Co wie o nich nasz czołowy inwestor?

Prywatnie zawsze żartowali, że Clements jest najbogatszym gliną w Departamencie Policji. Miał wiele szczęścia w grze na wyścigach, a od krachu giełdowego w 1987 wartość akcji, w które zainwestował, podwoiła się. Nie był zachłanny, nie miał nawet ambicji by być bogaty - grał, ponieważ to lubił.

- To firma publiczna w odróżnieniu od Kensay. Jest głównym udziałowcem banku handlowego O'Brien Cossack. Ich akcje nie stoją najlepiej, jest wokół nich spore zamieszanie. Bank i facet, który to wszystko rozkręcił jest przedmiotem zainteresowania ze strony Narodowej Komisji Kontroli. Facet nazywa się Brian Boru O'Brien.

- Brian BoruB... Czyżby?

- Co?

Malone opowiedział o notatniku Mardi Jack. Podsunął go w stronę Clementsa, ale zaraz dodał:

- To daleko idąca sugestia.

Do pokoju wolnym krokiem wszedł nadinspektor Greg Random. Nigdy nie był zbyt żwawy, ale ostatnio sprawiał wrażenie, jakby włóczył się po korytarzach centrum bez żadnego celu. W starym wydziale zabójstw rządził grupą trzydziestu sześciu detektywów, ale regionalizacja podzieliła i zredukowała biuro do trzynastu osób - zbyt mało do dowodzenia dla głównego inspektora. Mimo zwolnień uczyniono dla niego wyjątek, ponieważ potrafił wyczuć zapach zbrodni na milę.

- Co tam mamy na Clarence Street? - Był wysokim, szczupłym mężczyzną z białą czupryną i zmęczonymi oczami. Nic go nigdy nie dziwiło, ani zepsucie ludzi, ani jakiegokolwiek świństwo.

- Jeszcze nawet nie stanęliśmy w blokach startowych. Wszystko co wiemy to tyle, że została zastrzelona z karabinu o długim zasięgu - powiedział Malone.

- Tak samo jak dwóch poprzednich: Gardner i Terry?

Malone popatrzył ze zdumieniem.

- Myślisz, że istnieje jakiś związek?

- Nie wiem, to twoja sprawa. Ty tu jesteś teraz szefem.

Niech balistycy zajmą się tym natychmiast. Najpóźniej jutro w południe powinieneś mieć wyniki.

Malone czasami zastanawiał się czy, Greg nie ma mu za złe, że nie jest już szefem. Był przecież wciąż nadinspektorem z pensją 44800 dolarów rocznie. Chcąc zachować dobry nastrój, odezwał się grzecznie:

- W porządku Greg, dzięki za pomoc.

Random pokręcił się jeszcze chwilę i podreptał dalej. Malone spojrzął na Clementsa.

- Słyszałeś? Bierz się do roboty!

Clements podniósł słuchawkę i wybrał numer. Przez minutę, może dwie przekonywał kogoś, cierpliwie forsując swój punkt widzenia.

- Mówią, że brak im ludzi. Zrobią co będą mogli, ale chcą, by pamiętać, że nie tylko nas mają na głowie.

Malone podniósł się, włożył marynarkę, płaszcz i kapelusz, który nosił w deszczowe dni.



- Idziemy! Złożymy wizytę w Cossack Holdings. Potem, jeśli nie zdarzy się nic innego, będziesz mógł obstać parę zakładów.

Wsiedli do nie oznakowanego auta i ruszyli w drogę. Słońce zniknęło zupełnie i zaczął znowu zacinać nieprzyjemny deszcz. W porównaniu z wieloma innymi miastami Sydney było wciąż czyste, ale szybki rozwój, rozbudowa i rosnące zagęszczenie zamieniały ulice w zacienione, a w dni takie jak ten, mroczne kaniony. Czerwone światła uliczne rozbłyskiwały jak pustynne słońce i jedynie kolorowe parasole wprowadzały trochę urozmaicenia w ten posępny dzień.

Clements zaparkował auto ignorując ostrzegawcze czerwone światło, mówiące o braku miejsc.

Wjechali na trzydzieste piąte piętro, mijając po drodze liczne biura Cossack Holdings. W recepcji, której nie powstydziliby się pięciogwiazdkowy hotel, przyjęła ich ciemnowłosa dziewczyna, ubrana w beżowy kostium, doskonale zharmonizowany z zielonymi ścianami. Nie było to na pewno miejsce dla ludzi o pustych kieszeniach.

- Czy byliby panowie uprzejmi określić naturę swojej wizyty u pana Bousakisa? - Jej język był równie krągły jak figura.

- A kim jest pan Bousakis? - zapytał Clements.

- Dyrektorem generalnym. Powiedział pan, że chcecie rozmawiać z szefem. - Niewątpliwie myślała, że wszyscy policjanci to prostytutki.

- Myślę, że przedstawimy naturę naszej wizyty osobiście panu Bousakisi - odparł Malone uśmiechając się. - To nie potrwa długo.

Nie odpowiedziała uśmiechem, ale odwróciła się i szybko ruszyła w kierunku gabinetu. Wróciła niemal natychmiast i wskazała drzwi:

- Pan Bousakis oczekuje panów.

Gabinet był obszerny. Akcjonariusze Cossack dbali o swoich dyrektorów. George Bousakis nie podniósł się zza biurka; jego wygląd sugerował, że jedynie nadzwyczajna sytuacja byłaby skłonna zmusić go do ruszenia wielkiego cielska. Co najmniej sześć stóp i trzysta funtów wagi

- Malone automatycznie liczył według starego systemu, gdy natykał się na coś zaskakującego. - Dobrze po czterdziestce, z czarnymi włosami zaczesanymi do tyłu, stanowił wspomnienie przystojnego mężczyzny, przebijające spoza

nalanych policzków i przenikliwych oczu. Różowa koszula z białym kołnierzykiem, niebieski krawat i dwurzędowy, granatowy garnitur dopełniały obrazu. Gdyby przeznaczyć materiał na płótno żaglowe - pomyślał Malone - byłoby dość na wyposażenie niezłego jachtu.

- Dzień dobry. Panna Rogers nie wiedziała, z jakiej sekcji panowie jesteście - odezwał się głębokim, twardym głosem.

- Wydział zabójstw - powiedział krótko Malone i zaczął wyjaśniać powód wizyty.

- Mardi Jack miała klucz do mieszkania. Kto mógł go jej dać?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. - Bousakis nawet nie zareagował na wiadomość o morderstwie w mieszkaniu należącym do jego firmy. Tak jakby usłyszał o braku jakiejś drobnej rzeczy, wykazanym w czasie rutynowej kontroli.

- Nie przypominam sobie, bym znał pannę ...Jack? Nigdy jej nie spotkałem.

- Na szczęście dla niej - pomyślał Malone.

- Czy kiedykolwiek korzystał pan z tego mieszkania?

- Nigdy.

- A kto korzystał? - rzucił Clements.

Malone usiadł, pozwalając Clementsowi przejąć inicjatywę. Byli dobrze zgrani przez całe lata wspólnej pracy.

- Niektórzy z naszych ludzi. Na przykład kierownicy działów. I nasi przedstawiciele z terenu. Umieszczamy ich tam zamiast w hotelu. Zwracamy uwagę na nasze wydatki - dodał, najwyraźniej ślepy na to, co go otacza. Zielono-szary gabinet ze ścianami wyłożonymi boazerią, dywan gruby po kostki, antyczne meble lub ich dobre reprodukcje. Obrazy na ścianach pochodziły z tradycyjnej szkoły: Gruner, Streeton i im podobni; wiedza Malone'a nie była zbyt obszerna, ale tyle wiedział.

- A może ktoś z personelu O'Brien Cossack?

- Czasami. Staramy się trzymać z dala od banku.

- Dlaczego?

Głos Bousakisa zabrzmiał teraz twardziej:

- Po prostu, polityka firmy.
- Co może pan powiedzieć o... Brian Boru O'Brien?
- Clements z trudem wypowiedział nazwisko.

Bousakis spojrział uważniej.

- O co panom chodzi?
- Mógł korzystać z mieszkania? - Clements zagrał teraz piłkę w stylu, który zapewniłby mu natychmiast członkostwo w drużynie West Indians.

- Po co miałyby to robić? Pan O'Brien ma apartament w hotelu Kongresowym, zaledwie parę kroków stąd.

- I mieszka tam?

- Tak. Pan O'Brien nie jest typem biznesmena korzystającego z mieszkań czynszowych. Lubi życie spokojne, bez zbytniego rozgłosu. Mamy zbyt wielu innych w tym mieście - dodał, a Clements przytaknął mu ruchem głowy.

Malone nie wiedział dokładnie, ile kosztuje apartament w hotelu Kongresowym - pięć, może sześć tysięcy za tydzień? Kosztowny sposób na życie w spokoju, jeśli się zwraca uwagę na wydatki. Zaczął się zastanawiać, na czym polega zamieszanie wokół firmy Cossack, o którym wspominał Clements.

- Czym się zajmuje pan O'Brien? Mam na myśli Cossack.

- Jest prezesem rady. Jest ze mną w stałym kontakcie. Odpowiada za strategię firmy. Bardzo możliwe, że nie ma nawet pojęcia o istnieniu tego mieszkania.

- Myślę, że najlepiej będzie, jak sami z nim porozmawiamy.

- Nie jestem pewien, czy uda się to zaaranżować natychmiast. Nie był przygotowany na panów wizytę.

- Sądzi pan, że sekretarka nie ostrzegła go do tej pory? - beztrąsko zapytał Clements.

- Ależ z pana prostak, sierzancie.

- To jeden z jego lepszych dni - wtrącił Malone. - Nie chcemy być niegrzeczni, ale prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa, które wydarzyło się w mieszkaniu należącym do waszej firmy, panie Bousakis. Czy dotarło to do pana?

Bousakis milczał przez moment.

- Jasne. Zaprowadzę panów.

Odepchnął fotel od wybijanego skórą biurka i dopiero teraz Malone dostrzegł wycięcie, w które wpasowany był jego wielki brzuch. Widząc zainteresowanie w oczach inspektora, Bousakis bez zażenowania wyjaśnił:

- To pomysł, który kupiłem w jednym z londyńskich klubów. Jest tam stół, przy którym Charles James Fox, dziewiętnastowieczny polityk, jak panowie zapewne wiecie, grywał w karty. Doskonały pomysł. Zawsze byłem gruby. Nawet jako dziecko.

- A w jaki sposób pan siadywał przy biurku, zanim wspiął się pan aż tu? - Clements faktycznie miał dziś dobry dzień.

- Siadałem obok - odparł, pierwszy raz naprawdę się uśmiechając. - W ten sposób mogłem mieć oko na konkurentów.

Recepcja biura O'Briena była nieco skromniejsza. Przywitała ich sekretarka równie elegancka jak panna Rogers choć nieco starsza. Doświadczenie miała wypisane na twarzy. Podniosła się na ich widok i najwyraźniej dobrze poinformowana stwierdziła:

- Zaraz zawiadomię szefa.

Weszła do gabinetu i po chwili pojawiła się z powrotem, wskazując otwarte drzwi.

Bousakis ruszył pierwszy i minął ją, niczym wielki hipopotam. Gabinet był równie duży, lecz urządzony bardziej nowocześnie; parę abstrakcyjnych obrazów i rzeźb, a pomiędzy nimi, na centralnym miejscu, oprawiona w bogatą ramę, wisiała złota płyta gramofonowa.

Brian Boru O'Brien podniósł się z za biurka. Mógł mieć około czterdziestki, szczupły, pomimo irlandzkiego nazwiska był typowym Australijczykiem - długa szczeka, wystające kości policzkowe, wąskie oczy otoczone siatką zmarszczek. Nie był przystojny, ale ten typ urody w oczach wielu kobiet mógł uchodzić za atrakcyjny.

Obszedł biurko i wyciągnął wielką łapę.

- Kopa lat, Scobie! Pamiętasz mnie?

# Rozdział trzeci

## 1.

Malone spojrział z uwagą. Zawsze starał się zapamiętywać twarze. W grze, w której nazwiska są częścią kryminalnej garderoby, zmienianej w zależności od potrzeb, twarze są równie ważne jak odciski palców.

- Ponad dwadzieścia lat - ciągnął O'Brien. - Dwadzieścia, może dwadzieścia cztery. Akademia policyjna. Kadet, podobnie jak ty. Dawno, dawno temu - dodał jakby do siebie.

Malone odprężył się i ze śmiechem wykrzyknął:

- Ale numer. Ty tutaj? Brian Boru? Skąd to imię? Na pewno nie używałeś go w akademii.

- Mam na imię Horacy. Horacy Clarence. Zrobiłem wszystko, by je zapamiętać - spojrział na Bousakisa. Lekko zmieszany, błysnął białymi zębami. - Wspomnij tylko o tym na zewnątrz, a jesteś zwolniony, George. Wszyscy mamy swoje małe sekrety.

- Jasne, Brian. Sam mam na drugie Jazon, jeśli chcesz wiedzieć. - Machnął ręką. - Moja matka zawsze kazała mi szukać złotego runa - dodał zadowolony, jakby naprawdę je znalazł. - A pan sierżancie? Jakie pan ma drugie imię?

Malone poczuł, że rozmowa zaczyna wymykać mu się spod kontroli.

- Przejdźmy do sprawy - wtrącił, zanim Clements zdążył odpowiedzieć. Możemy porozmawiać na osobności, Brian?

- Chcesz porozmawiać o starych czasach? - O'Brien uśmiechnął się szeroko.

- Niekoniecznie. Mogę pana przeprosić, panie Bousakis? Wrócimy być może do pana.

Grubas poczerwieniał; nie zwykł być wypraszany z towarzystwa. Odwrócił się jednak i wyszedł bez słowa.

O'Brien zamknął za nim drzwi i wskazał ręką na skórzane fotele.

- Proszę siadajcie. On lubi wszystko wiedzieć. Myśli, że firma kręci się tylko dzięki niemu.

- A dzięki komu? - zapytał Clements.

O'Brien zawisł na chwilę w powietrzu zanim opadł na fotel.

- Ma pan na myśli ten szum wokół firmy? Nie należy wierzyć we wszystko, co piszą w gazetach. Był pan może w akademii za moich czasów?

- Nie może mnie pan pamiętać. Byłem w innej grupie. Do grupy Scobiego przeniosłem się tuż przed zakończeniem.

- A ja nie dotrzałem do końca. Ciekawe, jakby to było. Ale nie przyszście tutaj, by wspominać stare czasy. Nie jesteście chyba z wydziału finansowego, co?

- Nie - odparł Malone. - Z wydziału zabójstw.

Pogodny nastrój O'Briena ulotnił się.

- Jezu! Wydział zabójstw?

Malone krótko wyjaśnił powód ich wizyty.

- Spotkałeś kiedykolwiek Mardi Jack?

- Nie. Zamordowała kogoś?

- Przeciwnie. To ona została zamordowana. W mieszkaniu na Clarence Street, należącym do jednej z waszych firm. Strzał oddany z karabinu - zakończył Malone.

O'Brien odpowiedział ze spokojem:

- Nie, nie znałem jej. I nic nie wiem o tym mieszkaniu.

Malone nie miał żadnych powodów, by przypuszczać, że wspomniany w pamiętniku Mardi człowiek o imieniu B, to właśnie O'Brien; mogło to być jakiegokolwiek inne imię czy nazwisko. Chociażby ten Bousakis. Poruszał się po omacku.

- To wydarzenie nie wpłynie dobrze na opinię firmy. Zwłaszcza w obecnej sytuacji.

- Ty też wierzysz w te pogłoski? - Tym razem O'Brien nie pokazał białych zębów siląc się na uśmiech.

- Nawet nie wiem o co chodzi. Rzadko czytam doniesienia ze świata finansów. Ale innych to interesuje. Chcesz usłyszeć, co myśli o tym sierżant? Jest jednym z czołowych inwestorów w naszym departamencie.

- W co pan inwestuje, sierżancie?
- Różnie. Czasami obstawiam też pańskie konie.
- Rozważnie?

Clements skinął głową, ale nie podjął tematu.

- To zamieszanie, panie O'Brien, dotyczy wielu ludzi. Mówi się o ministrze stanu i czołówce opozycji federalnej.

- Wszystko się wyjaśni - przerwał zdenerwowany O'Brien.  
 - Prędzej niż pan myśli. To stary syndrom maku, wyrastającego za wysoko - ciąć wszystko co odbiega od średniej. Jak niedźwiedź, to tylko święty koala. Taki obyczaj w tym kraju.

- Zajmuje się tym Narodowa Komisja Kontroli, tak? - zapytał Clements.  
 - Tak, właśnie zaczęli. O'Brien udawał rozluźnionego, ale nieświadomie, nerwowo zacierał ręce.

- Miał pan kiedykolwiek coś wspólnego z muzyką?

Ręce zatrzymały się.

- Tak, jakiś czas temu. Od tego zaczynałem.  
 - Był pan menadżerem gwiazd muzyki pop w USA i Wielkiej Brytanii, prawda?

To wyjaśniało sprawę dziwnego akcentu, uchwytnego w jego głosie. Australijskie podłoże, spłaszczone samogłoski od czasu do czasu i coś jeszcze, co można tłumaczyć transatlantyckimi wpływami.

- Tak, ale co to ma wspólnego z tym?...No, mam na myśli to morderstwo.

Malone podjął temat poruszony przez Clementsa. Mardi Jack była piosenkarką. Jedna z waszych firm, oddział Kensay, posiada studio, w którym nagrywała. Jak dawno temu byłeś w Londynie? Jak mam cię nazywać, Horrie czy Brian?

- Brian. Horrie, to człowiek, którego znałem dawno temu. Już o nim zapomniałem.

Jego głos zmienił się zupełnie. Zaciśnął mocno ręce. Malone powtórzył pytanie:

- Jak dawno temu byłeś w Londynie?  
 - Pojechałem tam prawie dwadzieścia lat temu. Wróciłem przed ośmiu laty.  
 - I dorobiłeś się tego wszystkiego w osiem lat? - Malone zatoczył ręką wokół.

W Londynie czytałem wszystko co dotyczyło Australii. Ziemia obiecana. Skoro ci wszyscy Angole, Węgrzy i inni podobni, mogli zrobić tu fortuny, to dlaczego nie ja?

- I zrobisz. Gładko?

- Właśnie. Całkiem gładko.

- Wciąż zajmujesz się muzyką?

- Nie, zostawiłem to w połowie lat siedemdziesiątych. Odszedłem zanim zupełnie ogłuchłem. Zająłem się nieruchomościami. To cichy interes i nie musisz szarpać się z tymi małymi oberwańcami. Ale do czego zmierzasz?

- Ta dziewczyna zakochała się w kimś, kogo poznała w Londynie dziesięć lat temu, może trochę więcej. Ten człowiek miał imię lub nazwisko na literę B. To mógłby być Brian.

- Albo Bill, Borys, Buster, jakkolwiek inny cholerny B. Chyba to spotkanie ze starym kumpłem przestaje mnie bawić.

- Być może już nie pamiętasz, ale policję wymyślono nie po to, by bawić. Wykonuję swoją pracę, panie O'Brien. Próbuję znaleźć mordercę dziewczyny.

O'Brien milczał przez chwilę.

- Jasne, rozumiem. Jestem trochę rozstrojony. Mam tyle spraw na głowie.

- I, jakby natychmiast żałując tej chwili słabości, podniósł się i ruszył żwawym krokiem do okna.

- Przykro mi z powodu śmierci tej dziewczyny, ale poza wami dwoma, mam ostatnio wielu innych skurczybyków na karku, którzy próbują mnie wrobić.

- W porządku. Ostatnie pytanie: powiedz mi, gdzie spędziłeś weekend?

Przez moment wydawało się, jakby O'Brien nie usłyszał pytania. Wreszcie odwrócił się od okna. Deszcz zaczął lać na dobre i obraz miasta był zupełnie rozmazany. Na jego szarym tle napiętą twarz O'Briena wykrzywił grymas.

- Nie mogę ci powiedzieć, Scobie.

- Nie żartuj. Chyba zdajesz sobie sprawę co to znaczy.

- Byłem w towarzystwie kobiety. Nie mogę jednak podać jej nazwiska.

- Jesteś żonaty?

- Byłem. Dwukrotnie. Jestem rozwiedziony, chyba od dwunastu lat. Moje byłe żony są w Londynie. Nie miałem dzieci. Obie wyszły powtórnie za mąż i



o ile wiem, nie mają potrzeby myśleć o mnie. To wszystko. Jeżeli jeszcze nie skończyliście, to chciałbym wezwać mojego adwokata.

Malone podniósł się.

- Na razie nie ma takiej potrzeby. Ale być może wrócimy, panie O'Brien.

- Panie? Czy mam rozumieć, że powinienem zwracać się do ciebie panie inspektorze? Byliśmy kiedyś kumplami. No, prawie.

- Nie sędzę, abyśmy kiedykolwiek byli kumplami. Ty byłeś samotnikiem. Zawsze czatowałeś na główną wygraną.

## 2.

„Brian Boru” - Pomijając uwielbienie, z jakim wymawiała te imiona, ich zestawienie łączyło w sobie ducha Irlandii i Francji równocześnie. Pod warunkiem, że miało się chociaż odrobinę wyobraźni.

- Będę za godzinę.

- Nie możesz prędeż?

- Nie, nie dam rady. Czy to coś poważnego?

- To nie jest temat na teraz. Spotkamy się za godzinę.

Odwiesiła słuchawkę i stała zdumiona, patrząc na ogród pogrążony w deszczu. Jego głos brzmiał niepokojąco, ale co ważniejsze, najwyraźniej potrzebował jej pomocy. Niemal każdego wieczoru przed zaśnięciem rozmyślała, dlaczego uwikłała się w ten związek. Spotykała już różnych mężczyzn, wielu atrakcyjnych i bardziej ujmujących swym podejściem do kobiet. Lecz gdyby miłość dawała się zdefiniować, to umarłaby już dawno temu. Psychoanalitycy uczyniliby z niej jedną z gałęzi nauk klinicznych. Była zakochana kilkakrotnie, zanim została mężatką i serce, jeżeli nie rozum, mówiły jej, że istotą miłości jest fakt, iż nikt nie potrafi zgłębić jej naprawdę. Nie kochała męża - co do tego nie miała wątpliwości - od wielu miesięcy, jeszcze przed poznaniem Briana. Rozwód nie wchodził jednak w rachubę. Nie można, ot tak powiedzieć odchodzę, kiedy się jest żoną premiera. Przynajmniej, póki piastuje ten urząd.

Rozważania przerwał gwar dochodzący z dużego salonu. Kirribili House, rezydencja premiera w Sydney nie należała do jej ulubionych miejsc; zawsze porównywała ją z Admiralty House, rezydencją gubernatora. Oba domy wybudowane zostały w XIX wieku przez ludzi o wielkich aspiracjach. Ale Gibbes był widocznie zdolniejszy. Tak przynajmniej uważała ona. Absorbowało ją to na tyle, że nie miałyby nic przeciw temu, aby jej mąż został mianowany kiedyś generalnym gubernatorem.

Wchodząc do salonu usłyszała fragmenty plotek, uczestniczek porannej herbatki dobroczynnej. Ochronka dla głuchych dzieci stanowiła główny obiekt jej działalności i zawsze z zadowoleniem myślała, jak szczęśliwe są dzieci, które nie muszą słuchać tej głupiej gadaniny.

- Widziałaś jej męża? Mówi, że jest szybszy od wiatru.

- Po co nam mężczyźni? Zaczynam rozumieć lesbijki.

- Ta pisarka, o tam, jak ona się nazywa? Podobno pisze swoje własne wspomnienia.

- Sypiąją osobno - usłyszała z drugiej strony. Powoli dostojne damy opuszczały salon.

Penelopa Debbs stanęła przed nią w chwili, gdy była już pewna, że udało jej się pozbyć nudnego towarzystwa.

- Zawsze z taką radością przychodzę do Kirribili, Anito. Jesteś taka szczęśliwa - zaczęła, jak zwykle.

- To przychodzi z zasługami. Dobrze wiesz, że w okolicy Point Piper, za parę milionów możesz znaleźć coś dla siebie.

- Jestem z Partii Pracy, czyżbyś zapomniała? Wyrzuciliby mnie za burtę, gdybym tylko o czymś takim pomyślała.

- Nie ciebie, Penelopo.

Mówiono, że jako minister rozwoju przyczyniła się głównie do rozwoju swojej własnej osoby. Zostawiła za sobą wiele osób, pogrzebanych w umiejętnie wywołanych lawinach.

Spojrzała teraz swoimi zielonymi, przenikliwymi oczami.

- No tak, masz rację.

Penelopa chciała zakończyć rozmowę.

- Pozdrów Arnolda.

Arnold Debbs był liderem opozycyjnej Partii Pracy. Razem z Penelopą stanowili groźną parę.

- Powiem mu. A co u Filipa? Myślę, że ma się dobrze.

- Jest bardzo zajęty. Przekażę mu pozdrowienia. Miło było cię widzieć.

Nareszcie dom był pusty, jeśli nie liczyć pokojówek, sekretarki i policjanta z ochrony. Pragnęła jak najszybciej uciec do Briana.

W pośpiechu wbiegła na górę, sprawdziła makijaż, wpadła do łazienki. - Nerwy mam napięte, jak nastolatka przed pierwszą randką - pomyślała.

W holu natknęła się na sekretarkę.

- Wychodzi pani? Zawiadomię sierżanta Longa.

- Nie, dziękuję ci, Gracjo. Pojadę sama. Mogę wziąć twój samochód?

Często, gdy wyjeżdżały prywatnie, korzystały z auta Gracji. Było to znacznie wygodniejsze niż posługiwanie się oznakowanym samochodem służbowym.

Gracja spojrzała z zaciekawieniem.

- No, nie wiem. Nie mam nic przeciwko temu, ale sierżant Long wścieknie się.

- A więc nie mów mu nic. Chyba, że cię zapyta.

- Mogę wiedzieć, dokąd pani jedzie? Nie pytam ze zwykłej ciekawości. Ted Long mówił, że nie było pani w sobotnią noc i znowu wczoraj ...Dzwonił do mnie. Pytał, czy coś wiem. Nie mówił pani o tym?

- Tak, wspominał dziś rano. Powiedziałam mu, że byłam z wizytą u starej przyjaciółki, która ostatnio ma kłopoty i im mniej ludzi o tym wie, tym lepiej.

- Czy to samo chce mi pani powiedzieć teraz?

Anita zawahała się przez moment. Potem położyła rękę na ramieniu Gracji i cichym głosem opowiedziała jej o swej znajomości z O'Brienem.

- Jadę teraz na spotkanie z nim.

Gracja ściągnęła usta, jakby chciała zagwizdać.

- Wygląda pani na bardzo szczęśliwą. Tu są kluczyki. Zajmę się sierżantem.

Anita wyszła w pośpiechu.

Jechała drogą w kierunku północnego wybrzeża. Skręciła w stronę Killary. Właśnie tutaj się wychowała i kiedy Filip kupił niewielki dom przy jednej ze spokojnych ulic, czuła się tak, jakby nigdy nie opuszczała tego miejsca. Była jego częścią. Jej rodzice mieszkali o parę ulic stąd. Stanowili filary miejscowej społeczności; solidne doryckie kolumny, i jej obecne postępowanie byłoby dla nich śmiertelnym ciosem.

Wjechała na podjazd. Lubiła ten stary dom, ogród i basen. Zaparkowała w garażu i podeszła do drzwi. W tym samym momencie pojawił się Brian. Szybko zmierzał ku drzwiom. W płaszczu z podniesionym kołnierzem i kapeluszu wciśniętym na oczy, wyglądał jak czarny charakter z nocnego dreszczowca.

- Gdzie zaparkowałeś samochód?

- Szybko do środka!

Wepchnął ją gwałtownie przez drzwi.

- Nie ma tu nikogo?

- Oczywiście, że nie. - Miała ochotę roześmiać się z tej dziwnej sceny, ale jego twarz powstrzymała ją. - Dlatego właśnie tutaj się spotykamy. Tak samo jak ty, nie mam ochoty, aby ktoś nas zauważył. Ale o co właściwie chodzi? Filip? Czy on czegoś się domyśla? - zapytała z obawą.

- Nie! Z nim potrafiłbym sobie poradzić. Gdzie możemy porozmawiać?

- Odpręż się. Jesteśmy tu sami.

Poprowadziła go do pokoju, który wychodził na ogród i basen.

- Mam poważny problem - zaczął O'Brien.

- Słyszałam o kłopotach twojej firmy. Filip wspominał o tym, przeglądając gazetę podczas śniadania.

- Nie, to nie to. - Nigdy dotąd nie widziała go tak zdenerwowanego. - Zamordowano dziewczynę w naszym mieszkaniu.

- Naszym mieszkaniu?

Naraz zrozumiała. Spotkali się tam parę razy. Brian zawsze zapewniał ją, że miejsce jest całkowicie bezpieczne i nikt nie będzie im przeszkadzał. Wciąż jednak miała wrażenie, że bywało tam znacznie więcej podobnych par. Potem pogodziła się z faktem, że każdy dom poza jej własnym będzie wywoływał takie skojarzenia.

- Dziewczyna ... zamordowana? Jaka dziewczyna?

- Taka jedna. Znałem ją kiedyś.

Znał wiele różnych kobiet. Domyślała się tego, chociaż nigdy nie pytała o to. *Jesteś jedyną kobietą, którą naprawdę pokochałem*, powiedział jej kiedyś i to jej wystarczyło. Jest twardym przeciwnikiem w interesach; tak opisał go jeden z ministrów, ona natomiast wierzyła, że potrafi odróżnić fałsz od prawdy, choćby bolesnej.

- Rozstałem się z nią. Powiedziałem, że wszystko skończone, ale ona nie chciała wierzyć.

- Jak to się stało?

- Nie wiem. Policja prowadzi dochodzenie.

- Byli u ciebie?

Skinął głową.

- Co im powiedziałeś?

- Nic. Głupio zrobiłem. I tak dojdą prawdy. Przestraszyłem się. Myślałem tylko o tym, by ochronić ciebie.

- Powiedziałeś, że jej nie znasz?

- Zaprzeczyłem nawet, że wiem o tym mieszkaniu. Wiem, to głupie, ale chciałem uniknąć kolejnych pytań. Ona została zamordowana w ostatni weekend, kiedy byliśmy razem. Powiedziałem, że byłem w towarzystwie kobiety, ale nie mogę podać jej nazwiska.

Odetchnęła z ulgą.

- Jak zginęła ta dziewczyna? Napad? Włamanie?

- Policja twierdzi, że została zastrzelona.

- Bywałeś z nią w tym mieszkaniu?

- Tak, ale zanim spotkałem ciebie.

- Była mężatką?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Byłabyś doskonałym detektywem.

- Przepraszam. Staram się tylko trzeźwo myśleć. Powinieneś powiedzieć prawdę. Na dłuższą metę to się zawsze opłaca.

- Tak sądzisz? - odparł szorstko. - Ty, żona polityka. Wiesz co to oznacza?

Nie odczuwała strachu. Całą uwagę poświęciła jak dotąd kłopotom, w które

on mógł się wplątać próbując osłonić ją. Sześć miesięcy wcześniej posądzenie jej o potajemną znajomość z mężczyzną nienawidzonym i potępianym, wywołałoby jedynie pusty śmiech. Będąc żoną premiera, matką dwojga dorosłych dzieci, a ostatnio babcią, była równocześnie jedną z pięciu najpopularniejszych kobiet w kraju. Fakt, że wciąż pozostawała piękna, a jej figura dzięki kasetom z Jane Fonda i jej własnym genom nie budziła zastrzeżeń. Wystarczająco inteligentna, by być żoną najbardziej podziwianego premiera ostatniej dekady, dodawała mu uroku i była ozdobą licznych spotkań, wieców i uroczystości. On sam z kolei pasował idealnie do współczesnych wyobrażeń na temat człowieka będącego reprezentantem wybierających go ludzi. Starszy syn, który odziedziczył po ojcu ten image był już samodzielny i zajmował odpowiedzialne stanowisko w jednym z londyńskich banków. Córka poślubiła lekarza i mieszkała obecnie w północnej części kraju. Ogólnie rzecz biorąc była kobietą o jasno określonych zasadach moralnych i mogła być przykładem odpowiedzialności.

I nagle, nie wiadomo nawet kiedy, została wplątana w morderstwo. Dopiero teraz zaczęła rozumieć powagę całej sytuacji.

- Czy ten ktoś chciał zabić również ciebie?

Opadł na oparcie fotela i założył ręce za głowę.

- Myślałem o tym. Mam wielu wrogów, ale nigdy nie przypuszczałem, że ktoś może chcieć mnie zabić. Boże, ja nie znoszę przemocy!

Przyjrzała mu się uważniej. Nie był człowiekiem o tak klasycznym wyglądzie jak Filip. Jedynie siwe pasemka na skroniach dodawały mu powagi. Należał do generacji ludzi sukcesu, którzy mnożyli się w ostatnich czasach jak króliki, ale w odróżnieniu od innych nie obnosił się ze swym bogactwem. Owszem mieszkał w luksusowym hotelu, ale nikt nie mógł powiedzieć: - O, spójrzcie! To właśnie pałac, wart dziesięć milionów, tego sukinsyna O'Briena. Nie miał jachtu, nawet samochodu. Kiedyś w Londynie jeździł rolls-royce'em, ale w tamtych czasach, jak mówił, od wszystkich ludzi show biznesu oczekiwano posiadania własnego rollsa. Było to symbolem społecznego statusu. Dla niej był przykładem dżentelmena ze starej szkoły. Nie był dżentelmenem

w łóżku, ale nie oczekiwała tego. Przypuszczała, że nie może istnieć nic bardziej nudnego niż kochanie się z dżentelmenem, nawet ze starej szkoły. Był sumą wielu przeciwieństw, których nie potrafiła do końca rozszyfrować. Wciąż kryło się w nim coś tajemniczego.

Spędzili ten weekend w jednym z hoteli na centralnym wybrzeżu; zimą nie przyjeżdżało tam zbyt wielu gości, nie potrzebowali się więc obawiać, że zostaną zauważeni przez jakieś niepożądane oczy. Maskowali się zresztą dodatkowo. W blond peruce i okularach wyglądała wprawdzie na znacznie starszą, ale nie spędzała tego weekendu z kimś młodszym od niej o połowę. Spędzili ten czas cudownie.

- Musisz pójść na policję i wyznać całą prawdę.

Pokręcił głową bez przekonania.

- Nie mogę przecież powiedzieć o tobie.

- I nie mów. Mam nadzieję, że nie będziesz musiał. Potrzebujesz ich ochrony.

- Kochanie, policja nie zapewnia ochrony, dopóki nie potrzebuje cię jako świadka.

- Ja mam ochronę - wyrwało się jej nierozważnie. - Mimo to uważam, że powinieneś pójść i powiedzieć im o.. .no wiesz, jak ona się nazywała?

- Mardi Jack, piosenkarka. Nie sądzę, abyś o niej słyszał.

Poznałem ją w Londynie dawno temu, zaraz po tym jak moje drugie małżeństwo rozsypało się.

*Boże! Ty i twoje kobiety.* Pierwszy raz poczuła zazdrość. Głośno powiedziała jednak tylko:

- Nie opowiadaj mi o niej nic więcej.

- Dowiesz się wszystkiego z gazet.

- Wolałabym nie.

- Prasa dobierze się do mnie, kiedy tylko wyjdzie na jaw, kto był właścicielem mieszkania. Nadchodzą naprawdę ciężkie czasy.

Podszedł wolno do okna. Deszcz przestał padać, jedynie z drzew i krzewów wciąż spadały ciężkie krople wody. W szarym ogrodzie wiatr roznosił liście. Od zachodu nadciągały następne posępne chmury. Jednym z powodów, dla których opuścił Anglię, był właśnie klimat. Miał wtedy trzydzieści pięć lat

i nie wyobrażał sobie, że resztę życia miałby spędzić w tak ponurej atmosferze. Teraz nawet pogoda przestała mu sprzyjać.

- Myślę, że nie powinniśmy się spotykać przez jakiś czas. Tak będzie rozsądniej. - Położył ręce na jej ramionach. - Nigdy nie wybaczyłbym sobie, gdyby coś ci się stało.

- Stanie się, jeśli nie będę cię widywać.

Wiedziała doskonale, że Brian ma rację, ale nie potrafiła tak łatwo pogodzić się z myślą o rozstaniu.

- Jak to się stało, że zawędrowaliśmy tak daleko?

### 3.

Zadzwoił telefon. Clements podniósł słuchawkę. Zanotował coś i podszedł do Malone'a, który przeglądał meldunki dotyczące innych zabójstw, nadesłane z Sektora Południowego.

Kiedy prawie dwa lata temu w departamencie tworzono sekcje regionalne, nikt nie był w stanie powiedzieć, kto i dlaczego wymyślił taki właśnie podział. Rejon południowy, obejmujący większą część Sydney na południe od portu, biegł dalej wąskim paskiem przez około sto osiemdziesiąt kilometrów w dół wzdłuż wybrzeża, a potem nagle odcięty idealnie prostą linią, sięgał do Południowej Australii obejmując cały obszar, aż do granicy Viktorii. Na mapie wiszącej obok na ścianie, wyglądało to jak wielka siekiera postawiona na głowie. Żartowali między sobą, że tą siekierą powinien dostać w głowę ten, kto wpadł na takie genialne rozwiązanie.

Malone odrzucił papiery z niechęcią.

- Co tam masz?

- Dzwonili z balistyki. Twierdzą, że wszystkie trzy pociski pochodzą z tej samej broni. Kaliber 0.243. Winchester, Tikka lub coś podobnego. Nie mają wątpliwości.

- Interesujące. Dokąd to nas prowadzi? Troje ludzi sprzątniętych w trzech różnych miejscach przez tego samego zabójcę. Czy oni znali się wzajemnie?



- Nic na to nie wskazuje.
  - Kto mógłby mieć powód, by zabić robotnika, policjanta i drugorzędną piosenkarkę? - Malone spojrzął na wielki plan Sydney.
  - Te miejsca są odległe od siebie o kilkanaście mil.
  - Może należy włączyć O'Briena? Jeśli to on był celem, a nie dziewczyna? Malone pokręcił głową.
  - Taka koncepcja jeszcze bardziej komplikuje sprawę. Gdyby on był celem, zabójca nie powinien popełnić takiego błędu. To profesjonalista.
  - Byłem w tym mieszkaniu przed tobą, Scobie. Światło wciąż było włączone. Dwie małe lampki. Krótko obcięte włosy, spodnie; pod światło z pewnością można ją było wziąć za mężczyznę.
  - Sam mówiłeś o lunecie.
  - Nie wiem. Może facet musiał się spieszyć? W tym rejonie co dwie godziny pojawia się patrol.
  - Ale nie na dachu.
  - Wiem ... No dobrze. Próbuję na siłę wciągnąć w to O'Briena. Ten facet pasuje mi jako rzeczywisty obiekt.
  - Szukasz łatwego rozwiązania?
- Clements skinął głową. To ta pogoda. Nie lubię, jak mi moknie tyłek. Marzę o tym, by siedzieć i czekać, aż rozwiązanie pojawi się na moim biurku.
- Rozważania Clementsa przerwał telefon. W słuchawce odezwał się głos komisarza Danforth: - Możesz wpaść do mnie, Scobie?
- Teraz?
  - Tak. Jest tu sierżant Chew z północnego i Ludke z Parramatta.
- Malone odłożył słuchawkę i zaklął pod nosem. Nie znosił starego, który uważał, że w nazwie „siły policyjne” to pierwsze słowo oznacza istotę działania. Nigdy nie myślał o żadnej strategii. Chyba nawet nie wiedział, że istnieje coś takiego. Był dwukrotnie oskarżony o korupcję, ale nic mu nie udowodniono.
- Muszę iść do Danforth. Chyba masz rację wiążąc te trzy przypadki. Wyślij tymczasem kogoś ze zdjęciem O'Briena do tego domu. Niech pytają

wszystkich stałych mieszkańców. Jeśli on tam był, to ktoś musiał go zauważyć.

- Nie wierzysz, że nie znał tej dziewczyny?
- Nie. A ty?
- Ani trochę - zgodził się Clements. To urodzony kłamca.
- Zobaczmy - powiedział Malone i wyszedł z pokoju.

Szef Departamentu Policji, Harry Danforth był potężnym mężczyzną, ale większość jego mięśni obrosła już warstwą tłuszczu. Miał cętkowaną twarz i podstępne raczej niż chytre oczy. Krótko ostrzyżony, mówiący głosem przeżartym nadmiarem whisky i papierosów, był reliktem w nowym, klinicznie czystym departamencie. Swym obrazem przywoływał wspomnienia starych, ponurych posterunków policji.

- Znacie się, prawda? - zapytał wchodzącego Malone'a, wskazując na siedzących w jego gabinecie gości.

Malone spotkał się już z nimi przy jakiejś okazji. Słyszał, że Ludke, urodzony w Niemczech choć wyglądem przypominający południowca, należy do uczciwych i ciężko pracujących gliniarzy. Jack Chew pochodził z rodziny starych chińskich imigrantów. Przy krępej, mocnej budowie ciała zachował orientalne rysy twarzy nie pozostawiające wątpliwości co do swoich korzeni.

Przywitał się i zajął wskazane mu miejsce.

- Będę nadzorował i koordynował dochodzenie dotyczące tych zagadkowych zabójstw - kontynuował Danforth. - Obie ofiary zostały zastrzelone z tej samej broni.

- W trzecim przypadku także - wtrącił Malone. - Właśnie dostaliśmy wyniki analizy.

Wszyscy spojrzeli na niego z ciekawością. Danforth gniótł głowę swymi wielkimi łapami, jakby starał się zmusić ją do myślenia.

- Będziecie pracować niezależnie, w porządku? Kopie waszych raportów chcę mieć na biurku codziennie rano. W ten sposób będę mógł koordynować wasze działania.

- Co ustaliliście dotąd? - zapytał Malone.

- Niewiele - odezwał się Ludke i podsunął kopię swojego raportu. - Terry był czysty. Żadnych powiązań ze światem przestępczym.

- Nie miał kontaktów z Azjatami? Macie tam jakieś wietnamskie gangi.  
- Nie. Kiedy zaczęły się z nimi problemy, on siedział już wyłącznie za biurkiem.

- A co u ciebie Chew?

- Nic. Facet prowadził typowe życie nomada. Wędrował z miejsca na miejsce, aż w końcu ożenił się i osiadł na stałe. Był dobrym mężem. Nic mu nie można zarzucić.

- A więc? Co was sprowadza?

- Spójrz na to - Chew podsunął mu kolejną kartkę.

Malone rzucił okiem i zrozumiał natychmiast; wstąpił do akademii policyjnej w lutym 1965. Harry Gardner?

- Porzucił policję zaraz po skończeniu i włączył się po kraju przez pięć lat.

- Gdzie jest twój raport? - zapytał Danforth.

- Nic nie wspomniałeś, że mam go przynieść. - Próbował sobie przypomnieć twarze ludzi sprzed dwudziestu czterech lat.

- Teraz sobie przypominam. Był w mojej grupie .... Boże!

- Co takiego?

- To wszystko się wiąże. Clements miał rację. Mardi Jack została zastrzelona przez pomyłkę.

Opowiedział im o swoim przypadku i o wizycie u Briana Boru O'Briena.

- Teraz to jasne. Morderca polował na O'Briena.

- Dlaczego? - zapytał Chew.

- On też był w akademii. Wszyscy byliśmy kadetami tej samej grupy.

W gabinecie zapadła głęboka cisza. W końcu przerwał ją Ludke:

- Czy to oznacza, że ty też jesteś na tej liście?

# Rozdział czwarty

## 1.

Malone wysiadł z samochodu i czekał, aż Lisa i dzieciaki wygrzebią się ze środka. Zamknął drzwi i włączył alarm. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie zdjąć dekli z kół i nie schować ich do bagażnika, ale stwierdził, że to zbyt wiele roboty i zrezygnował. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że jest gliniarzem i mógł liczyć na respekt u nich. W tej części miasta, nawet w czasach gdy tu mieszkał, nikt nie przepadał za gliniarzami. Nawet jego ojciec nienawidził ich.

Con Malone czekał przy drzwiach tarasowego domu, podobnego do tego, w którym mieszkała Mardi Jack. Erskineville nie osiągnęło jednak tak wyrafinowanego poziomu jak inne dzielnice miasta. Od czasów kiedy tu zamieszkał, napłynęło wielu imigrantów, którzy zajęli miejsca Brytyjczyków i przemalowali na jaskrawsze kolory brązowe kiedyś fronty domów. Con nie cierpiał imigrantów i kiedy w końcu pogodził się z obecnością Włochów i Greków, pojawili się w okolicy Azjaci. Trwał odtąd w stanie ciągłej wojny, choć nigdy naprawdę niewypowiedzianej.

- Cześć dzieciaki! - Nie należał do dziadków rozpieszczających swe wnuki. Przywitał się z Lisą i Scobim. - Babcia czeka z obiadem. Pospieszcie się.

- Nie wypijemy drinka przed obiadem? - zapytał Malone.

- Nie uda ci się z mamą - uśmiechnął się Con. - Jak w pracy?

- Nic nowego - odparł Malone podążając za rodziną i ojcem w głąb domu. Wchodząc tu miał wrażenie, jakby wracał do innego życia. Pomimo że lubił rodziców i spędził tu całe dzieciństwo, zawsze odkąd pamiętał, chciał stąd uciec. Ciemne, małe pokoje, wszechobecny zapach kuchni, hałas z sąsiedztwa; był pewien, że są lepsze miejsca do zamieszkania, nawet w czasach,

gdy nie czuło się jeszcze presji Azjatów. Rodzice wrosli w to miejsce zbyt mocno, by myśleć o jakiegokolwiek zmianie. Czuli się bezpiecznie w tym małym wąskim domu.

- Obiad na stole! - Babcia usadziła dzieci i przywitała się z nim bez zbytej wylewności.

Con postawił na stole butelkę czerwonego wina - ukłon w stronę Lisy. Najwyraźniej ojciec zmienia się na starość. Szkoda, że dopiero teraz.

Po obiedzie usiedli obaj w fotelach sącząc resztę wina.

- Ktoś zastrzelił gliniarza w Parramatta. Pracujesz nad tym?

- Nie, to nie mój rejon. Mam swój własny, podobny przypadek.

- Ta dziewczyna z Clarence Street? - Nie znosił policji, ale pilnie śledził wszystkie policyjne kroniki. Nie akceptował też pracy swego syna, lecz wiedział doskonale jak wielkie ryzyko jest z nią związane. - Ostatnio ginie coraz więcej gliniarzy, prawda? - stwierdził, przyglądając się lampce wina z miną konesera.

Malone podzielał obawy ojca, nie dał jednak poznać tego po sobie.

- To inny świat, ojciec - odezwał się w końcu.

- Czy nic ci nie grozi? - Nigdy dotąd nie zadał podobnego pytania. - Do-  
stajesz czasem jakieś pogróżki?

- Raz, czy dwa - odparł z lekceważeniem.

- Rozmawiałeś o tym z Lisą?

- Nie. A ty kiedy byłeś zaangażowany w związkowe walki dokerów, mówiłeś o tym mamie?

- Oczywiście, że nie. - Przyglądał się pustej lampce w zamyśleniu. - Gdy-  
byś miał kłopoty daj mi znać.

- Po co? Co masz zamiar wtedy zrobić.

- Nie wiem. Pewnie nic. Ale chciałbym wiedzieć.

Malone wpatrywał się w swoją lampkę wina, którego kolor kojarzył mu się teraz z kolorem krwi. - Nie przynoszę kłopotów z pracy. W domu i tak ich nie brakuje. Nie rozmawiam o tym z Lisą. Potrafię sam sobie radzić. Mam nadzieję, że zająłbyś się Lisa i dziećmi, gdyby coś się stało.

- Po co o tym mówisz? - Con spojrział urażony. - Jezu Chryste!
- Kto tu bluźni? - rozległ się głos matki. - Gdyby dzieci was słyszały.

Dzieci w jej pojęciu były aniołami, które należy chronić od wszelkiego zła. Skrapiała święconą wodą mieszkanie zmywając brudy grzechów, popełnianych głównie w jej wyobraźni. Była bardzo pobożna, ale niewiele z tego przepłynęło na ojca i syna.

Lisa podeszła do ojca i objęła go rękami.

- Nie obawiaj się, że nauczysz ich czegoś złego. W telewizji codziennie oglądają dużo gorsze rzeczy.

- Nie w tym domu - wtrącił z uśmiechem Malone. Mama podłączyła swoją antenę wprost do kościoła św. Marii. W programie kazania i hymny, a wiadomości tylko, jeśli są dobre.

Wszyscy, włącznie z matką, roześmiali się głośno.

Wyruszyli w drogę powrotną, zadowoleni z tych kilku chwil spędzonych z rodzicami. Malone, rozleniwiony, spokojnie skręcił do głównej ulicy. Auto jadące z tyłu od samego niemal początku podążało nadal za nimi. - Co to może znaczyć? - pomyślał z niepokojem. Skręcił raz, potem drugi - nie miał już wątpliwości. Zacisnął ręce na kierownicy. Co robić? - myślał gorączkowo. Podjechać pod posterunek policji? - Nie, to zaalarmuje Lisę i dzieci; nie można ich straszyć. Może to tylko przypadek. Spojrzął w lusterko - wciąż jest. To nie złudzenie. Skręcił w kierunku Randwick. Zaczął się padać deszcz. Nagle zdrętwiał. - Prowadzę go wprost do domu. Tylko spokojnie. Skoro znalazł mnie u rodziców, to wie też na pewno gdzie mieszkam.

Podjechał i ostro zahamował. Szarpnięcie obudziło Toma. Brama była zamknięta. Obejrzał się. Ciemne auto z wygaszonymi światłami zatrzymało się pięćdziesiąt jardów dalej. Zawahał się przez moment.

- Niestety nie mamy automatycznie otwieranej bramy - odezwała się Lisa.
- Tata mówi, że nie stać nas na taki wydatek - skomentowała Maureen.
- Ja otworzę! - wyrwał się Tom.

- Siedź na miejscu! - krzyknął gwałtownie Malone.

Wysiadł z auta zanim Lisa zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Skulony, jakby chroniąc głowę przed deszczem, ruszył w kierunku bramy. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że zupełnie bezmyślnie zostawił włączone reflektory. Szarpnął nerwowo zamek, wiedząc jak doskonały stanowi cel. Zesztywniałymi palcami wyrwał w końcu bolec i odepchnął oba skrzydła. Odwrócił się i wtedy zobaczył, że auto ruszyło gwałtownie w jego kierunku. Skoczył do przodu i szeroko rozłożonymi rękami starał się osłonić siedzącą w samochodzie rodzinę. Auto nadjeżdżało z szaleńczą prędkością. Oślepiiony światłami, przez moment myślał, że szalenciec chce staranować jego wóz, ale ten przejechał obok rozpryskując tylko kałuże. Zanim zdążył się zorientować, auto zniknęło już w ciemnościach nocy. Kierowca nie był głupcem. Oślepiiony Malone nie miał szans odczytać numerów. Stał jeszcze chwilę na miękkich nogach, aż wreszcie uświadomił sobie, że Lisa i dzieci patrzą na niego z przerażeniem. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Co to było? - zapytała Claire.

Lisa siedziała sztywno, ale nie odezwała się.

- Jakiś cholerny, pijany kierowca. Myślałem, że w nas uderzy.

Podjechał do garażu. Lisa wysiadła, dała klucz Claire i ostro zawołała:

- Wysiadać szybko! Myć się i spać. Dopilnuj, by Tom umył zęby.

- A wy? - zapytała Maureen.

- Zrozumiałaś, co powiedziałam? - krzyknęła Lisa.

Claire wzięła klucz patrząc na nią ze zdziwieniem. Reszta potulnie wysiadła z auta.

- To nie był pijany kierowca - odezwała się, kiedy już zostali sami. - Co się dzieje?

Usiadł na mokrym zderzaku, skurczył się, jakby uszło z niego powietrze, aż wreszcie zgaszonym głosem zaczął:

- Prawdopodobnie jestem na liście mordercy - szaleńca. To stara sprawa.

Słuchała z rosnącym przerażeniem. Potem przytuliła się mocno. Poprzez grubą, zimową odzież czuł, jak mocno bije jej serce.

## 2.

- Musisz podejść do tego ze spokojem. Nigdy nie obiecywałem, że nie jest to ryzykowny interes. - O'Brien starał się mówić możliwie swobodnie.

- Nie opowiadaj mi takich rzeczy. - gwałtownie przerwał mu Arnold. - Moja kariera wisi na włosku. Jeśli nie wyciszysz tego szumu, to będę skończony. Możesz mi wierzyć, że zadbam wtedy również o ciebie.

Jeszcze kilka miesięcy temu O'Brien nie zniosłby takiego zachowania. Osiągnął znacznie więcej w ciągu ostatnich paru lat, niż mogłoby się wydawać z pobieżnego przeglądu jego stanu posiadania. W Anglii bardzo niewielu polityków dałoby się kupić. Tutaj, wraz z nagłym, gwałtownym rozwojem, pojawiały się nowe elity i znalezienie urzędnika gotowego wziąć łapówkę nie stanowiło problemu. Apetyty były nienasycone. Arnolda spotkał drugiego dnia po wylądowaniu, a w tydzień później poznał jego żonę Penelope.

Zdawał sobie sprawę, że istnieje możliwość zmiany frontu przez wspólników; za łapówki nie kupuje się przyjaźni. Ale interesy to nie zabawa i nie ma w nich miejsca na sentymenty. Hazard ma to do siebie, że czasem trzeba odejść od gry i zaczynać od początku. W każdej innej sytuacji byłby na to gotów, ale teraz, gdy poznał Anitę, potrzebował szacunku i uznania wśród ludzi z wyższych sfer. Tylko wtedy mógłby być dla niej partnerem, a nie przelotną rozrywką.

- Wrobiłeś nas Brian w dzierżawę tej kopalni.

- Arnold, to jest biznes. Dostałeś obiecaną zapłatę.

- Nie pieprz! - Temperament Debbsa dawał znać o sobie. - Mogliśmy mieć z tego znacznie więcej, a mamy tylko kłopoty. - Jesteś cholernym oszustem, którego powinni wsadzić za kratki.

- Powiedziałem ci, że możesz spać spokojnie. Twoje nazwisko nigdzie nie figuruje.

- Masz mnie za durnia? Akcje są własnością firmy i nie tak trudno dojść, kto jest z tym powiązany. Ci cholerni młodzi dziennikarze. Czytasz gazety? Nie mają nazwisk, ale podają mnóstwo szczegółów. Ilu innych załatwiłeś tak jak mnie?



- Sam wiesz, w jakim świecie się obracasz.
- Narażasz swoje pieprzone życie Brian, pamiętaj!
- Uspokój się, Arnold - O'Brien próbował złagodzić napięcie.

Na podjeździe przed budynkiem ukazał się samochód.

- Kto to?
- Nie mam pojęcia.
- Mam nadzieję, że nie żaden zasrany pismak.

Auto zatrzymało się za niebieskim volvo Arnolda. Za kierownicą siedział Malone.

- Cholera! - zaklął O'Brien. - To policja.

Malone zauważył natychmiast, że nieznany mu gość Briana zeszytniał na jego widok. Ciekawe co ma na sumieniu - pomyślał rozbawiony w głębi duszy.

- Przykro mi, że przeszkadzam, panie O'Brien.

- W porządku. Pan Debbs właśnie odjeżdża. Wpadł obejrzyć swojego konia, którym się opiekujemy. Jeżeli pan pozwoli, inspektorze, to odprowadzę go do samochodu.

Malone patrzył za odchodzącymi. Rozmawiali cichym głosem, nerwowo, jakby się kłócili. W końcu pożegnali się nad wyraz serdecznie i Debbs odjechał. O'Brien zawrócił i szybkim krokiem ruszył w kierunku Malone'a.

- Ci cholerni właściciele koni - zaczął, wzdychając z niezadowoleniem. - Tylko kłopot z nimi.

- Sam jesteś jednym z nich, nie? Całego stada koni, jak poinformował mnie sierżant Clements. - Zawsze sobie radziłeś, Horrie.

- Brian.

- Nie, Horrie. Radziłeś sobie jako Horrie. O Brianie Boru nic nie wiem - odparł Malone.

Rozejrzał się wokół po zielonym padoku, oddzielnym białymi żerdziami ogrodzeń od dwóch rzędów stajen z czerwonej cegły. Klacze ze źrebkami dreptały wolno po trawie. Czarny ogier wyciągnął wysoko łeb ponad płotem i patrzył arogancko na otoczenie. Dalej, na końcu czerwonej bitej drogi stał główny budynek, niska kolonialna budowla z szerokimi białymi werandami, wyglądająca dokładnie tak jak sto lat temu, kiedy została wybudowana. Ten

rejon Camden odległy o sześćdziesiąt kilometrów na południe od Sydney, był miejscem narodzin australijskiego przemysłu owczego. Teraz stanowił prawie przedmieście wielkiego miasta. - Właśnie się nad czymś zastanawiałem. Jak to się stało, że nie jesteś znany jako właściciel tak wspaniałej stadniny? Prasa ma zwyczaj poświęcać wiele miejsca bogatym właścicielom koni.

- Pewien irlandzki filozof powiedział dawno temu: - Im niżej nosisz głowę, tym większą masz szansę, że nie dostaniesz w nią zgniłym jajem. Przyszedłeś podrzucić kilka?

Szli wolno w stronę głównego budynku. O'Brien w doskonale zharmonizowanym stroju jeździeckim przedstawiał sobą dżentelmena w każdym calu, może poza cynicznie patrzącymi oczami i nerwowością ukrywaną pod skórą. Nie potrafił przystosować się do relaksującego rytmu wiejskiego otoczenia. Przynajmniej nie teraz.

- Co cię sprowadza, Scobie? Wciąż nieszczęsna Mardi Jack?
- Po części tak. Pamiętasz jej nazwisko?
- Może wejdziemy do środka. Chcesz kawy?
- Chętnie.

Usiedli przy małym gustownym stoliku. O'Brien zaczął:

- Chyba najlepiej będzie, jak wszystko opowiem od początku. Znałem ją. Spotykaliśmy się w tym mieszkaniu.

- Byłem tego pewien. Po co próbowałeś tak naiwnie kłamać?
- Nie mogę powiedzieć ci, z kim byłem w ostatnią sobotę.
- Kobieta o której wspominałeś? Czy ona też ją znała?
- Nia miała nawet pojęcia o jej istnieniu.
- Nie miała? Czy to znaczy, że teraz już wie?
- Tak, opowiedziałem jej wszystko i to właśnie ona nakłoniła mnie do przyznania się.

- Bardzo rozsądnie. Ale nie to jest teraz najważniejsze. Mamy poważniejszy problem - zawiesił na chwilę głos. - Myślę Brian, że obaj jesteśmy na liście mordercy.

O'Brien zamilkł. Zaciśnął palce na uszku filizanki i patrząc na Malone'a z niedowierzaniem zapytał:

- Lista mordercy? Ty i ja? O czym ty mówisz?

- Jesteś zdziwiony, czy spodziewałeś się czegoś takiego?

O'Brien odstawił filiżankę.

- Może nie byłbym zdziwiony, gdybym ja był na czyjejs liście. Mam nie tylko przyjaciół. Ale ty? Nic nie rozumiem.

Malone powiedział mu o serii zabójstw. - To właśnie ty miałeś być celem w tym ostatnim przypadku, a nie Mardi. Kimkolwiek on jest, ofiary łączą jeden fakt - wszyscy byli w tej samej grupie w akademii policyjnej. Rocznik 1965.

O'Brien spowaźniał.

- Próbował cię dopaść?

- Na razie przestraszyć.

Opowiedział, co spotkało go poprzedniego wieczoru.

- To musiało być straszne dla twojej rodziny.

- Tak, dla żony. Dzieci o niczym nie wiedzą. Co miałeś na myśli mówiąc, że nie zdziwiłoby cię gdybyś był na czyjejs liście?

- To skomplikowana sprawa. Mój bank ma liczne powiązania z różnymi firmami. Niektórzy uważają się za oszukanych.

- A nie są?

- Nie zajmujesz się przestępstwami gospodarczymi, Scobie.

- Ale jak ktoś cię sprzątnie, to nie chcę iść fałszywym śladem. Wolę mieć jednego podejrzanego, nawet jeśli nie wiem kim on jest.

O'Brien uśmiechnął się krzywo.

- Jesteś cholernie zabawny.

- Słuchaj Brian, nie mam zamiaru pieprzyć się z tym. Wygląda na to, że niewinna dziewczyna została zamordowana zamiast ciebie. On na pewno spróbuje dostać cię znowu. Zabił już dwie inne osoby, poluje na mnie i Bóg jeden wie, na kogo jeszcze. To chyba dość. Nie mam zamiaru chrzanić się z jakimiś pieprzonymi facetami, których wykiwałeś na milion czy dwa. Ani z żadnym zazdrosnym mężem, z którego żoną sypiasz.

Twarz O'Briena przybrała wygląd byka gotowego do ataku.

- Trzymaj się od niej z daleka. Ta znajomość jest jedyną naprawdę wartościową rzeczą, jaka przytrafiła mi się w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Malone odłożył nadgryziony kawałek ciasta.

- Jadę do siebie. Myślę, że najlepiej będzie jak pojedziesz ze mną.

O'Brien przysiadł spokojnie.

- Nie, jeżeli mam składać jakieś zeznania.

Malone spojrział na niego uważnie.

- Będziesz musiał złożyć zeznanie dotyczące twojej znajomości z Mardi Jack. Nie możesz tego uniknąć. Nie będziemy do tego mieszać twojej przyjaciółki. Przynajmniej dopóki nie będzie to konieczne.

- Co to znaczy konieczne? W żadnym przypadku nie będę o tym mówić. Nie i już.

- Zostawmy to na razie. Chcę, abyś pojechał ze mną i obejrzał trochę zdjęć i dokumentów. Dziś rano przysłali akta z archiwum akademii. Obejrzymy sobie nasz rocznik.

O'Brien podniósł się.

- Będziesz mógł mnie zabrać z sobą? Nie mam auta. Zwykle korzystam z wynajętych.

- A ja myślałem, że wy wszyscy macie rollsy albo merce lub oba naraz.

O'Brien uśmiechnął się.

- Zaczekaj na mnie w samochodzie. Zaraz będę gotów.

Zjawił się po kilku minutach.

- Dzwoniłeś do adwokata? - zapytał Malone.

- Nie! Rozmawiałem z przyjaciółką, jeśli musisz wiedzieć.

Wsiadli do samochodu. Malone spojrział na farmę i pozazdrościł O'Brienowi, że to właśnie on jest jej właścicielem. Przyjemnie byłoby mieszkać tutaj z Lisą i dziećmi. Oddychać świeżym powietrzem, nie myśleć o mordercach, ofiarach i tych wszystkich przygnębiających zjawiskach, z którymi na co dzień miał do czynienia. Powiedział jednak zupełnie coś innego:

- Nie przyjeżdżałbym tu więcej, przynajmniej dokąd nie złapiemy tego szaleńca.

- Dlaczego? Zatrudniam tu specjalnych ludzi do ochrony.

- Cały czas?

- Nie, tylko na noc.

Malone wskazał na kępę drzew na granicy posiadłości.

- Popatrz, tam można zaparkować auto. Z takiej odległości trafi cię bez trudu i nikt nawet nie będzie wiedział, skąd padł strzał.

- To przecież ze trzy setki jardów.  
- On jest fachowcem, Brian. W celowniku optycznym jesteś tu ustawiony jak na strzelnicy. Dobrze ci radzę. I ostrzeż swoich ochroniarzy. On może ich też usunąć.

O'Brien spojrział na kępę drzew jakby chcąc dojrzeć, czy nie ma tam czegoś podejrzanego. Nie było strachu na jego twarzy ale napięcie było widoczne.

- Nie chcę umierać, Scobie. Nie teraz.

- A kto chce?

Jechali w stronę miasta. O'Brien milczał przez większą część drogi. Malone próbował podtrzymać rozmowę.

- Mój współpracownik przyjrzał się twojej przeszłości. Twoja pozycja na rynku muzycznym była lepsza niż myślałem.

- Startowałem w dobrym momencie. Właśnie nadeszła epoka Beatlesów.

- Russ mówił mi o paru grupach, których byłeś menedżerem. Dlaczego to zostawiłeś?

- Znudzenie i chciejstwo, mówiąc szczerze. Zarabiałem milion przez rok, ale ta gra pożera wszystko.

- Chcesz powiedzieć, że można milion przeżreć przez rok?

- Scobie, milion dolców jest jak za mały parasol. Masz, ale nie możesz pod nim kroczyć dumnie. Pięćdziesiąt albo sto, to co innego.

- Myślałem, że nie należysz do tych co lubią się nadymać.

- Najbogatszy człowiek w Ameryce nie nadyma się wcale. Mieszka w małym mieście, w stanie Oklahoma, i jeździ skromnym autem do swego biura. Ale kiedy podniesie słuchawkę telefonu to banki padają na kolana.

- Tak jak teraz tutaj przed tobą?

- Teraz akurat nie.

W biurze czekał na nich Russ i akta policyjne z 65 roku. Usiedli nad nimi, ale wcześniej Malone pokazał O'Brienowi mapę miasta z trzema czerwonymi punktami.

- Trzy różne miejsca, trzy morderstwa. I następne w drodze. Czuję to.

- Mamy tu sto pięćdziesiąt jeden nazwisk z tego rocznika do wyboru. A dokładnie o dwa mniej - odezwał się gorzko Clements. - I tyłuż podejrzanych. Oczywiście oprócz was dwóch.

- Dziękuję pięknie - odparł Malone. - Zawsze potrafisz zachować się w towarzystwie.

- Ale myślę, że możemy to zawęzić jedynie do waszej grupy.

- Akta nie są podzielone na grupy?

- Niestety nie.

- A fotografie?

- Jest tylko jedna. Całego roku i jest na niej tylko sto pięćdziesiąt osób. Z tyłu są wypisane wszystkie nazwiska. Wszystkie, włącznie z tym kogo nie ma na zdjęciu.

- Akademia Policyjna, jak widać, była świetnie zorganizowana - odezwał się sarkastycznie O'Brien. - Nie pamiętam już, czy oni uczyli nas jak identyfikować palnięcie w pysk?

Malone poczuł, że Clements nabiera powietrza. Wtrącił się szybko, zanim ten zdążył coś powiedzieć.

- I wiesz już, kogo brakuje?

- Nie. - Clements pokręcił głową ze zniechęceniem.

- Pomyślałem, że zaczniemy od was dwóch, próbując ustalić nazwiska ludzi z waszej grupy.

Zaczęli i okazało się, że to O'Brien jest tym, który ma najlepszą pamięć. Zajął im to mnóstwo czasu. Potem zaczęli przyglądać się zdjęciu i zaznaczać kogo tam mają. Była to żmudna i męcząca robota, której końca nie było widać.

- Ten, którego brakuje to Frank Blizzard - odezwał się nagle O'Brien.

Malone ściągnął brwi.

- Pamiętam nazwisko. Ale jak on wyglądał?

- Nie pamiętasz? To była głośna sprawa. Złapaliśmy go jak sfałszował wyniki egzaminu. Urządziliśmy mu prysznic przy pomocy węża przeciwpożarowego, a potem wykopaliśmy go na Bourke Street w samych tylko gaciach.

- Tak, pamiętam. Cała akademia mówiła o tym następnego ranka - wtrącił się Clements.

- Nie było to zbyt mądre - odezwał się Malone.

- Byliśmy młodzi, a oszukiwanie uważaliśmy wtedy za coś nagannego.

- A teraz masz inne zdanie? - zapytał Malone.

- W tym parszywym świecie wszyscy wszystkich oszukują. Frank był po

prostu szybszy od innych. Ale czy sądzisz, że ten incydent jest wystarczającym powodem, by teraz po latach zacząć się mścić? Mordując?

- Gdybyś został w policji to wiedziałbyś, że ludzie potrafią bardzo długo czekać na okazję do zemsty. A najgorsze są kobiety. I weterani wojen.

- Nie byliśmy z Blizzardem na wojnie - odparł O'Brien.

Pochylił się do przodu i w skupieniu dodał:

- O ile pamiętam, było nas sześciu bezpośrednio wpłątanych w tą sprawę. Dopiero pod presją wyrzucenia z akademii, któryś z nas wyjawiał, o co naprawdę poszło.

Blizzarda wyrzucono ze szkoły tego samego dnia.

- Pamiętam, że kiedy wyprowadzili go ze szkoły, stał wściekły na środku drogi i pokazywał coś, jakby chciał wysadzić wszystko w powietrze. Nie słyzałem co mówił, ale potem podniósł do góry rękę i wykonał gest, jakby strzelał do mnie. Dopiero teraz przypominam sobie to wszystko dokładnie. Czy to nie Jim Knoble był tym, który wszystko wysypał?

- Chyba masz rację - powiedział Malone.

- A co on teraz robi? Wciąż jest w policji?

- Tak, jest sierżantem w Randwick. Spotkałem go parę miesięcy temu na wyścigach - odezwał się Clements.

- To mamy pięciu - wtrącił się Malone. Pozostał nam Culp, Sam Culp. Nie słyzałem o nim od momentu wyjścia z akademii.

- Czy ktoś słyzał cokolwiek o Blizzardzie? - zapytał O'Brien.

Wszyscy pokręcili głowami

- Co więc robimy?

- Po pierwsze postaram się o rozpoczęcie poszukiwań. Przyda nam się twoje szczęście, Russ.

- Na moje nie liczcie - odezwał się gorzko O'Brien.

- Najlepiej byłoby, gdybyś wyjechał gdzieś daleko. Jedź i pomyśl, jak zarobić kolejny milion.

- Żartujesz? Nie zrobiłbym kroku po takie byle co.

- To jedź i zarób dziesięć. Okay?

- Nie mogę. Siedzą mi na karku i nie pozwolą się ruszyć na krok z kraju - arogancja zniknęła bez śladu w głosie O'Briena. - Mówię ci to w tajemnicy.

- Pięknie! Masz niezłe kłopoty, co?
- Musi pan tkwić po kolana w tym szambie - dodał Clements nie bez satysfakcji w głosie.
- W porządku - wtrącił Malone. W takim razie zadbaj o siebie. Nie możemy ci dać ochrony policyjnej. Trzeba natychmiast ostrzec Jima Knoble.
- A czy on dostanie ochronę? A ty? - zapytał zaczepnie O'Brien.
- Będę rozczarowany jeśli nie - odparł Malone. Ale w duszy poczuł, że żaden z nich nie ma ochoty do żartów. Nikt nie chciał być następnym trafionym przez kulę snajpera.

Sierżant Jim Knoble zginął tej samej nocy trafiony z bliskiej odległości pociskiem kaliber 0.243. Kula przebiła boczną szybę samochodu, przeszła na ukos przez klatkę piersiową i utkwiała w siedzeniu. Malone telefonował dwukrotnie, przekazał prośbę o kontakt, ale nikt nie był w stanie zlokalizować miejsca pobytu Jima, który uganiał się za handlarzami narkotyków w sobie tylko znanych miejscach. Na wiadomość o jego śmierci Malone i Clements przyjechali do Coogee tuż przed północą. Ulica była zamknięta. Na miejscu zastali cztery auta policyjne, ambulans i samochody sprawozdawcze kilku komercyjnych kanałów TV.

Przywitał ich prowadzący dochodzenie detektyw Wal Dukes.

- Wygląda na to, że ta banda handlarzy dopadła go - stwierdził twardym głosem. - Siedział im na karku od paru miesięcy.
- Sądzę, że to coś innego - odparł Malone.

Był w fatalnym nastroju. Zupełnie niepotrzebna śmierć. Okazało się, że Jim dostał w końcu jego wiadomość, ale stwierdził, że jest śmiertelnie zmęczony i pojechał do domu. Malone opowiedział teraz Dukesowi o liście mordercy.

- Jezu! Czy Jim wiedział?
- Próbowałem go uprzedzić. Czy znaleźli już pocisk?
- Nie, ci z kryminalnej jeszcze nie przyjechali.
- Co robił Jim? Pracował bez partnera?



- Był samotnikiem. Jego syn był narkomanem. Zmarł z przedawkowania rok temu. Jim nie mógł sobie tego wybaczyć.

Wzdłuż ulicy, we wszystkich domach paliły się światła. Ludzie wyszli na balkony poruszeni niezwykłym wydarzeniem. Coogee było małym przedmieściem na południe od zatoki, zaledwie parę mil od miejsca, w którym mieszkał Malone. Gdzieś w dziewiętnastym wieku jakiś przedsiębiorca, zniechęcony wciąż rosnącymi cenami posiadłości wokół portu, wpadł na pomysł wybudowania tu paru domów czynszowych. Rok po roku dolina wypełniała się klockami domów i dziś stanowiła mieszaninę różnych stylów i kultur; wystarczająco spokojne miejsce do zamieszkania.

Ciało Jima włożono do ambulansu i młody lekarz, przeciwieństwo doktora Gilbeya, zwrócił się do nich:

- Kto prowadzi tę sprawę?

- Ja to przejmę - odparł Malone. Spojrzał na Duke'a. Ten ze zrozumieniem skinął głową. - Kiedy wydobędziecie pocisk, chcę aby natychmiast trafił do balistyków.

- Czy ktoś słyszał strzał? - zapytał Duke'a.

- Nikt, jak dotąd nie znaleźliśmy żadnych świadków. Słyszysz te uderzenia fal o skały? I warkot kutrów. Nikt nie zwróciłby uwagi w takim hałasie. O tej porze wszyscy siedzą przed telewizorami lub śpią. W telewizji ogląda się tyle strzelaniny, że na nikim nie robi wrażenia pojedynczy strzał.

- A rodzina Jima?

- W domu jest żona i córka. To właśnie córka znalazła ciało Jima wracając ze spotkania z koleżankami. Omal nie straciła zmysłów.

- A w jakim stanie jest żona?

- Siedzi, nic nie mówi, nawet nie płacze. Po prostu siedzi. Wiesz jak to jest. Żony gliniarzy zawsze obawiają się czegoś takiego. Chcesz ją zobaczyć?

- Chyba tak. Zrób tu porządek. Każ im iść do łóżek. Zadzwoń do mnie jutro. Clements sporządzi raport.

- Jasne. A co to za historia z tą ...listą? I dlaczego?

- Jutro ci powiem. I pamiętaj, chcę mieć ten pocisk.

Ruszył w kierunku drzwi. Wokół było ciemno i ponuro. Tak naprawdę, to morderca mógł wciąż czaić się gdzieś w tych ciemnościach. Podbiegli do niego reporterzy.

- Może moglibyśmy zrobić parę ujęć rodziny? - zapytał młody chłopak ubrany jakby wybierał się na rodeo. - Nie będziemy przeszkadzać.

- Nie ma mowy.

- Czy to nowa polityka policji?

Malone spojrział na brodatego operatora stojącego obok.

- Nie możesz mu przyłożyć tą kamerą?

- Mogę, ale firma obciąży mnie kosztami - odpowiedział z uśmiechem.

- Nie, to nie - rzucił urażony reporter.

- Pan mu wybacz, inspektorze - dodał operator i pożegnał się.

Malone wszedł przez oszklone drzwi.

Pani Knoble była drobną, zadbaną kobietą. Siedziała ubrana w różowy szlafrok i miękkie, ciepłe kapcie. Najwyraźniej, jak co wieczór, czekała na męża wracającego z pracy. Żona w starym stylu, jak Lisa - pomyślał Malone i przeszedł go dreszcz. Obok siedziała policjantka Keith Elgar, którą Malone znał od lat. Czasami grywali razem w krykieta.

- Dobry wieczór, inspektorze. Nie zadawałam pani Knoble żadnych pytań. Nie sądzę, by się do tego nadawała - dodała cicho.

- Proszę, może pan pytać - głos Ethel Knoble był delikatny. - O ile nie potrwa to zbyt długo.

- Nie, na pewno nie.

Malone usiadł w fotelu rozglądając się dyskretnie po pokoju. Był dokładnie taki sam jak Ethel. Niebrzydki i porządnie utrzymany. Wszystko tu miało swoje miejsce. Dużo kwiatów; żywych i na obrazach. Pośrodku wisiała fotografia, na której cała rodzina, czwórka trzymająca się za ręce, uśmiechała się szczęśliwie, nie przeczuwając nadchodzącej tragedii.

- Jak ma się pani córka?

- Sylwia? Jest już w łóżku - wskazała ruchem głowy na sąsiedni pokój - lekarz dał jej coś uspokajającego. Proszę jej już dzisiaj nie męczyć.

- Oczywiście. Chcę porozmawiać z panią. Postaram się, by to nie trwało zbyt długo - dodał, choć wiedział, że nawet jedno pytanie to już za wiele.

- Czy ktoś może groził Jimowi?

Ethel milczała, jakby nie rozumiała pytania. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili:

- Nic o tym nie wiem. On nigdy nie opowiadał w domu o pracy. Od śmierci Colina stał się bardziej zawzięty i domyślałam się, że tropił handlarzy. Czasami ktoś do niego dzwonił, to z klubu, to z centrum walki z narkotykami. Był wiecznie zajęty, szukał sobie pracy, by nie myśleć o Colinie.

- Tak, rozumiem.

- Ale w zeszłym tygodniu zadzwonił ktoś i prosił o przekazanie wiadomości dla Jima. To było bardzo dziwne.

- Co takiego?

- On zaśpiewał piosenkę.

- Zaśpiewał?

- Tak. To była taka stara piosenka o dziesięciu zielonych butelkach. Może zna ją pan. Ale on śpiewał o sześciu.

*Sześć zielonych butelek stoi na półce przy ścianie.*

*Gdy jedną przypadkiem strącisz, to tylko pięć zostanie.*

Powiedział, abym koniecznie zaśpiewała to mężowi. I odwiesił słuchawkę.

- Powiedziała pani Jimowi?

- Tak, ale nie sądzę, by się tym przejął. Czy to coś istotnego, inspektorze?

- Możliwe. Rozpoznałaby pani ten głos?

- Nie wiem. Nie potrafię go opisać. Pospolity, ...może?

- Dziękuję pani. Obiecuję, że zrobimy wszystko, by dostać tego drania.

Skinęła wolno głową. Nagły dreszcz przeszył jej ciało. Ściągnęła ramiona i jakby skurczyła się w sobie. Malone znów pomyślał o Lisie i dzieciach. Odwrócił się szybko i wyszedł na zewnątrz.

Fale uderzały o skały z coraz większym impetem.

Podszedł Clements.

- Jak ona się trzyma?
- Nie najgorzej. Nie widziałem córki. Dostała coś na uspokojenie. Jest tam też ktoś z sąsiadów do pomocy. Wrócisz tu jutro - spojrział na zegarek - dzisiaj, i porozmawiasz z nią.
- Dzięki - jęknął Clements.
- Tobie będzie łatwiej. Ja wciąż miałbym przed oczami Claire. Masz tu coś nowego?
- Tak, mają pocisk. Był wbity w siedzenie. Sprawdzę go.
- Jestem pewien, że jest taki sam. Ten gagatek stara się być zabawny. Przesyła muzyczne telegramy. Sześć zielonych butelek stoi na półce .... Znasz to? Dziś strącił kolejną.
- Boże! To wariat.
- Co wiesz o Samie Culp?
- Nic. Jak dotąd, tylko tyle, że któryś z was może być następny - grobowym głosem odparł Clements.

# Rozdział piąty

## 1.

Następnego rana tuż przed dziesiątą zadzwonił sierżant Binyan z działu balistyki.

- Pocisk został wystrzelony z tej samej broni. Chcesz obejrzeć dokładnie wyniki analizy, Scobie?

Malone wjechał na piąte piętro i zaczekał chwilę na Binyana, który osobiście otworzył mu drzwi. Wydział balistyki stanowił prawdziwy arsenał zdobytej i skonfiskowanej broni poczynawszy od delikatnego, jednostrzałowego pistoletu mieszczącego się w damskiej dłoni na ciężkim karabinie maszynowym kończąc. Zbiór broni białej, różnego rodzaju noży, sztyletów, bogato zdobionych kling i ostrzy sprytnie ukrytych, na przykład w rączce parasola, był równie imponujący.

Clarrie Binyan zaczął swą służbę przed dwudziestu sześciu laty w policyjnym klubie młodzieżowym. Wskazał mu krzesło i sięgnął do lodówki opatrzonej napisem: *Uwaga! Niebezpieczeństwo. Materiały trujące*. Wyjął dwie puszki piwa mówiąc: - Piwo serwuję tylko do stopnia inspektora. Starsi rangą dostają colę. No dobrze, popatrz na te materiały. Jesteśmy prawie pewni, że to tikka, chociaż może być też winchester.

- To nic nowego. Nie możesz mówić konkretniej?

- Spokojnie. Nigdy nie daj się zwalić z nóg - tak zawsze mówiła moja matka.

- Ile sztuk takiej broni importujemy każdego roku?

- Nie wiem dokładnie, ale niemało. Szukanie tej jedynej, to zadanie praktycznie niewykonalne. Chodź, obejrzymy pociski.

Zaprowadził Malone'a do pokoju, w którym znajdowało się mnóstwo skomplikowanej aparatury badawczej.

- To jest mikroskop porównawczy Leitza wykorzystywany w kryminalistyce. Obraz ogląda się na monitorze. Kosztuje ponad sto pięćdziesiąt patyków i jeśli położę tu dwa włosy, to będę mógł powiedzieć, który z nich należy do białego, a który do czarnego.

- Po czym możesz je odróżnić?

- Włos białego będzie rozdwojony.

- Sprytne. Teraz pokaż mi pociski.

Binyan wyjął trzy kule i ułożył je pod mikroskopem. - Zapomnij na razie o trzeciej. Popatrz na te dwie; jedna jest z wczorajszej nocy, od drugiej zginęła Mardi Jack. Przyjrzyj się uważnie połom i rowkom. Jest ich sześć, idących w prawo. Dokładnie takie same. Zgadza się? Zwróć uwagę na wyraźne rysy u dołu, przy samej kryzie. To raczej nietypowe.

Malone skinął głową.

- Z pozostałymi jest tak samo. Nie ma wątpliwości. Mogę to udowodnić przed każdym sądem.

- A ile takiej amunicji sprzedaje się u nas rocznie?

- Scobie, jesteś desperatem?

- Jestem. Mogę być następną osobą, z której wyjmą pocisk do badania.

Opowiedział całą historię prowadzącą do listy ofiar.

- Zatrzymaj to dla siebie.

- Jezu! Nie wiedziałem, że ta sprawa dotyczy naszego domu. Gdybyśmy tylko mogli być bardziej przydatni. Ale poszukiwanie kogoś, kto kupił amunicję, nie prowadzi do niczego. Nie ma żadnej rejestracji. Wszystko co musisz mieć, to pozwolenie na posiadanie broni.

- Wiem - stwierdził gorzko Malone. - Nie jestem taki tępy.

- Najlepiej zrobisz jak zostawisz to, kolego. Weź długi urlop i zniknij gdzieś daleko.

- Przepadnij w buszu i niech mama cię szuka - wtrącił Malone z wymuszonym uśmiechem. - Nie przejmuj się stary. Dam sobie radę.

Wrócił do biura, gdzie zastał Clementsa klnącego na pogodę.

- Znowu leje. A miałem parę dobrych typów na sobotnie wyścigi.  
- Zajmij się więc akcjami. Na giełdzie nie będzie ci kapać na głowę.  
- Skoro już mówimy o giełdzie, nasz przyjaciel O'Brien wpadł faktycznie w głębokie gównno.

- Nie ciesz się z cudzych kłopotów, Russ.

- Nie cieszę się. Przepraszam - dodał i usiadł ciężko na krześle, które aż jęknęło pod jego ciężarem. - Wracając do sprawy - dzwonił Dukes. Córka Jima nadal jest w kiepskim stanie. Obiecał, że porozmawia z nią, jak tylko dojdzie do siebie.

- W porządku. Coś jeszcze?

- Próbowałem odnaleźć Sama Culpa. Zmienił nazwisko. Nigdy nie zgadniesz kim jest.

- Russ, nie jestem w nastroju do zgadywanek.

- Widzę. Sebastian Waldorf to właśnie on. Tak, ten śpiewak operowy. Jest teraz na występach w Melbourne. Wraca jutro.

Malone nie należał do entuzjastów opery, ale Waldorf był na tyle znany, że nawet on słyszał o nim. Nie cieszył się taką sławą, jak Sutherland, ale na pewno mieścił się w pierwszej dziesiątce zespołu Opery Wielkiej.

- Gdzie on mieszka?

- W Yowie Bay. To nasz rejon. - Rozparł się na krześle, które ponownie zatrzęszczało niebezpiecznie. - I co robimy dalej? Mam na myśli ciebie, Lisę, dzieci, tego Waldorfa, Boże, co za nazwisko, no i O'Briena - dodał z niechęcią.

- Mam spotkanie z Danforthem za pięć minut. Właśnie w tym celu. Myślę, że zechce nas umieścić w specjalnym domu pod stałą ochroną policji.

- Może to nie jest zły pomysł?

- Gównno! - wyraźnie tracił panowanie nad sobą. - A kto wie, kiedy uda nam się przygwoździć tego sukinsyna. Nie mam zamiaru spędzić reszty życia w jakimś odosobnionym miejscu!

Dokładnie to samo powtórzył dziesięć minut później w gabinecie Danfortha.

- To nie mój pomysł. Nakaz z góry. Nie chcemy tracić następnych oficerów. Pojedźcie do Annidale. Wiosną jest tam bardzo przyjemnie.

- Nie, Harry. Porozmawiam z żoną i dziećmi. Nie cieszy mnie myśl o ich wyjeździe, ale może tak będzie najlepiej. Jeśli chodzi o mnie, wybij to sobie z głowy.

- Scobie, mamy dość kłopotu z tymi dwoma cywilami, O'Brienem i tym drugim, jak on się nazywa? A! Culp. Z tego co słyszałem, nie będzie wielkiej straty, jeśli trafi O'Briena. Nie jest lubiany ostatnio w swoim towarzystwie.

- Czy sugeruje pan, że ktoś może skorzystać z okazji i usunąć O'Briena na rachunek naszego snajpera?

Danforth zaprzeczył gwałtownie:

- Nic takiego nie powiedziałem! A co wiemy o tym gagatku? Nazywa się Blizzard, tak?

- Tak przypuszczamy, ale nie mamy na to żadnego dowodu. Czy macie zamiar wywieźć również pozostałych?

- Nie sądzę, by nasze skromne fundusze pozwalały na to. Wiesz jaki jest nasz Holender. Nie będzie chciał wydawać pieniędzy na jakiegoś O'Briena i tego ...Waldorfa. Minister Policji nie będzie ochraniał kogoś, kto na pewno głosuje na liberałów.

Próbka czarnego humoru nie wypadła zbyt przekonująco.

- Myślę, że będziecie musieli dać im jakąś ochronę. Ta sprawa staje się głośna.

- Masz rację, ale powinieneś wiedzieć, że możemy uruchamiać nasze fundusze wtedy, gdy przestępstwo zostało popełnione, a świadka trzeba chronić.

Malone ledwie go słyszał, myśląc z przerażeniem o tym, jak Lisa przyjmie taką propozycję. Pierwszy samodzielny wypad narciarski Claire nie dojdzie do skutku. Jedynie po Maureen i Tomie mógł się spodziewać pełnej akceptacji pomysłu, który pozwoliłby im uniknąć szkoły przez kilka tygodni.

W końcu powiedział:

- W porządku, wyślę gdzieś rodzinę, a ja z O'Brienem i Waldorfem zamieszkamy razem. W ten sposób ograniczymy obszar działania naszego ptaszka.



- A jeśli oni nie zechcą?  
- To poprosimy ich o pisemne oświadczenia i niech dbają sami o siebie.  
- Dobrze, przekażę to wyżej, chociaż nie podoba mi się pomysł twojej współpracy z O'Brienem. To kawał drania.

- Całe życie przebywamy wśród drani. Większy problem z tym Waldorfem. Śpiewak operowy powinien ćwiczyć kilka godzin dziennie. Kto to wytrzyma?

Godzinę później Malone otrzymał zgodę na realizację swojego pomysłu. Dostał do dyspozycji specjalną grupę operacyjną oraz trzech ludzi do stałej ochrony. Ustalił też, że zamieszkają w zajmowanym przez O'Briena apartamencie hotelu Kongresowego.

- Nie możesz mi odebrać tej sprawy - tłumaczył zdenerwowany Danforthowi. - To moja działka i nie pozwolę nikomu tu grzebać. Wiem, że jestem osobiście zaangażowany! Jeżeli już musisz koniecznie, to daj to Clementsowi.

- A ty będziesz nim sterował?

- Czyżbyś mi nie ufał?

## 2.

- Kochanie się, to jak uprawianie zapasów - Joanna, młodsza siostra Anity mówiła z przekonaniem. - Floyd jest właśnie taki. Zawsze chce być zwycięzcą.

Młodsza o dziesięć lat, wyższa i bardziej krągła, już na pierwszy rzut oka stanowiła całkowite przeciwieństwo Anity. Prowadziła życie obfitujące w liczne afery sercowe, których efektem było już trzecie małżeństwo. W chwilach szczerości potrafiła tak obrazowo opowiadać o swoich kolejnych przygodach, że niejednokrotnie Anita, spokojna z natury, czuła się prawdziwie zakłopotana. Teraz jednak była jedyną osobą, której mogła zaufać.

Spotkały się w domu Joanny w Double Bay, na wschodnim przedmieściu Sydney.

- Brian jest całkiem inny. Traktuje mnie w tak subtelny sposób. Nie potrafię nawet tego opisać. Jest taki wrażliwy.

- Widziałam go przy jakiejś okazji. To fakt, że wyróżnia się spośród tych

wszystkich bufonów, ale sprawił na mnie wrażenie człowieka bezlitosnego. Floyd twierdzi, że nigdy nie podjąłby ryzyka wspólnych interesów z O'Brienem.

- Chcesz powiedzieć, że on jest draniem?  
- Nie wiem, ale wystarczy przejrzeć gazety.  
- To fakt - potwierdziła Anita smutno.  
- Może on potrzebuje dobrej, czulej kobiety?  
- Dobrej do czego? Słuchaj kochanie, ja nie krytykuję go za to, co wyczynia w świecie biznesu. Zakochałaś się w nim, Bóg jeden wie z jakiego powodu. Nie dlatego jednak, że jest uosobieniem uczciwości i odpowiedzialności. Pamiętasz tych wszystkich świętych, o których opowiadano nam w Loreto? Gdyby kobiety kochały tylko uświęcone wartości, to czy oni mogliby odejść do nieba jako tacy święci?

Anita roześmiała się szczerze.

- Wiesz Jo, nie masz na mnie dobrego wpływu na dłuższą metę, ale teraz pomagasz mi naprawę.

- Czasem i błędząca siostra może się przydać do czegoś, prawda? - powiedziała Joanna bez cienia złośliwości. - Powiedz mi, jak Filip mieści się w tym wszystkim?

- Nic nie podejrzewa.

- I nie powinien. Połowa kobiet Australii kocha się w nim, więc dlaczego miałby myśleć, że z jego własną żoną jest inaczej. Powinnaś jednak wiedzieć, że to nie może trwać wiecznie - dodała poważnie.

- Anita w zamyśleniu mieszała widelcem sałatkę. - Wiem. Jest jeszcze coś innego. Jedna z byłych znajomych Briana została zamordowana w mieszkaniu, w którym spotykaliśmy się czasem. Pewnie o tym słyszałaś. Mardi Jack, piosenkarka.

Joanna odłożyła widelec, wzięła butelkę wina i napełniła sobie kieliszek. Pierwszy raz od wielu lat Anita ujrzała w oczach siostry przerażenie. W końcu zapytała cicho:

- Jesteś w to zamieszana?

- Nie, do wczoraj nie miałam nawet pojęcia o jej istnieniu. Wiedziałam, że

był dwukrotnie żonaty i miał tuziny dziewczyn, ale nie chciałam o tym myśleć. Sądzę, że ona też nie wiedziała nic o mnie.

- Czy on domyśla się, kto ją zabił?

- Nie.

- Policja już wie o tych powiązaniach?

- Tak, ale nie o mnie.

- Wracaj więc do domu i zapomnij na razie o nim. Bądź przykładną żoną, urządz parę przyjęć, otwórz jakąś wystawę, galerię, czy coś podobnego. Najlepiej jak najdalej od Sydney.

Anita odsunęła talerz.

- Nie mogę, Jo. Nie mogę zostawić go teraz samego, w obliczu tych wszystkich kłopotów. Ma na głowie policję, NKK i licznych przeciwników, którzy tylko czekają na jego potknięcie. Kocham go, Jo!

- Opamiętaj się! To nie ma żadnego sensu. Filip nigdy nie zgodziłby się na rozwód, O'Brien prawdopodobnie skończy w więzieniu za afery finansowe, w które jest wplątany, a teraz jeszcze morderstwo. Nawet nie całuj go na pożegnanie.

- Nie mogę uciąć tego ot tak, przez telefon. Muszę go zobaczyć. Nie jestem tchórzem.

- Ale jesteś głuptasem - odparła Joanna. - Nikt nie potrafi powiedzieć więcej niż ja na temat głupich miłostek. No dobrze, ale zrób to szybko. I bądź ostrożna. Bardzo cię proszę. Nie chciałabym widzieć mojej siostry na pierwszych stronach gazet. To zabiłoby ojca i mamę. A Filip w ciągu minuty znalazłby się na bruku.

- Nie obawiaj się. Poradzę sobie.

### 3.

Lisa zareagowała gwałtownie:

- Nigdzie nie jadę bez ciebie! Możemy wysłać dzieci z dziadkami, ale ja zostanę z tobą.

Wzięła ją czule w ramiona.

- Posłuchaj, to jest naprawdę niebezpieczne.
- Wiem, kochany. I dlatego właśnie nie mam zamiaru cię opuszczać.

Przytulił ją mocniej. Łza zakręciła mu się w oku. Przy jego twardym zawo-  
dzie było to czymś niezwykłym. Nie sądził, że jakakolwiek sytuacja dotycząca  
jego samego może go tak rozczulić.

- Musisz wyjechać ze względu na dzieci. Tak będzie lepiej dla nas wszyst-  
kich. Jeżeli zostaniesz tutaj, będę musiał ciągle myśleć o tym co robisz, gdzie  
jesteś i czy nic ci nie grozi.

- Czy potrafisz wyobrazić sobie, co to dla mnie znaczy? Nie będę mogła  
spać ani żyć normalnie, nawet przez sekundę.

Pocałował ją delikatnie.

- Wiem, każde rozwiązanie jest złe, ale to jest najrozsądniejsze. Tydzień,  
może dwa i zaczniemy żyć normalnie.

Zaangażowaliśmy wszelkie możliwe środki. Gdy tylko spróbuje ponownie,  
będziemy go mieli.

Spojrzała na niego uważnie.

- Chcesz powiedzieć, że będziecie czekać, aż znów kogoś zabije? I kto ma  
być kozłem ofiarnym? Będziesz siedział w domu i czekał aż cię zabije? - Od-  
sunęła się od niego gwałtownie.

Nie próbował jej powstrzymać. Są takie momenty, kiedy lepiej nie dotykać  
kobiety.

- Przeprowadzam się do apartamentu O'Briena w Kongresowym.

Roześmiała się dziwnym głosem i wiedział już, że wygrał.

- Wygrałeś. Gdzie masz zamiar nas ulokować?

- Rozmawiałem o tym z twoim ojcem. Chce wyjechać z wami do Noosa.  
To region wypoczynkowy na wybrzeżu Queensland. Ponad tysiąc kilometrów  
stąd. Jan i Elisabeth, pamiętasz ich, mają tam letni domek i możecie w nim  
mieszkać tak długo, jak chcecie.

- Noosa, to nie brzmi źle, chociaż wolałabym spędzić dwa tygodnie w  
apartamencie hotelu Kongresowego. Bez dzieci, bez O'Briena. Sami, tylko we  
dwoje. - Próbowała wszczepić w tę nerwową sytuację odrobinę humoru. - Nie  
powiemy nic dzieciom.

- W porządku. Niech myślą, że to niespodzianka.

- A co z Claire?

- O co ci chodzi?

- Uważam, że powinniśmy pozwolić jej na ten obóz narciarski.

W pierwszej chwili chciał krzyknąć: Nie!

- Nie ruszył dotąd żadnej rodziny - ciągnęła Lisa. Claire wyjeżdża w piątek. Będzie tam z całą klasą. Jeżeli jej nie pozwolimy, domyśli się, że coś jest nie tak.

- Będziesz się denerwować jeszcze o nią.

- Wiem. I ty. Ale my wszyscy będziemy bezpieczni. Oprócz ciebie. Kochanie!

Przywarli do siebie mocno.

- Dzieci nie mogą nic wiedzieć. Będziemy dzwonić do siebie codziennie.

- Zamiejskowe rozmowy. Czy wiesz, ile to będzie kosztowało?

Roześmiali się oboje. Czy tylko takie koszty mieli ponieść?

# Rozdział szósty

## 1.

Późnym popołudniem Lisa zabrała dzieci i przeniosła się do rodziców do Rose Bay. Malone wziął Claire i wraz z całym ekwipunkiem narciarskim, zakupionym przez dziadków, zawiózł ją do zakonu Ducha Świętego.

- Będziesz najlepiej ubraną dziewczyną na stoku - żartował dziadek, żegnając się z nią.

- Czyżbyś nie lubił, kiedy babcia Elisabeth kupuje mi jakieś ciuchy? - zapytała dojrzałe. W przyszłym pokoleniu psychologią dziecięcą będą zajmować się chyba właśnie dzieci.

- Skądże znowu. Jestem szczęśliwy widząc, że ci się podobają.

W drodze patrzyła na niego z ukosa, jego nastrój najwyraźniej ją zaniepokoił.

- Coś cię trapi, prawda? Wszyscy naraz wyjeżdżamy z domu. Czy ktoś ma zamiar wysadzić go w powietrze?

Zakreślił ostro w kierunku wzgórza, na którym usadowiło się opactwo. Kościół potrafił zagarnąć dla siebie najlepsze miejsca w okolicy, gdy budował nową szkołę albo kaplicę.

- Nic takiego. Po prostu muszę zająć się pewną sprawą i nie mogę być w domu przez jakiś czas. Dlatego mama wyjeżdża na urlop. Dziadek zaproponował Noosa i to wszystko. Gdy skończy się twój obóz, pojedziesz do nich.

- Czy to nie dziwne wysłać dzieci na wakacje w trakcie semestru?

- Jesteś oficerem dochodzeniowym? Zabieraj teraz swoje graty i ... złam nogę.

Pocałowała go na pożegnanie. –

Tata, uważaj na siebie.

- Jasne. A ty trzymaj się z daleka od chłopców.

- Żartujesz?

Jej uśmiech mógł złamać najtwardsze chłopięce serce. Był tego pewien, choć teraz nie miał ochoty na takie rozważania. Chciał odjechać możliwie najprędzej.

Zapakował dwie walizki i pojechał do hotelu. Apartament przeszedł jego oczekiwania, choć nie było w nim nic co mogłoby przypominać dom. Kosztowne pudełko, nie potrafiłbym w czymś takim mieszkać na stałe - myślał w duchu.

- Niezbyt ci się tu podoba - O'Brien odgadł jego myśli.

- Pochodzę z przedmieścia. Nie rozumiem ludzi, którzy potrafią mieszkać w hotelu.

- Obsługa, Scobie. Wszystko na zawołanie. Podnosisz słuchawkę i już masz. Pokojówka, jedzenie, drinki, nawet dziewczyna, jeśli sobie życzysz. Możesz mieć to w domu, ale wtedy musisz ich pilnować, zwalniać, zatrudniać. Kupa roboty i ból głowy. A tak firma płaci za to w ramach tego co i tak poszłoby na podatki.

- Jaka firma? Ta, która właśnie jest w tarapatach?

O'Brien uśmiechnął się.

- Scobie, jeżeli mamy mieszkać razem, to nie czynimy sobie wyrzutów w stylu męża i żony.

- Moja żona nie narzeka na mnie.

- W porządku. Przepraszam. Mam złe wspomnienia i zawsze wydaje mi się, że każde małżeństwo to obie wojny światowe naraz.

- Miałbyś ochotę spróbować trzeci raz?

- Gdyby to było możliwe. Ale nie ma szans. Jej mąż należy do tych, którzy trwają wiecznie.

Nie wyglądał na zbyt przejętego faktem, że jest potencjalnym kandydatem na trupa. Zapytany o to, wyjaśnił zwięźle:

- Mam wystarczająco dużo kłopotów z firmą. Nie mogę się ukrywać. Muszę pracować i zachowywać się normalnie. Może to ryzykowne, ale nie mam innego wyjścia.

- Rozumiem. W ciągu dnia nie ma problemu, jednak w nocy chcę mieć nas wszystkich razem. Tutaj, pod stałą ochroną policji. Oddział specjalny stawi się

na każde życzenie w pięć, najwyżej dziesięć minut. Wszystko co zostanie tu dostarczone, przejdzie przez naszą kontrolę. Żadnej trucizny w bułeczkach.

- Trudno mi w to wszystko uwierzyć. Boisz się? Bo ja tak.

- Ja też. A przy okazji - nie podchodź do okien i pilnuj, by były zasłonięte. Wieczorem w oświetlonym oknie jesteś doskonałym celem.

- Te okna widać z mojego biura. Byłoby zabawne, gdyby ustrzelił mnie zza mojego własnego biurka.

- Może ty potrafisz umierać z uśmiechem na twarzy, ale ja nie mam na to ochoty. Wybierasz się gdzieś?

- Tak. W ratuszu wydają dziś przyjęcie, będzie tam cała śmietanka.

- Koniecznie musisz iść?

O'Brien stał w drzwiach łazienki z koszulą w ręce.

- Zaproszono mnie dwa miesiące temu, zanim zaczęły się moje kłopoty. Nikt nie odważył się dziś dać mi po nosie. W dawnych czasach otrzymałbym zapewne poufną wiadomość, że moje zaproszenie było pomyłką. Ale teraz pieniądze rządzą tym miastem i moja nieobecność byłaby jedynie przyznaniem się do poczucia winy. Nowa Etyka. Zapoczątkowana na Wall Street, a cały świat idzie tym śladem. Nie chcemy być gorsi. Jesteś zaszokowany?

- Chyba jestem już za stary, by to zrozumieć. Moją polityką jest po prostu uczciwość.

- Nie przynosi to zbyt wielkich zysków. Idziesz ze mną?

- Chętnie popatrzę. Jak powinienem się ubrać?

- Nie zakładaj tylko policyjnego krawata. Wyłoszyłybyś wszystkich gości. I tak będziesz jedynym spoza towarzystwa.

- Chcesz powiedzieć - jedynym uczciwym?

O'Brien spojrzał z ukosa.

- Z tobą trudniej będzie wytrzymać niż z moimi byłymi żonami.

Wieczór był czysty i chłodny. Zima trzymała się ich uparcie, jak niechciany krewny. Pojechali wynajętym samochodem z dwoma członkami ochrony, jednym siedzącym obok kierowcy, drugim naprzeciw nich. Obaj uważnie lustrowali otoczenie i Malone miał nadzieję, że w razie potrzeby potrafią działać efektywnie. Jak każdy gliniarz z niechęcią patrzył na rozrastające się



prywatne firmy ochrony.

Gmach ratusza, rzęście oświetlony, wzbudził natychmiast czujność Malone'a. Każda osoba wchodząca po szerokich schodach stanowiła doskonały cel. Przed wejściem grupa demonstrantów skandowała antyrządowe hasła, korzystając z obecności wielu czołowych polityków. Na widok każdej osoby wysiadającej z okazałego samochodu wrzawa wzmagająca się w stopniu nie pozostawiającym cienia wątpliwości co do ich opinii na temat sprawowania rządów. Ich też nie ominęła ta przyjemność.

Gdyby wiedzieli, że jestem gliną, byłoby jeszcze gorzej - pomyślał Malone.

Weszli do wielkiej, głównej sali pełnej ludzi. Rozpoznał natychmiast przynajmniej tuzin znajomych twarzy. Przyjęcie odbywało się z okazji święta Organizacji Narodów Zjednoczonych i każdy, bez względu na swe prywatne zapatrywania, czuł się zobowiązany do publicznego wyrażenia poparcia. Jeden z tych, którzy najlepiej znali wartość takich deklaracji, stanął właśnie przed nim.

- Inspektor Malone? - Hans Vanderberg, szef stanowego parlamentu znany był ze swej fenomenalnej pamięci do nazwisk. - Widziałem, że wchodził pan razem z O'Brienem. Aresztował go pan? Czy to jakaś inna zabawa?

- Nie, panie premierze. - Wiedziałbyś pierwszy, gdybym go zamknął. Houlder kontrolował wszelkie istotne wydarzenia w jego stanie. - Nie mogę panu powiedzieć, ale komisarz Falkender na pewno pana poinformuje.

- Jestem ministrem policji - Vandenberg spojrzał przenikliwie. Gładził ręką swoją łysą głowę; był orłem za starym już by fruwać, ale nie na tyle tępym, aby dać się zbyć byle czym.

- Wiem panie ministrze, ale sądzę, że komisarz potrafi wyjaśnić to znacznie lepiej.

Vandenberg przyglądał mu się przez dłuższy moment. W końcu uśmiechnął się i odszedł. Na twarzy pozostał mu uśmiech starego polityka, jak maska utrwalona na zawsze. Kiedy złożą go w grobie, ten sam uśmiech będzie zapewniał oddanych mu wyborców, że nie odszedł na zawsze i lepiej wierzyć w zmartwychwstanie.

Malone rozejrzał się wokół. Tego typu przyjęcia są zawsze takie same. Grupki ludzi gadające o pogodzie, polowaniach i zdrowiu. - Nigdy nie pytaj Aussie o zdrowie - powiedział kiedyś pewien Amerykanin. - Opowie ci wszystko ze szczegółami. Włosi trzymali się razem opowiadając sobie zapewne dowcipy o Grekach, Grecy udzielali sobie nawzajem rad dotyczących zatrudniania Libańczyków, Węgrzy kręcili się pomiędzy wszystkimi, jakby to oni byli tu gospodarzami. W rogu skupiła się grupka Azjatów niepewnych najwyraźniej swojej pozycji. Malone jako gliniarz czuł się jeszcze bardziej obco.

Spojrzał na galerię na piętrze. Ratusz był nowoczesną budowlą, która będąc odbiciem obecnych czasów zawierała te ż elementy przypominające o minionej epoce wiktoriańskiej. Galerie były pełne widzów spoglądających w dół na dostojnych gości. W tym tłumie Blizzard nie miałby szans na oddanie skutecznego strzału.

Po przeciwnej stronie sali O'Brien rozmawiał z Arnoldem Debbsem i jego żoną, którą Malone pamiętał z fotografii prasowych. Chwilę później rozstali się. O'Brien spojrzał w jego kierunku, uśmiechając się lekko.

Czyżby to Penelopa Debbs miała być tą tajemniczą damą, której z takim zacięciem bronił?

Po przeciwnej stronie sali zauważył nagłe poruszenie. Po chwili zrozumiał przyczynę. W wejściu ukazał się premier w towarzystwie swej pięknej małżonki. Błysnęły flesze, liczne ręce wysunęły się do powitań. Filip Norval kroczył dostojnie wśród gości wieczoru. Jedyńm chyba człowiekiem, jak dostrzegł Malone, który nie podzielał ogólnego entuzjazmu, był Hans Vanderberg.

Obserwując scenerię niezwykłego wieczoru Malone dostrzegł O'Briena wpatrującego się z przejęciem w kogoś spośród oficjalnej grupy. Podeszedł bliżej zaintrygowany wyrazem jego twarzy, ale ten zdawał się go nie dostrzegać. Malone podążył za jego wzrokiem i nagle... oniemiał - tą tajemniczą osobą był nie kto inny, tylko Anita Norval, żona premiera.

Szła teraz w ich kierunku, powoli, uśmiechając się do mijanych osób; najpopularniejsza kobieta kraju zaangażowana w dziwną znajomość z najgłośniejszym ostatnio aferzystą.

- Pan O'Brien, prawda? Spotkaliśmy się już kiedyś.  
- Witam panią. A... a to jest inspektor Malone, mój stary przyjaciel - głos O'Briena drżał nieznacznie.

Uśmiechnęła się lekko; w odróżnieniu od swego męża nie liczyła zapewne na głosy w najbliższych wyborach.

- Jest pan tu w charakterze anioła stróża?

Zanim Malone zdążył odpowiedzieć, obok wyrósł nagle sam premier i ujmując małżonkę pod ramię przeprasząco stwierdził:

- Musimy, kochanie, przejść na podium. Czas, abym wygłosił mowę.

- Znowu? To już siedemset czterdziesta trzecia w tym roku.

Wymieniając wystudiowane przez lata uśmiechy, ruszyli powoli. Anita zdążyła jeszcze rzucić za siebie:

- Miło było pana widzieć znowu, panie O'Brien. Pana również, inspektore.

Malone z podziwem patrzył na nią, płynącą w kierunku ludzi zebranych przy mównicy. Zaproponował cicho O'Brienowi:

- Myślę, że lepiej będzie, jeżeli już sobie pójdziemy. Wyglądasz na mocno podekscytowanego. To rzuca się w oczy.

O'Brien oprzytomniał natychmiast.

- Naprawdę? ...No cóż,... teraz już wiesz wszystko.

Premier rozpoczął swoje wystąpienie i nikt nie zwracał na nich uwagi. Wycofali się powoli do holu.

- Szybko! Samochód! - rozkazał Malone.

Ochroniarze poderwali się ze swych miejsc.

- Kogo właściwie możemy się spodziewać? Co to za typ? - zapytał jeden z nich w drodze powrotnej.

Nic właściwie o nim nie wiem - pomyślał Malone.

- Wszystko co potrafię o nim powiedzieć to tyle, że jest niezwykle skuteczny. Strzela tylko raz. Nie musi powtarzać.

- I na pewno jest walnięty - uzupełnił O'Brien.

- Niekoniecznie - zaprzeczył Malone. - Może być zupełnie normalny na co dzień. Jedyne chęć zemsty sprawia, że odstępuje od ogólnie przyjętych norm.

- Dla mnie to wystarczający powód by twierdzić, że jest psychiczny - utrzymywał O'Brien.

- Dla mnie też - potwierdził Shad, siedzący na przednim siedzeniu.

Młody kierowca siedział sztywno, najwyraźniej nie bawiła go ta wymiana opinii.

Dojechali do hotelu. Przy wejściu kręciło się sporo ludzi. Shad i drugi członek ochrony wysiedli rozglądając się czujnie na boki. Lustrowali uważnie ogród i zacienione alejki ginące w jego głębi. Na ich znak Malone wysiadł szybko z auta, tuż za nim O'Brien. W tej samej chwili przy zjeździe do garażu Malone dostrzegł błysk lufy w wyciągniętej dłoni.

Padając pociągnął za sobą O'Briena. Nie słyszał wystrzału. Tłumik - pomyślał, kiedy zobaczył jak Trevor, drugi z ich ochrony, pada z okrzykiem bólu na otwarte drzwi auta. Drugi pocisk trafił w drzwi, znów nie słychać było strzału. Shad zdążył już wyrwać swą broń i otworzył ogień w kierunku napastnika. Malone zerwał się na nogi i jednym susem przeskoczył na drugą stronę samochodu osłoniętą od ognia. W miejscu, gdzie przed chwilą widział rękę trzymającą broń, nie było nikogo.

Skoczył w kierunku rampy. Przesadził murek osłaniający zjazd do garażu, lądując ciężko na betonowej pochylni. Wyjeżdżające auto osłepiło go i przez moment myślał, że to już koniec. Kierowca zaskoczony nagłym pojawieniem się człowieka w tak nieoczekiwanym miejscu, był równie oszołomiony jak on.

Garaż był pełen samochodów. Blizzard mógł ukryć się za każdym z nich. Kolejne auto, czarne BMW, przejechało błyskając reflektorami. Malone przytknął oczy.

Stał obok białego forda, kilka aut dalej. Trzymał w ręku wycelowany pistolet.

Malone strzelił, trafiając prosto w pierś. Uderzenie rzuciło niedoszłego zabójcę na samochód za jego plecami. Gotów do oddania kolejnego strzału Malone ostrożnie podszedł do forda. Jego przeciwnik leżał twarzą do ziemi, z zaciśniętą w dłoni berettą.

Odwrócił go powoli. Czarne włosy, młoda twarz; nie więcej niż dwadzieścia lat. O wiele za mało, jak na Blizzarda.

Patrzył na niego ze zdumieniem. Co to wszystko znaczy, do jasnej cholery? - zapytał sam siebie.

## 2.

Lisa roztrzęsionym głosem błagała:

- Zostaw to. Przyjeżdżaj do nas. - O strzelaninie pod hotelem dowiedziała się z wiadomości telewizyjnych.

- Kochanie, - próbował mówić spokojnie i chłodno. Miał czas by ochłoniąć, ona dzwoniła bezpośrednio po usłyszeniu sensacyjnej wiadomości. - On nie polował na mnie.

- Byłeś z O'Brienem. Strzelał również do ciebie - przerwała mu gwałtownie.

- Tylko dlatego, że przypadkiem tam byłem. I to ja trafiłem go pierwszy - dodał, choć zdał sobie natychmiast sprawę z tego, że nie podzielała to uspokajająco. - Nic mi nie jest. Mam ochronę dzień i noc. Jeśli to może cię pocieszyć, to mamy zamiar wzmocnić ochronę o następnych dwóch ludzi.

- To żadne pocieszenie. - Jej głos był cierpki. - Zadzwoń znowu rano. Kocham cię.

Stał przez chwilę ze słuchawką w ręce i miał ochotę wyjść na zewnątrz, pojechać do Noosa i zapomnieć o wszystkim.

Z salonu dobiegły go głosy Danfortha, Clementsa i Bousakisa. Sensacyjne wydarzenia postawiły na nogi całą obsługę hotelu. Menedżer, spokojny z natury Serb, chodził nerwowym krokiem, jakby jego hotel został zaatakowany przez chorwackich partyzantów.

- Nigdy nie mieliśmy podobnego zamieszania w naszym hotelu. To hotel klasy międzynarodowej. Australia jest podobno wolnym krajem.

- Może się pan wreszcie uspokoi! - Malone przerwał ten potok słów. Nie tylko pan jest zaskoczony tym co się stało. A co do bezpieczeństwa, to mogę pana zapewnić, że jest wiele gorszych miejsc na świecie.

- W porządku, panie inspektorze. Obawiam się jednak, że będę musiał prosić pana O'Briena o opuszczenie apartamentu do czasu, aż cała sprawa zostanie wyjaśniona.

- Jeżeli pamiętam dobrze, to zawarliśmy inną umowę - wtrącił ostro O'Brien.

- Może zostawi pan to policji - dodał Malone i wskazał jednoznacznie wyjście z pokoju. Odprowadził go na wszelki wypadek do drzwi i zamknął je starannie.

- Korytarz jest pełen reporterów, oznajmił wracając do salonu. Brian, może chciałbyś złożyć oświadczenie?

- A o czym miałbym opowiadać? - zdziwiony O'Brien spoglądał to na Malone'a, to na Danfortha.

- Nie wiem - odpowiedział Malone. - Ja nie mam nic do powiedzenia. Co pan o tym myśli, szefie?

Danforth przyglądał się tej scenie w milczeniu. Zjawił się w hotelu w ciągu dziesięciu minut. Jego głos był tu decydujący. Nie odzywał się jednak prawie wcale. Popijał wolno whisky i pozwalał na swobodny rozwój wypadków. Teraz, zapytany wprost, wciągnął głęboko powietrze i krótko rzucił:

- Nie widzę potrzeby. Ma pan chyba dość kłopotów z prasą O'Brien, nieprawdaż? Proszę im powiedzieć, żeby sobie poszli. Dostaną oświadczenie policji jutro rano - wydał dyspozycje Bousakisowi, jakby ten był jego podwładnym.

Grubas podniósł się z ociąganiem i poczłapał do drzwi.

- Czy ten napad ma związek z poprzednimi sprawami? - zapytał Danforth.

- Nie - Malone niewzruszony pokręcił głową.

- Miał prawo jazdy wystawione w stanie Viktoria na nazwisko Joseph Gotti. - wtrącił się Clements. - Urodzony w 1967. Sprawdzamy, czy był notowany. Nie sądzę jednak, by pracował na zlecenie Blizzarda. On nie ma zwyczaju tak partaczyć roboty.

- Kto jeszcze czyha na pana życie, O'Brien?

- Mam ostatnio paru wrogów. Mówiłem o tym inspektorowi.

- Mógłby pan ich wymienić?

- To byłaby długa lista. Myślę, że zbyt długa.

- Nie możemy osiągnąć zbyt wiele bez pana pomocy.

- Niestety nie mogę powiedzieć nic więcej, czy to się panu podoba czy nie.

Danforth spojrział krzywo, podniósł się z fotela i rzucił ostro:

- Jeżeli tak pan uważa. Zostaje pan, inspektorze?
- Dziś w nocy na pewno. - Podążył za swoim szefem do wyjścia.

Danforth opuścił pokój bez słowa pożegnania. W przedpokoju Malone próbował poprawić nastrój.

- Zajmę się tym, Harry. Wycisnę co tylko się da.
- Do diabła z nim! Nie daje najmniejszego powodu, by o niego dbać.

W końcu korytarza pod opieką policjantów czekało nadal kilku dziennikarzy. Wracający Bousakis zameldował:

- Powiedziałem im, by stawili się w pana biurze jutro o dziewiątej.
- Kto panu kazał wspominać o jakiejś godzinie. Nie mam zwyczaju bywać w biurze o tak wczesnej porze. Dobranoc, Scobie.

W salonie panowała cisza. Szok powoli mijał i zmęczenie dawało się wszystkim we znaki.

- Dowiedziałeś się czegoś więcej o Waldorfie? Kiedy on wreszcie wraca?
- zapytał Clementsa.

- Jutro po południu. Byłoby dobrze spotkać się z nim na lotnisku. Rano jadę do Minnamook. Frank Blizzard wychował się w tej miejscinie. Może dowiem się o nim czegoś więcej.

- Gdzie to jest?

- Południowe wybrzeże. To raczej pustkowie. Blizzard był sierotą, wychowywał się u ciotki. Chcę z nią porozmawiać.

- A ty co masz zamiar robić jutro?

Malone spojrzał na O'Briena.

- Rano mam się stawić przed komisją NKK. To zajmie z pewnością cały dzień.

- Przyjadę po ciebie - odezwał się Bousakis.

- Doskonale - stwierdził Malone. - A przy okazji, jak to się stało, że był pan tu tak szybko po całej awanturze?

- Byłem w hotelu. Czekałem na Briana. Przyniosłem mu parę dokumentów - wskazał głową na stół pod ścianą.

- Czy wszyscy mają się tłumaczyć z tego co robili w tym czasie?

- Pytam z przyzwyczajenia. - odparł i odwrócił się do Clementsa. - Pojadę z tobą jutro do Minnamook. Andy Graham może dopilnować spraw tu na

miejscu. Będę w centrum o ósmej. Daj znać lokalnej policji o naszym przyjeździe. Będą nam potrzebni do pomocy.

Clements i Bousakis opuścili apartament. Malone sprawdził, czy ludzie z ochrony są na swoich miejscach i zamknął dokładnie drzwi. O'Brien rozmawiał przez telefon.

- Nie, to zbyt ryzykowne. ... Nic mi się nie stało. ... Nie, wracaj do Canberry. ... Zadzwoń jutro wieczorem. ... Kocham cię. Dobranoc.

Opadł na fotel, rękami złapał się za głowę i ciężko dysząc wystękał:

- Boże! Co za cholerny wieczór.

Malone usiadł obok, zdjął buty.

- Jak to się mogło zdarzyć? Mam na myśli ciebie i Anitę Norval. - zapytał. O'Brien wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem. Jakies cztery miesiące temu, zanim zaczął się ten cały bałagan wokół firmy, siedziałem obok niej w czasie przyjęcia. Zanim podano deser wiedziałem, że zakochałem się. Pierwszy raz w życiu zakochałem się naprawdę. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że ona sama zadzwoniła do mnie następnego dnia.

Nie należał do ludzi, po których można było się spodziewać zwierzeń. Zadzając pytanie Malone nie oczekiwał odpowiedzi. Nigdy nie interesowały go zbyt blisko związki pomiędzy kobietami i mężczyznami, będące obiektem cicho powtarzanych plotek. Anita Norval nie była jednak zwyczajną, przeciętną kobietą. Trudno wyobrazić sobie większy skandal niż związek pomiędzy żoną premiera i aferzystą finansowym. Wyborcy, a zwłaszcza kobiety, nigdy nie wybaczyłyby jej tego. Afery dotyczące podejrzanych znajomości mężów stanu przeżytkano łatwiej. Filip Norval był znany ze swej słabości do kobiet. Wciąż jednak cieszył się sporą popularnością nawet wśród kobiet, które nie miały szczęścia trafić do jego łóżka. W przypadku kobiety takiej jak Anita, oczekiwano jednak skrzyżowania Matki Teresy z Najświętszą Panną. Królowa Maria i Katarzyna Wielka nie miałyby łatwego życia wśród miejscowej społeczności.

- Czy on, mam na myśli premiera, domyśla się czegoś?



- Anita twierdzi, że nie ma podstaw. On mnie nienawidzi. Nigdy nie miałem szczęścia być z nim w bliższym kontakcie.

- A którykolwiek z jego ministrów?

- Skąd to pytanie?

- Próbuję zgadnąć, kto wynajął płatnego mordercę, który próbował cię zabić dziś wieczór.

O'Brien roześmiał się; raczej nerwowo niż z rozbawienia.

- Scobie, nie sięgaj tak głęboko.

- Sam powiedziałeś Danforthowi, że masz wielu wrogów. Kogo miałeś na myśli?

O'Brien poluzował krawat. Zastanawiał się, na ile może zaufać temu człowiekowi, kiedyś koledze, ale przede wszystkim policjantowi. Nawet Anita nie знаła całej prawdy. Miał jednak ochotę porozmawiać z kimś szczerze o swoich kłopotach.

Zaczął ostrożnie.

- Dobrze, ale nie traktuj tego jako oficjalnego zeznania, okay?

- W porządku, o ile nie powiesz, że kogoś zabiłeś lub kazałeś zabić.

- Nie, nic z tych rzeczy. Nie jestem mordercą. Chodzi o ludzi, z którymi byłem i jestem związany. Kiedy tu przyjechałem, miałem dość pieniędzy, aby uruchomić mały bank handlowy. Konkurenci czynili wszystko, aby położyć mnie na łopatki. Byłem zdesperowany. I wtedy zjawiło się u mnie parę osób.

- Na przykład Bousakis - wtrącił Malone.

- Zostawmy nazwiska w spokoju. Zaproponowali mi pranie brudnych pieniędzy. Oczywiście nie wprost, ale wiedziałem doskonale, o co chodzi. To jednak mogło postawić mój bank na nogi. Pieniądze z handlu narkotykami, ze sprzedaży broni, z napadów na banki, kradzieży dzieł sztuki, nie muszę ci chyba tłumaczyć. Zacząłem więc przerabiać je na czyste.

- W jaki sposób?

- Inwestycje. Tutaj, w Europie, w Hongkongu.

Słuchając O'Briena, Malone czuł, że coraz bardziej zaczyna go lubić. Żałował nawet niechęci, jaką okazał mu podczas pierwszego spotkania.

- Nie zaczynaj tylko prawić mi kazań - O'Brien zdawał się czytać w jego

myślach. - Przez ostatnie cztery miesiące sam sobie zadaję pytanie, jak cofnąć czas. Najchętniej do czasów dziecięcych. A przynajmniej do tego momentu, kiedy nie było mi obojętne, w jaki sposób zdobywam pieniądze. Nie jestem z tego dumny. Nigdy więcej.

Malone nie mógł powstrzymać się od uszczypliwości.

- Chcesz powiedzieć, że dobra kobieta pomogła ci ujrzeć światło dobroci?

- Ona nic o tym nie wie. Ale w pewnym sensie to prawda. Niestety, trochę za późno. O wiele za późno.

- Kim są ci ludzie? Czy to ma związek z mafią?

- Częściowo. Ale większość to zwykli Aussie, dranie, którzy gotowi są wysadzić cię w powietrze, gdy tylko na nich spojrzysz.

- Czy oni wciąż są udziałowcami twojego banku?

- Niektórzy. Teraz obracają legalnymi, już czystymi, pieniędzmi.

- Czy są wśród nich politycy?

O'Brien skinął głową.

- Kto?

- Nie mogę ci powiedzieć. Jeszcze nie teraz.

Malone miał ochotę zapytać o Arnolda Debbsa, ale powstrzymał się.

- Trzeba przyznać, że postarałeś się wyjątkowo o ściągnięcie na swoją głowę nieszczęścia. I przy okazji na moją. Ten typ dziś wieczór nie zastanawiał się zbyt nad tym, do kogo strzela.

- A ty? Zabiłeś go przecież.

- Albo on, albo ja. Nie miałem wyboru. Nie lubię jednak sięgać po broń, jeśli o to ci chodzi. Nie miałem innej możliwości.

- Przepraszam. Nie wybaczyłbym sobie, gdybyś zginął.

Nie przesadzaj, pomyślał Malone, teraz szukasz przyjaciół. Nawet gliniarz jest dobry.

- Jestem już zmęczony - powiedział i podniósł się z fotela.

W drzwiach do swego pokoju odwrócił się jeszcze i zapytał:

- Brian, powiedz mi, czy kiedy robiłeś te swoje pieniądze, myślałeś czasem o tych biedakach, którzy walczą każdego dnia o przetrwanie?

- Mówiłem ci o moim ojcu. Nie chciał mnie znać.
  - A o innych?
  - Nie, nigdy.
  - Wygląda na to, że to oni będą się śmiać ostatni. Całkiem możliwe, że istnieje sprawiedliwość na tym świecie.
- O'Brien pokręcił głową.
- Scobie! Zawsze ktoś będzie żył lepiej a ktoś biedniej. Taki już jest ten świat. Dobranoc!

### 3.

Lisa zadzwoniła dokładnie o siódmej. Rozmawiali przez chwilę, jak zwykle nakazała mu dbać o siebie i przekazała słuchawkę dzieciom.

- Będziesz dzwonił do nas codziennie? - zapytała Maureen. - To strasznie parszywa praca być policjantem, nie?

- Uważaj na swój język. Czy tego uczą cię w szkole? Oglądasz za dużo nieodpowiednich filmów.

- A kiedy ja będę mógł zacząć kłać? - Wtrącił się Tom, wiszący widocznie przy drugiej słuchawce.

- Dopiero kiedy ja pójde na emeryturę. Dbajcie o mamę. Gdy wrócicie, zabiorę cię na finał rozgrywek rugby.

- Wolałbym futbol.

- Uzgodnimy to później. Trzymajcie się. Cześć!

Odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek. Za wcześniej na telefon do Claire. Może wieczorem uda się ją złapać. Miał nadzieję, że przynajmniej ona nie słuchała wiadomości. Pora zjeść śniadanie.

Przysiadł się do O'Briena, który zdążył zamówić już całą masę różnych smakołyków.

- Jesteś szczęśliwy, że nie masz dzieci?

- Tak, ale sądzę, że nie każdy kto nie lubi dzieci musi być od razu złym człowiekiem. - A Anita? Czy ona lubi dzieci?

- Myślę, że tak. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Jest już babcią, wiesz? - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Trudno uwierzyć, kiedy się na nią patrzy.

Gdyby ktoś powiedział mi dziesięć lat temu, że będę zakochany w babci, pomyślałbym, że to nieprzyzwoite.

- Każdy kto ma mniej niż dwadzieścia pięć lat i teraz tak pomyśli.

Zjawił się Bousakis gotowy do drogi. Wyszli razem do windy. Na dole Malone pożegnał się, życząc im spokojnego dnia. Spojrzał na budynki naprzeciwko, ale wszystkie okna były pozamykane; Blizzard nie czekał dziś na nich.

Spacerkiem poszedł w stronę centrum. Z zadowoleniem wdychał chłodne, poranne powietrze. Wiatr wywiewał z niego wszystkie ciężkie myśli z wczorajszego wieczoru. Był znowu trzeźwym, obiektywnym policjantem. No, prawie ...

Clements czekał już na niego, przeglądając raport z Melbourne.

- Ten Gotti ma bogatą i zabazgraną kartotekę. Zaczął, gdy miał czternaście lat. Włamania, napady. Za ostatni dostał dwa lata. Orzeczono, że działał pod zgubnym wpływem innych.

- Czy coś wiadomo o jego powiązaniach?

- Środowisko kryminalistów, ale nic wspólnego z mafią. Był Włochem, lecz trzymał się od nich z daleka. Bywał w Sydney, ale nikt nie wie po co.

- Dlaczego nie kontaktowali się z nami wcześniej?

- Scobie, o czym ty mówisz? Czy wiesz co by się działo, gdyby informowali nas o każdym kryminaliście, który przyjeżdża do Sydney. Musiałbyś siedzieć cały czas na lotnisku.

- Jasne, każ komuś sprawdzić, kiedy tu był i gdzie się zatrzymywał. Wszystko, co tylko się da.

- Daj mi dziesięć minut na skończenie raportu i jedziemy.

- Kontaktowałeś się z Waldorfem?

- Nie złapałem go w hotelu. Nie wrócił na noc. Pewnie spędził ją w towarzystwie jakiejś damy z chóru.

Jechali do Minnamook nie oznakowanym autem, przebijając się pod wiatr ciągnący poprzez rzadkie drzewa od wyżyny południowego wybrzeża. Malone przyglądał się szarozielonej okolicy, zapomnianej i tajemniczej jak większość tego kraju. Dwieście lat i ledwie dotknęliśmy krawędzi tej pełnej niespodzianek krainy. Gdzieś, wśród wielu innych tajemnic, ukrywała się równie zagadkowa postać Franka Blizzarda.

Korzystając z pustki na autostradzie F5, Clements rozpędził auto ponad dozwolony limit 110 kilometrów na godzinę i kiedy zobaczył migające światło policji drogowej, ze zdziwieniem stwierdził, że jego licznik wskazuje równo 125. Zdjął nogę z gazu, opuścił szybę i wystawił na dach własnego koguta. Patrol mrugnął ze zrozumieniem światłami i zostawił ich w spokoju.

- Miło widzieć, że ktoś pilnuje swej roboty - powiedział uśmiechając się.

Minnamook okazało się być niewielkim miasteczkiem z kilkoma sklepami, obsługiwanymi przez ich właścicieli i paroma setkami domów, ciągnących się wzdłuż rzeki uchodzącej do oceanu.

Clements wstąpił do agencji prasowej, jak dumnie głosiła nazwa, i po paru minutach wiedział wszystko, co było im potrzebne.

- Ten facet znał Blizzarda. Był gotów opowiedzieć mi historię jego życia. Jak ci już mówiłem, był sierotą. Jego wuj nie żyje, ale ciotka wciąż tu mieszka. Jedziemy do niej, prawda?

Elsie Blizzard znaleźli w małym domku nad brzegiem rzeki. Dwóch miejscowych policjantów czekało już na nich przed wejściem.

Malone przywitał się z nimi i przedstawił Clementsa.

- Czy staruszka wie, że mamy złożyć jej wizytę?

- Nie, kiedy dowiedzieliśmy się, o podejrzanym jest Blizzard, pilnujemy tego domu bez przerwy. Nic podejrzanego jak dotąd. Co nie wyklucza, że on może być w środku.

Malone rozważył to już wcześniej. Clements przełożył pistolet z kabury do kieszeni płaszcza.

- Jeden z was niech przejdzie na drugą stronę domu. Gdyby Blizzard próbował uciekać, strzelajcie.

Młodzi policjanci spojrzeli na siebie.

- Mamy strzelać bez ostrzeżenia?

- Nie, ale pamiętajcie, że on jest niebezpieczny i nie będzie was ostrzegał. Który z was idzie?

Znów spojrzeli na siebie.

Pewnie namawiam ich do wyjęcia pistoletu pierwszy raz w życiu - pomyślał ze zgrozą Malone. - W końcu jeden odezwał się: - Ja pójdę.

Ruszył natychmiast, przesadzając niski płot sąsiedniego domku. Po chwili zniknął za rogiem.

- Jak masz na imię? - zapytał Malone drugiego z nich.

- Reg Capresi.

- Dlaczego przysłali was tutaj? Nie macie żadnego doświadczenia.

- Nikt nie przypuszczał, że to tak poważna sprawa. Mamy dziś sporo zamieszania - strajk w zakładach metalowych, demonstrację w Gong. Nasze własne problemy są w tej sytuacji ważniejsze. Mam nadzieję, że rozumie pan, co chcę powiedzieć.

- Jasne. - Spojrzał na Clementsa, który pojął w lot, że to jego niedopatrzenie. - W porządku, zostań przy samochodzie. Obserwuj uważnie co się dzieje. Gdyby rozpętała się jakaś strzelanina, pędź do komendy i każ przysłać posiłki. Natychmiast! Bez względu na to, co ważnego macie u siebie.

- Rozkaz!

Ruszyli w kierunku domu wąskim trawnikiem. W momencie gdy dochodzili do drzwi, ukazała się w nich pani Blizzard. Nie mówiąc ani słowa wskoczyli do wnętrza, jeden w lewo, drugi w prawo, z pistoletami w dłoniach gotowi do otwarcia ognia.

- Co się tu do diabła dzieje! - wrzasnęła kobieta, przerażona tym nieoczekiwanym napadem.

Szybko sprawdzili, że w domu nie ma nikogo poza nią.

- Policja - wyjaśnił Malone i pokazał swoją legitymację.

- Policja? Czego chcecie! Myślicie, że skoro jestem stara, to się was boję? Nie wiem czego tu szukacie, ale zamknijcie drzwi, bo zimno ciągnie do środka. Mam nadzieję, że wyjaśnicie wszystko. Herbaty czy kawy? Mam tylko rozpuszczalną. Nie stać mnie na nic lepszego. Emerytura niewielka, a ceny wciąż rosną. Ale, czy ci w Canberze dbają o to?

- Cokolwiek, jeżeli pani tak uprzejma - odparł Malone, zaskoczony potokiem słów.

- Nie wysilajcie się na grzeczności. Zdecydowanie! Kawa, czy herbata?

- Dla mnie kawa - odezwał się Clements.

- Zaraz podam. Siadajcie - rzuciła krótko i powędrowała do kuchni.

Usiedli posłusznie, patrząc na siebie ze zdziwieniem. Pokój wyglądem przypominał salę muzeum; stare meble, stare obrazy i fotografie na ścianach, haftowane serwetki i mnóstwo przeróżnych drobiazków uzbieranych przez całe życie.

Gospodyni wróciła, niosąc filiżanki i ciasteczka w cynowym naczyniu, które miało przynajmniej ze sto lat.

- Własnej roboty. O co wam właściwie chodzi?

- Poszukujemy pani siostrzeńca. Myślimy, że mógłby nam pomóc w dochodzeniu, które prowadzimy.

- A co on takiego zrobił?

- A co robił w młodości, kiedy tu mieszkał? - odpowiedział Malone pytaniem.

- Nie słyszałam o nim, nie wiem, przynajmniej z dziesięć lat, może więcej. Ale był dobrym chłopcem. Trochę nazbyt wrażliwym. Czasem myśleliśmy nawet, że jest za spokojny. Bardzo dobrze się rozumieli z Jeffem, moim mężem.

- A jak pani sobie z nim radziła? - zapytał Malone ostrożnie.

- Nie najlepiej. Nie lubił, kiedy się go upominało. Byłam dla niego dość surowa. Jeff bardziej mu pobłażał. Myślę, że on bardzo odczuł utratę rodziców.

- Czy wspominał kiedykolwiek, że chce wstąpić do policji?

- Rozmawiał o tym z Jeffem. Chciał być detektywem. Czytał mnóstwo powieści kryminalnych. Pożyczał je z biblioteki w Kiama. Głównie amerykańskie opowiadania Raymonda Chandlera.

- Przygody prywatnego detektywa - wtrącił Malone.

- Czy mieliście z nim kontakt, kiedy wstąpił do akademii?

- Sporadycznie. Miał tam jakieś kłopoty. Powiedział o tym Jeffowi. Nie wiem o co chodziło. Jeff mi nie powiedział. Zmarł dwa dni później.

- Kto?- zapytał Clements, jakby nie nadążał za jej słowami.

- Jeff, mój mąż. Miał atak serca. To był okropny szok. - Zaciśnęła usta; przeżycie sprzed dwudziestu lat było wciąż świeże. Trwało to jednak tylko chwilę. - Frank również przeżył to bardzo ciężko. Obawiałam się nawet o jego zdrowie. Chodził jak obłąkany.

- Obwinił siebie o tę śmierć?

- Myślę, że tak. Kiedyś wspomniał o tym.

- Co Frank robił potem?

- W dzień po pogrzebie wyjechał i odtąd o nim nie słyszałam. Mam do niego żal o to, że zostawił mnie na pastwę losu. Opiekowałam się nim od drugiego roku życia. Spodziewałam się odrobiny wdzięczności. A co on zrobił?

- I nigdy więcej nie widziała go pani?

- Nie, nigdy. Czasami przysyłał kartkę na Boże Narodzenie. Najczęściej z Darwin. Ostatnia wyjątkowo z Europy. Nie pamiętam dokładnie. Wyrzucałam je. Pytałam co zrobił - powtórzyła.

- Czym się zajmował, gdy tu mieszkał? - Malone po raz wtóry zignorował jej pytanie.

- Był robotnikiem leśnym, podobnie jak Jeff. Jego ojciec też pracował przy wycince drzewa w lasach cedrowych, które rozciągają się na pobliskich wzgórzach. Teraz nie ma już lasów i nie ma Blizzardów. Może wreszcie powie mi pan, co on takiego zrobił?

- Podejrzewamy go o popełnienie morderstwa. Czterech morderstw, jeśli chodzi o ścisłość.

- Zamordował czterech ludzi? Kogo?

- Jedną dziewczynę i trzech mężczyzn. Może czytała pani o tym w gazetach.

- Nigdy nie czytam nic takiego. - Zmarszczki na jej twarzy pogłębiły się. Skurczyła się, jakby ulatywało z niej życie. Odwróciła głowę i wpatrzyła się w fotografię na ścianie. Malone podążył za jej wzrokiem. Zdjęcie przedstawiało szczupłego chłopca, z krótko obciętymi włosami, stojącego w dumnej pozie. Trzymał w obu rękach wielką strzelbę, a u jego stóp, rozłożone jak dywanik, leżały cztery króliki.

- Czy to jego zdobycz? Był dobrym strzelcem?

- Mąż twierdził, że najlepszym jakiego kiedykolwiek widział. Nigdy nie wracał z polowania z pustymi rękami. Ale nie wierzę, że mógłby zabić człowieka. Musicie się mylić.

- Nie mamy dowodów, ale jest głównym podejrzanym. Poszukujemy go. Czy poznałaby go pani teraz po latach?

- Nie wiem, wszyscy się zmieniamy - odpowiedziała po dłuższej chwili. Była pod wrażeniem tego, co usłyszała.

Nagle wszyscy podskoczyli na swych siedzeniach. Zadzwoił telefon. Clements aż wstał z fotela, zaskoczony tym nieoczekiwanym dźwiękiem.



Stara kobieta podniosła się ciężko i podreptała w róg pokoju. Podniosła słuchawkę i cicho zapytała:

- Tak, słucham? Tak, kto mówi? - Ręce zatrzęsły się jej z wrażenia. - ...Nie, ...Frank... - Spojrzała na nich. - Gdzie jesteś?... Nie, nie posyłałam po nich.

Malone skoczył na równe nogi. Złapał słuchawkę.

- Blizzard? Tu inspektor Malone.

- Wiem kim jesteś. Mam cię na oku od paru tygodni. Jesteś już trupem, Malone. - W słuchawce zapanowała cisza, po chwili krótkie *pii, pii, pii* oznajmiło, że połączenie zostało przerwane.

Odłożył słuchawkę i powoli odwrócił się. Staruszka, bliska płaczu, stała obok. Dotknął jej ramienia. Odsunęła się gwałtownie.

- Czy on panią straszyl?

- Nie, pytał czy to ja was wezwałam?

- Słyszała pani sygnał centrali międzymiastowej?

- Nie, to była miejscowa rozmowa.

Malone odwrócił się do Clementsa.

- To znaczy, że przyjechał tu za nami. Nie zauważyłeś żadnego auta?

- Nie zwracałem uwagi - przyznał ten ze skrucą.

- Prześlemy pani policjantkę do ochrony - zwrócił się Malone do siedzącej cicho staruszki.

- Nie potrzebuję. Sama potrafię o siebie dbać. Frank nie zrobi mi nic złego.

- Gdyby zadzwonił znowu, proszę dać nam znać. - Położył swoją wizytówkę.

- To zależy od tego czego będzie chciał. Jestem jego matką. Przybraną matką, ale...rozumie pan, inspektorze?

- Czy miał tutaj jakichś przyjaciół? Dziewczynę?

- Miał kolegę, ale on nie żyje. Dziewczyny ... nie, on był raczej samotnikiem. Gdybyście go ujęli, dajcie mi znać, dobrze?

- Tak, oczywiście. Dziękujemy pani.

- Nie chcę tu widzieć żadnych innych policjantów - rzuciła ostro, zamykając za nimi drzwi.

Stała teraz za szybą, ze spuszczoną głową, bliska płaczu. Było w niej coś z siły cedrowego drzewa, z którymi jej mąż zmagał się przez całe życie. Nie

pozwoliła, by ktoś obcy zobaczył łyżę w jej oczach.

## 4.

Sebastian Waldorf otworzył drzwi, spojrział krzywo, i z wyrzutem w głosie zapytał:

- Jesteście reporterami?

- Nie - odparł Malone. - Być może pamiętasz mnie z czasów akademii policyjnej, kiedy byłeś jeszcze zwykłym Samem Culpem?

Patrzył na nich ze zdumieniem.

- O co chodzi?

- Możemy wejść do środka?

Skinął głową i poprowadził ich za sobą. Weszli do obszernego, kosztownie urządzonego, salonu. Wzdłuż ścian stały półki pełne książek, płyt i kaset. Pomiędzy nimi wisiało mnóstwo fotografii, przedstawiających Waldorfa w przeróżnych scenach operowych.

Na środku stała młoda, jasnowłosa dziewczyna, wyraźnie zaskoczona widokiem obcych mężczyzn. Piersi falowały nerwowo pod jej żółtym, skąpym sweterkiem, jakby nie zdążyła na czas upchnąć ich w stanik.

- To panna Virgil, jedna z moich uczennic. Występuje w chórze. Zrobimy krótką przerwę.

Panna ukloniła się i wyszła do drugiego pokoju. Usiedli w fotelach. Waldorf patrzył wyczekująco.

- Opowiem krótko co nas sprowadza. Mieliśmy zamiar uchwycić cię na lotnisku, ale nie zdążyliśmy. Jesteś prawdopodobnie na liście mordercy, który zabił już cztery osoby. Może pamiętasz Franka Blizzarda z akademii policyjnej.

W możliwie zwięzły sposób opowiedział o pozostałych ofiarach.

Waldorf patrzył zaskoczony. Nabrał w końcu powietrza w płuca, spojrział na Malone'a, potem na Clementsa i wykrztusił:

- Nie, nie kojarzę, ani nazwiska, ani twarzy  
- Poszukujemy go. Nikt z nas nie pamięta jak wyglądał Pamiętasz taki incydent, kiedy wyrzuciliśmy go na ulice w samych tylko gaciach?

Waldorf roześmiał się i zaraz spoważniał.

- To nie pora na śmiech. Tak, pamiętam. I to jest powód?  
- Czy twój sezon się skończył?  
- Nie, mam jeszcze trzy tygodnie występów, a potem jadę za ocean. Występuję w *Czarodziejskim flecie i Traviacie* Jesteście miłośnikami opery?

- Nie - odpowiedzieli zgodnym chórem.  
- Rozumiem. Kiedy byłem w akademii śpiewałem w chórze. Nienawidziłem tego. Potem ktoś powiedział mi, że mam niezły głos. Wziąłem parę lekcji, potem zacząłem studiować w konserwatorium. Wtedy odszedłem z policji. Jak widać dobrze zrobiłem.

- Masz rodzinę?  
- Moja żona jest Niemką. Wyjechała z dziećmi do Kolonii  
- Odeszła od ciebie?  
- Nie wasz interes. - Spojrzała na Malone'a.  
- Pytam tylko dlatego, że chcę wiedzieć, kto może przypadkiem trafić pod łufę Blizzarda.

Clements podniósł się i podszedł do okna.

- Czy ta łódka należy do pana?  
- Tak, w każdej wolnej chwili korzystam z niej To mój najlepszy sposób na regenerację sił.

- Obawiam się, że musi pan chwilowo zrezygnować z tej rozrywki. I nie tylko z tej - dodał Clements.

- Czy to wszystko, co macie mi do powiedzenia? Gdzież my żyjemy? Mam się okopać, bo jakiś wariat wziął do ręki strzelbę? A co wy robicie? Za co dostajecie pieniądze?

- Uspokój się - przerwał Malone. - Chcemy ci pomóc ale nie możemy dać ci tu ochrony przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Najlepiej spakuj się i jedź z nami do hotelu. Będziesz gościem O'Briena i moim. Później zaaranżujemy coś innego

- To brzmi rozsądnie.

- Nie mógłbyś odwołać jutrzejszego występu?  
- To niemożliwe. Mam rolę ptasznika w *Czarodziejskim*  
- A ten show musi koniecznie iść? - zapytał Clements sarkastycznie.  
- Czy ty sobie wyobrażasz, że to jakieś gówno? Nie można ot tak odwołać występ i zwrócić pieniądze. Wystąpię jutro, nie dlatego, że jestem bohaterem i nie jako gwiazda Hollywood. Jestem to winien swoim wielbicielom.

I właśnie wtedy, jak w scenariuszu z Hollywood, zadzwonił telefon.

- Panna Virgil odbierze. To pewnie z opery. Mam jutro rano próbę przed wieczornym występem.

Dziewczyna ukazała się po chwili; ciągle lekko zmieszana oznajmiła, że jakiś nieznajomy prosił o przekazanie wiadomości, zanim inspektor Malone odjedzie.

- Jakiej wiadomości?

- To trochę dziwne, ale on kazał zaśpiewać:

*Trzy zielone butelki stoją na półce przy ścianie.*

*Gdy jedną przypadkiem strącisz, to tylko dwie zostanie.*

# Rozdział siódmy

## 1.

Penelopa Debbs, gotowa do podjęcia walki, siedziała naprzeciw Hansa Vandenbergga, polującego na fotel lidera Partii Pracy z nie mniejszą determinacją. Hans znany ze swego męskiego szowinizmu, z niechęcią musiał się godzić na istniejący układ sił. Jak każdy polityk o aspiracjach lidera, najchętniej poprowadziłby ten show według swoich zapatrywań przekonany, że potrafi to zrobić najlepiej. Niestety, grzędę obsadziły różne ambitne kury, jak ta siedząca teraz naprzeciwko.

- Dobrze wiesz Hans, że to prasa podbija bębenek.

- Wiem kochanie. Ale to nie jest cała prawda. Zapominasz, że jestem ministrem policji i mam okazję słyszeć różne rzeczy, do których ludzie tacy jak ty nie mają dostępu.

- Powinieneś więc poinformować nas na posiedzeniu gabinetu.

- I pozwolić, by połowa z was natychmiast wszystko wygadała? - Uśmiechnął się z wyższością człowieka, który wie o swej przewadze i potrafi ją wykorzystać. - Daj spokój, Penny. - Był jedynym mężczyzną spoza grona jej przyjaciół, który pozwalał sobie nazywać ją tak poufale. Walczyła z tym przez jakiś czas, ale on, głuchy jak kamień, przetrwał i mógł zaliczyć tę potyczkę do swoich małych zwycięstw.

- Ty i twój mąż mieliście w tym swój udział i pan O'Brien wepchnął w wasze ręce trochę podejrzanых akcji. Jak wiele?

- Mówiłam ci Hans, nie mamy żadnych akcji.

- Nie powiedziałem, że macie. Mieliście. Czas przeszedł.

Wyglądała w zamyśleniu nie istniejące fałdki na zielonej spódnicy; drobna gra na czas. Vandenberg spokojnie zdobywał punkt po punkcie.

- To było ponad trzy lata temu, kiedy zostałam ministrem rozwoju i miałam nadzieję uczynić coś pożytecznego dla naszego kraju - zaczęła pobożnym głosem, przebierając perły naszyjnika jak paciorki różańca.

- Załatwiają prawa wydobywcze firmie, która nie wykopała nawet dołka w ogrodzie? Wielkie gówno, Penny. Ta firma wiodła prym w operacjach prania pieniędzy. Właśnie to jest obiektem dochodzeń NKK. Oni nie mogą sami nadać temu biegu, ale kiedy zwrócą się do mnie, będę musiał coś zrobić.

- Nic nie wiem o praniu pieniędzy! - Jej palce zacisnęły się na naszyjniku.

- A Arnold?

- Nie!

- Spokojnie, Penny. Opanuj się. Ile tych akcji było w waszych rękach?

- Pięćdziesiąt tysięcy.

- Ile was kosztowały?

- Dziesięć centów każda. Nie wiem, na czym polega to zamieszanie. Hans, to było parę lat temu.

- Takie sprawy często wracają. Dlatego nigdy nie angażuję się w nic podobnego. Ani pensa, Penny, i dzięki temu przetrwałem tak długo. Co się dzieje z tymi akcjami?

- O'Brien kupił je od nas sześć miesięcy temu.

- Po ile?

- Pięćdziesiąt centów za sztukę.

- Czteryście procent zysku! Nieźle. - Odwrócił się w stronę okna, za którym rozciągał się piękny widok na ogród botaniczny, jedno z ładniejszych miejsc w Sydney. Z uśmiechem na ustach odkręcił fotel z powrotem i patrząc na Penelope dodał: - Ale znacznie mniej, niż gdyby te akcje wciąż były w waszych rękach. Doszły już do siedemnastu dolarów. O'Brien zrobił na was niezły interes.

- Jesteśmy usatysfakcjonowani - wysiliła się, by zabrzmiało to prawdziwie.

- Nie wierzę, Penny. Musieliście być wściekli, kiedy trafili na tę żyłę złota.

- Potrafisz być brutalny, Hans.

- Nie jesteś pierwsza, która mi to mówi. O'Brien wykołował was i wielu innych. Wiedział co się święci i zapłacił całą żałodze za trzymanie gęby na kłódkę.

- Skąd wiesz o tym wszystkim?

- Po prostu wiem. Teraz O'Brien siedzi na fortunie, ale nawet to mu nie pomoże. Jeśli nie dopadnie go NKK, to zrobi to ktoś inny. Próbowano zastrzelić go wczoraj w nocy. Czy to nie wasza sprawa?

Posądzano ją dotąd o wiele różnych rzeczy, ale morderstwo? Tego nawet dla niej było już za wiele.

- Dobry Boże! Nie!

- Myślę, że powinnaś rozważyć możliwość rezygnacji. Ze względu na stan zdrowia....

- Co? Hans, przestań opowiadać te swoje męskie mądrości! Gdybym zrezygnowała teraz, byłoby to dopiero podejrzane. Zbyt łatwo chciałbyś się mnie pozbyć.

- Sama się do tego przyczyniłaś, kochanie.

- Nic z tego! Nie mam żadnych powiązań ze sprawami, które bada NKK.

- Na twoim miejscu nie byłbym tak pewny. Dobrze ci radzę, złóż rezygnację. Ogłosimy to przez radio. Nie będziesz musiała udzielać żadnych wywiadów. Ci z telewizji zawsze potrafią cię złapać na kłamstwie.

Penelopa podniosła się gwałtownie.

- Dziwne, że ciebie dotąd nie złapali.

- Ja zawsze mówię prawdę, kochanie. Czasami lekko skręcam, ale to tylko technika poruszania się w bagnie. Za pół godziny chciałbym mieć tu twoją rezygnację. Napisz to krótko. Twój stan zdrowia nie pozwala na pisanie długich listów.

- A co z Arnoldem? Jego też chcesz ustrzelić?

- To nie moja sprawa. Jego federacja mnie nie interesuje. To ich zmartwienie. Wybieram się do Canberry, zobaczę co oni mają zamiar z nim zrobić.

- On cię zabije.

- Będzie musiał znaleźć kogoś - Vandenberg odbił miękko piłkę - kogoś bardziej skutecznego niż ten wczorajszy strzelec.

## 2.

Zderzenie dwóch tak różnych charakterów okazało się niewypałem. O'Brien zawsze zdecydowany i żyjący na serio, pomimo problemów w firmie zagrożających jego karierze, w obliczu klęski znajomości, która pochłonęła go bez reszty, gotów był nadal traktować wszystko poważnie i stawiać czoła wszelkim przeszkodom. Z drugiej strony, lekkoduch, nawet z lułą przy skroni rozglądający się za okazją do uwiedzenia kolejnej sopranistki, przyjmował życie jako ciąg miłostek i nieustannej rozrywki. Już w pierwszej minucie Malone zrozumiał, że przywiezienie go do apartamentu O'Briena było błędem.

- Dlaczego, do diabła, przywiołeś go tutaj? - wściekał się O'Brien, kiedy Waldorf ze swymi walizkami poszedł rozpakować się w sąsiednim pokoju. - Dlaczego mnie nie zapytałeś?

- Nie było na to czasu. - Malone opowiedział o telefonie Blizzarda.

- No dobrze, ale dlaczego właśnie tu? Myślisz, że prowadzę komunalny dom opieki?

- W porządku. Przeniosę go gdy tylko znajdę jakieś miejsce. Departament ma zamiar przygotować odpowiednie pomieszczenia dla nas wszystkich.

- Ja nie mam zamiaru ruszać się stąd.

- Czy chcesz narazić swój tyłek, Horrie?

- Nie nazywaj mnie Horrie!

- A ty nie ucz mnie mojej roboty! - W sąsiednim pokoju rozległ się trzask zamykanej z hukiem szuflady. - Siedzę w tym po same uszy, tak jak ty i ten śpiewak operowy i jedyne czego chcę, to złapać Blizzarda i uniknąć jego kuli. A ty dbaj tylko o swoją cholerną głowę!

Wybuch Malone'a ostudził wyraźnie O'Briena. Wychodzący z sąsiedniego pokoju Waldorf wzburzył go ponownie.

- Słyszałem większość z tego o czym mówiliście. Jeśli o mnie chodzi, Horrie

- Na litość boską, przestań nazywać mnie Horrie!

Malone opadł z rezygnacją na fotel i zaczął się śmiać.



Spojrzeni na niego ze zdziwieniem. Po chwili Waldorf uśmiechnął się i w końcu również ryknął śmiechem. O'Brien zrobił ruch jakby zamierzał opuścić pokój, ale machnął tylko ręką i na jego twarzy pojawił się również szeroki uśmiech. Śmiali się wszyscy trzej nie bardzo wiedząc z czego.

- Wygrałeś, Scobie. Przepraszam cię, Sam.

- Nie nazywaj mnie Samem - powiedział Waldorf śmiejąc się.

Pogodził się z możliwością nagłej śmierci wyjątkowo łatwo - pomyślał Malone. Szybko i efektywnie zareagował na propozycję opuszczenia własnego domu.

Panna Virgil, która przyjechała wprost z lotniska z nadzieją na całonocną lekcję, została odesłana w ciągu dwóch minut.

- Wzięła moje auto i pojechała do mamy. Jest trochę zawiedziona - skomentował Waldorf.

- Trudno - odparł Malone. - Będziesz musiał dać jej lekcje w operze, jeżeli chcecie się spotkać. Czy to poważny związek?

Waldorf uśmiechnął się.

- Nic na serio, Scobie. Dopóki się nie ożenisz. Ona jest bardzo miłą dziewczyną, ale jestem od niej dwa razy starszy. Mój starszy syn jest zaledwie cztery lata młodszy od niej. - Uśmiech zgasł. Widocznie wspomnienie rodziny sprawiło go w nostalgię.

Przeprósł ich na chwilę i po dziesięciu minutach był gotów do drogi, niosąc z sobą dwie wielkie walizy.

- Ile czasu, jak sądzisz, zajmie nam schwywanie Blizzarda? - zapytał Malone na ten widok. - Caruso nigdy nie ruszał się bez ciężarówki pełnej kufrów.

- Ale on był tenorem, nie?

- Fakt. I o ile wiem, nikt nie próbował odstrzelić mu głowy. Dobrze, zostawię jedną walizkę.

- Weź obie. Russ pomoże ci zanieść je do auta. Ja mam słaby krzyż no i moja ranga....

- Odwal się inspektorze - powiedział Russ i ruszył do drzwi.

- Widzisz? Dyscyplina równie zła, jak w czasach kiedy byłeś w akademii.

W drodze do hotelu Malone bacznie obserwował samochody jadące za nimi. Nie uszło to uwagi Waldorfa.

- Ktoś nas śledzi? - zapytał.
- Nie widzę nic podejrzanego, ale jechał dziś rano za nami.
- Mogę się założyć o każde pieniądze, że jest już w domu - wtrącił Clements. - Wykonał plan na dzisiaj. Spowodował, że spociliśmy się obaj. Chcesz, abym pokręcił się w okolicy dzisiejszej nocy?
- Nie, daj sobie spokój. Zajmij się swoimi akcjami. Jutro rano jedź do studia TV i weź wszystkie taśmy z reportażami z miejsc zabójstw. Razem z Jackiem Chenem i Hansem Ludke przejrzyjcie je uważnie i jeżeli znajdziecie jakieś powtarzające się twarze, to się nimi zajmijcie.
- Mogę to zrobić dziś wieczór.
- Nie, lepiej oglądajcie je na spokojnie. Tuż przed hotelem Waldorf zapytał:
- Jaki jest O'Brien? Nie pamiętam go z akademii.
- Można go nawet polubić - odpowiedział Malone. Teraz, pół godziny po przyjeździe, wydawało się to całkiem realne.
- Występujesz dziś wieczór? - zapytał O'Brien.
- Nie, dopiero jutro. Dajemy gardłu odpocząć dwa, trzy razy w tygodniu.
- Jest jeszcze wcześniej. Jedźmy na dół na kolację - zaproponował O'Brien.
- Możemy pójść do Złotej Komnaty. - Zauważył zdziwione spojrzenie Malone.
- Przecież on nie może zatruć wszystkiego w tym mieście.
- Nie myślałem o tym. Policyjne zarobki nie pozwalają mi na bywanie w takim lokalu. Czy w tym hotelu jest Mc Donald?
- Ja płacę - odparł O'Brien.
- Podzielimy między nas - włączył się Waldorf.
- Nie, nie zgadzam się. - Godność O'Briena została podrażniona. - Moja propozycja - ja płacę.
- Malone obserwował z boku ten pojedynek. Waldorf miał też swoje ambicje i nie poddawał się łatwo. Chcąc rozładować sytuację zapytał:
- Weźmiemy kogoś z ochrony z sobą?
- Koniecznie? - zaproponował O'Brien. Jestem zmęczony czując ich oddech na karku przez cały czas.
- Lepiej ich niż Blizzarda.

- Zaryzykujemy - podsumował O'Brien, jakby to tylko do niego należało podejmowanie decyzji. Chciał coś dodać, ale zadzwonił telefon, więc podniósł słuchawkę.

- Halo? Moment.

Spojrzał na Malone'a tak dziwnie, że ten pomyślał natychmiast o Blizzardzie i jego piosence. O'Brien pokręcił głową.

- Nie... chwileczkę. Podejdę do drugiego aparatu. Wyszedł do sypialni i zamknął drzwi. Malone wyjaśnił:

- To na pewno jego znajoma, o której Brian woli nie mówić.

- Rozumiem - Waldorf skinął głową. - Teraz to nawet jestem zadowolony, że moja rodzina jest w Niemczech. Zadzwonię do nich wieczorem. Dzieci chodzą do specjalnej szkoły. Uczą się niemieckiego. Wyrosną na Niemców.

- Mówisz po niemiecku?

Skinął głową.

- Ale zawsze chciałem umrzeć jako Australijczyk. I mam szansę.

- Przestań krakać! - Głos Malone'a stwardniał.

- Jasne, głupio mi się powiedziało. Przepraszam. Czytałem w gazecie relację z waszej wczorajszej przygody. Mieliście dużo szczęścia.

- To nie miało nic wspólnego z Blizzardem.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Nie, niech zrobi to Brian. To dotyczy jego spraw.

O'Brien rozmawiał z Anitą przez dwadzieścia minut.

W tym czasie Waldorf przebrał się. Włożył granatową marynarkę, która miała więcej złotych guzików niż mundur admirałski. W drodze do windy Malone zapytał:

- A jak poszło przesłuchanie przed NKK?

O'Brien pokręcił głową.

- Kiepsko. Tonę.

- Czytałem o twoich kłopotach - wtrącił się Waldorf. - Czy pomoże ci życie szczęścia?

- Dziękuję, ale nie za bardzo. Potrzebuję czegoś więcej niż szczęście.

Złota Komnata zgodnie z nazwą była raczej reprezentacyjną komnatą niż miejscem do jedzenia. Dania były nieprzeciętne i serwowane bardziej

elegancko, niż Malone mógł przypuszczać.

Płaciło się tu za sam fakt przebywania i świadomość bycia widzianym. Złocenia, lustra, zastawa - wszystko stanowiło bogatą oprawę tego widowiska. Malone rzucił okiem w menu drukowane wytłaczanymi literami i zgodnie z oczekiwaniami stwierdził, że jego dniówka wystarcza tu na talerz zupy.

Złożyli zamówienie.

- Ciekawe co Blizzard je dziś na kolację - zażartował niezbyt szczęśliwie Waldorf. - Do cholery, jakiś facet chce mnie zabić, a ja nic o nim nie wiem.

- Podobnie jak my - powiedział Malone. - Wiem jedynie, że był świetnym strzelcem jako chłopak. I takim, jak widać, pozostał.

- Pamiętam, że był maniakiem kina. Być może w tym Minnamook nie miał takiej możliwości. Kiedyś wybraliśmy się razem do kina.

- Jakie filmy oglądał?

- O gliniarzach, detektywach, jeśli dobrze pamiętam. Ten film, który z nim oglądałem to był... *Harpoon* z Newmanem.

- Chyba *Harper* - powiedział O'Brien. - Widziałem to.

- Możliwe. Pamiętam jeszcze, że kiedyś o północy spotkałem go w sali telewizyjnej. Siedział sam w ciemnościach i oglądał jakiś straszny film. Opowiadał, że oglądał pięć razy *Murder my sweet*.

- To opowieść o prywatnym detektywie. Czy on chciał być kimś takim?

- Być może - powiedział Malone. Jego ciotka mówiła, że czytał mnóstwo podobnych książek.

- Jednego nie rozumiem - powiedział Waldorf. - Dlaczego on sfałszował wyniki tego egzaminu?

- Ambicja. Chciał być najlepszy. To oznaczało najkorzystniejszy przydział.

Skończyli kolację i O'Brien podpisał rachunek bez mrugnięcia okiem. Malone wołał nie myśleć o wystawionej na nim sumie.

Waldorf wciąż niepokieszony, że nie może grać pierwszej roli, zaproponował:

- Jeśli nie macie nic lepszego do roboty jutro wieczorem, to zapraszam do opery. *Czarodziejski flet* nie jest tak trudny do wytrzymania.

- Chętnie - odpowiedział Malone. - Czasami żona zmusza mnie do oglądania opery w TV.

- Nie usypiasz? - zapytał Waldorf z uśmiechem.

- Przy tym zawodzeniu?

- A ty Brian?

- Mam spotkanie jutro wieczorem. - Spojrzał na Malone'a. - Miałem zamiar powiedzieć ci o tym. Wszystko będzie w porządku.

- Weźmiesz z sobą kogoś z ochrony?

- Nie żartuj!

- Ale powiesz mi, gdzie idziesz i z kim.

- Dobrze, dam ci adres, ale nic więcej.

Malone zrozumiał. Zwrócił się do Waldorfa:

- Mam nadzieję, że ty nie wybierasz się nigdzie po jutrzejszym występie.

- Wracam z tobą prosto do domu. Mogę cię trzymać za rękę, jeśli chcesz.

- Wolałbym jakąś damę, oby nie grubą i przed pięćdziesiątką.

- Załatwione. Szczupła, sexy i trzydziestka. Kiedyś trzymałem ją za rękę, ale nie wytrzymałem. Nie ma nic gorszego niż sexy sopran. Myślałem, że zostanie wykastrowany.

- Czy wy w operze zawsze mówicie w ten sposób o swoich partnerkach? - zapytał O'Brien.

- Jasne! Największe plotki na świecie powstają w towarzystwach operowych. Szeptanie to najprzyjemniejsza rzecz po całym tym zgiełku.

Malone podziwiał bez troskę Waldorfa.

- Masz zwyczaj śpiewać w łazience?

- Jeśli sobie życzysz?

Kiedy weszli do pokoju, O'Brien podszedł do telefonu, włączył automatyczną sekretarkę i zaczął przesłuchiwać taśmę. Dwaj kolejni rozmówcy prosili go o kontakt w sprawach handlowych. Trzeci głos był delikatny i po krótkim westchnieniu usłyszeli cichy śpiew: *Trzy zielone butelki...*

### 3.

Malone nie mógł usnąć tej nocy. Około czwartej nad ranem wstał i przeszedł do salonu, gdzie zastał O'Briena przeglądającego dokumenty finansowe. Zastłony, szczelnie zaciągnięte, nie przepuszczały na zewnątrz ani promienia z dwóch zapalonych lamp stołowych.

- Nie zaryzykowałbym teraz wyjrzenia przez okno - odezwał się O'Brien, odgadując myśli Malone.

- Siedź spokojnie. Bóg jeden wie, gdzie on teraz jest. Może być nawet w hotelu jako gość.

- Nie jest chyba aż tak szalony.

- Kto wie? Rano sprawdzę, czy ktoś nowy zameldował się tu ostatnio. On w końcu popełni błąd. Mam taką nadzieję.

O'Brien nie podtrzymał tematu.

- Tu jest sok pomarańczowy, kawa - wskazał na stolik. Sam ją przygotowałem. Obudził cię hałas młynka?

Malone zaprzeczył ruchem głowy.

- Martwi mnie, że nie wiem, jak się do niego dostać.

- Nie możesz wysłać oddziału specjalnego i przeczesać wszystkiego wokół?

- Nie sądzę, aby był tak nieostrożny. Może na nas polować, gdy wyjdziemy z hotelu. Nie wiem, czy jemu tak bardzo zależy na tym, by być nieuchwytnym. Jeśli będzie nas miał wszystkich razem, być może odłoni się zupełnie i zechce wykonać swój obłądny wyrok, licząc się z wpadką.

- W takim razie poruszajmy się osobno.

- Mówisz tak, jakbyś nie dbał o swój los.

- Jestem w ślepej uliczce, Scobie. - O'Brien wskazał na papiery. - Czy to nie brzmi melodramatycznie? A zresztą co nie jest melodramatem? Może właśnie Blizzard chce siedzieć w więzieniu i oglądać film oparty na tej historii, z Mel Gibsonem i Brownem grającymi ciebie i mnie. Kto to wie?

- Pozbieraj się do kupy!

O'Brien otrząsnął się, odwrócił głowę i patrzył gdzieś w dal.

- Masz rację, zaczynam mięknąć. Nie zdarzało mi się to do tej pory.

- Nie tylko ty - powiedział Malone i pomyślał, że Lisa zawsze potrafiła wyczuć zły nastrój i doprowadzić go do równowagi.

- Blizzard to tylko mała część moich kłopotów. NKK próbuje postawić mnie w stan oskarżenia. Te dokumenty, to podsumowanie moich szans. Są bliskie zeru. Jeśli nawet nie wsadzą mnie do pudła, to ci którzy nasłali wczoraj tego strzelca, wykończą mnie i tak. Do tego ta historia z Anitą, która nie ma żadnych szans na pozytywne rozwiązanie. Jeśli złożyć to wszystko razem ...

- Czy ona też jest tego zdania?

- Nie, ale ona jest inteligentną kobietą. Podobnie jak ja, nie ma ochoty spędzić reszty życia gdzieś w Brazylii czy Paragwaju, skąd nie mogliby żądać mojej ekstradycji.

Zaczął rozmyślać o Anicie. Gdyby tak znowu być młodym, zacząć wszystko od początku i spotkać ją wtedy. Dlaczego wszystkie kobiety, jakie spotykał, były zupełnie inne? Dlaczego nie właśnie takie? Choćby Penelopa Debbs. Zadzwoiła do niego wczoraj. Dreszcz przeszedł go na samo wspomnienie.

- Ty sukinsynu! - krzyczała w słuchawkę, w stylu nieprzystającym kobiecie. - Zrujnowałeś mnie! To stare gówno, ten pieprzony Vanderberg zmusił mnie do rezygnacji. Możesz o tym przeczytać w gazetach.

- Przykro mi to słyszeć, Penelopo.

- Przestań pieprzyć, Brian!

- Uspokój się! Moje telefony są przypuszczalnie podsłuchiwane - skłamał gładko, a w tym był niezły.

Uwierzyła. Wciągnęła głęboko powietrze i przez chwilę milczała.

- Co powiedziane, to powiedziane. Może to kogoś zainteresuje, jak wielu ludzi zrujnowałeś.

- Nie przesadzaj. Na pewno uda ci się wrócić. Za rok, dwa, nikt nie będzie o mnie pamiętał i znów zasiądziesz w pierwszym rządzie.

- Tak szybko cię załatwią? - zapytała z nadzieją w głosie. - Miło mi to słyszeć. Od razu poczułam się lepiej.

- Wierzę. Wszystko co możesz teraz zrobić, to siedzieć cicho. Będziesz jeszcze premierem. Vandenberg nie może trwać wiecznie.

- Mam nadzieję. - To była jej słabość. Nie potrafiła ukryć swych wybujałych ambicji. Skutkiem tego była cała gromada wrogów, których nie brakowało jej ani wśród członków opozycji, ani wewnątrz jej własnej partii.

- Na pewno dasz sobie radę - powiedział O'Brien. - Ale czy naprawdę chcesz, aby to wszystko zostało nagrane?

Odwiesiła słuchawkę, a on usiadł i uśmiechnął się pierwszy raz tego dnia.

Teraz jednak, o 4.30 nad ranem nie miał powodów do zadowolenia. Podniósł się mówiąc:

- Idę do łóżka. Obudź mnie po ósmej, jeśli sam nie wstanę.

- Chcesz nadal, abyśmy się wyprowadzili?

- Daj spokój. Niech już tak będzie. Ze względów operacyjnych, - dodał mrużąc oko.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Malone został sam, próbując zwalczyć nastroj rezygnacji, który pozostawił po sobie O'Brien.

## 4.

Punktualnie o ósmej zadzwonił do Claire.

- Co u ciebie?

- Wszystko w porządku, a ty jak się masz? Bądź ostrożny, pamiętaj!

- Jasne. Baw się dobrze i nie połam nóg. Zadzwonię jutro znowu. Cześć!

- Żona? - usłyszał z tyłu głos Waldorfa.

- Nie, córka. Jest na obozie narciarskim. Ma już prawie czternaście lat i najwyższy czas kupić strzelbę.

- Mówi się, że dzieci to ciągły kłopot. Ale dają też wiele szczęścia. - Jego myśli znów powędrowały do Niemiec.

W centrum Malone zastał Clementsa i Hansa Ludke przeglądających pilnie materiały filmowe, jakie udało im się ściągnąć z różnych stacji telewizyjnych.

- Zgadnij, kto najczęściej pojawia się w obiektywie? - zapytał Clements, gdy Malone wszedł do pokoju. - Tak, właśnie ty, Scobie. Siedem razy, jak dotąd.

- Czy to oznacza, że jestem głównym podejrzanym? I pomyśleć, że to ja sam podsunąłem ci ten pomysł.



- Nie mamy na razie nic podejrzanego, chociaż jest tego sporo - poważnie powiedział Clements.

- Kto kręcił te sceny?

- Jest takich dwóch spryciarzy, jeden z kanału 15, a drugi ze słynnej TV 7. Obaj zbyt młodzi, by być Blizzardem, jeśli o tym myślisz - dodał Clements. - Myślę, że on jest zbyt sprytny, by dać się złapać na coś tak prostego. Pamiętaj, że naczytał się powieści kryminalnych.

- A co z pogrzebem Mardi Jack i Jima?

- Departament urządza oficjalny pogrzeb Jima, prawdopodobnie w poniedziałek. Ciało Mardi zostanie wydane dopiero dzisiaj.

- Powinniśmy wziąć w nich udział.

- I rozglądać się za Blizzardem? - zapytał Ludke.

- Tak, mam wrażenie, że on chce być blisko wszystkich wydarzeń, w których ma swój wkład. I wciąż stara się kontrolować moje ruchy.

Opowiedział im o telefonie z zeszłej nocy.

- Pomyślałeś o nagłówkach w gazetach, gdyby ustrzelił cię na pogrzebie Jima.

- Przestań. Sam sobie pomyśl.

- Przepraszam. Powiedziałem to bez zastanowienia. Jestem zmęczony. Mózg przestaje pracować. - Wyprostował się i otworzył notatnik. - Mam trochę informacji o Gottim. Był w Canberze dwukrotnie w zeszłym miesiącu. Za pierwszym razem spotkał się na lotnisku z synem Toniego Lango.

- Mówiłeś, że nie miał nic wspólnego z mafią.

- Bo nie miał. To pierwszy sygnał świadczący o tym, że wszedł z nimi w kontakt.

- Śledzili go.

- Nie, nie mieli takiego polecenia. Potwierdzili jedynie, że odleciał tego samego dnia, podobnie zresztą jak tydzień później, kiedy przyleciał drugi raz.

- Czy wtedy też przyjął go Lango.

- Nie. Wziął taksówkę i pojechał wprost do budynku parlamentu. Miał spotkanie z samym Arnoldem Debbsem.

Malone nie wydawał się być zaskoczony tą rewelacją.

- Czy ktoś pytał Debbsa o to?

- Jak dotąd nie.

- Gdzie jest Debbs?
  - Sprawdziłem. Jest w Sydney. Umówiłem cię z nim za godzinę.
- Jesteś nieoceniony Russ - pomyślał Malone. Ale zrobiłeś jeden błąd. Ostrzegłeś Debbsa, a to polityk kuty na cztery łapy i będzie miał gotowe odpowiedzi na wszystkie pytania.
- W drzwiach ukazał się Danforth. - Nie wiedziałem, że macie tu dziś konferencję.
- Nic szczególnego, Harry. I tak dostałbyś raport. Nie chcę zanudzać cię drobiazgami.
  - No tak. - Danforth z chęcią przyjął postawę bardzo zajętego pracą. - Nie mam nawet czasu by usiąść. Mam na głowie prasę. Chcą wiedzieć z jakiego powodu byłeś razem z O'Brienem, kiedy Gotti próbował go zabić.
  - I co im powiedziałaś?
  - Bez komentarza. - Był w tym dobry. Minimum wysiłku intelektualnego.
- Ale w końcu dowiedzą się o tej liście i powiążą te wszystkie przypadki.
- Może powinniśmy im powiedzieć - zaproponował Ludke.
- Malone zaprzeczył ruchem głowy.
- Jeszcze za wcześnie. Poczekajmy dzień, dwa. Może Blizzard popełni jakiś błąd.
- Danforth stał zamyślony.
- W porządku. Macie coś nowego o tym Gottim?
- Clements opowiedział o spotkaniu z Debbsem.
- Debbs? Członek parlamentu? Jesteś pewien?
  - Tak wygląda.
  - To bardzo komplikuje sprawę. Co chcecie zrobić?
  - Mamy zamiar podpytać go trochę.
  - Dobrze, ale nie naciskajcie go zbyt mocno. Wiecie jacy są ci cholerni politycy. Coś ponadto?
  - Nic szczególnego. Wieczorem idę do opery posłuchać Waldorfa.
- Wyszli wszyscy razem. Danforth do swych pilnych spraw, Malone i Clements na spotkanie z Debbsem.
- Wyjaśniłeś Debbswi dlaczego chcesz go widzieć? - zapytał Malone.

- Nie rozmawiałem z nim, tylko z jego sekretarką. Powiedziałem, że jesteśmy wyborcami, którzy chcą przekazać dotację na fundusz partii, a nie ufamy poczcie.

Malone po raz kolejny przekonał się, że Clements jest bardziej inteligentny, niż mogłoby się wydawać.

Podjechali pod biuro wyborcze Debbsa. Przy wejściu siedziało parę biednie wyglądających osób, oczekujących pomocy. Patrzyli na wchodzącą parę i Malone był pewien, że rozpoznawali w nich gliniarzy. W tych sferach czuje się to na miłą. Młody człowiek siedzący w recepcji spojrział na nich równie nieprzychylnie.

Clements przedstawił się nie wspominając o wcześniejszej rozmowie telefonicznej. - Chcielibyśmy porozmawiać z panem Debbssem.

- Obawiam się, że jest bardzo zajęty. Ci ludzie czekają dłużej niż godzinę. Zaraz zapytam.

Wszedł niechętnie do biura, lecz po chwili wrócił, zapraszając ich do środka.

Biuro stanowił nieduży pokój oblepiony plakatami wyborczymi. Niektóre z nich przedstawiały Penelope Debbs i miały zapewne przypominać wyborcom, że są reprezentowani również na najwyższym szczeblu.

Gdyby mieli dzieci, to na pewno ulokowaliby je w ratuszu, by mieć wtyczki i w lokalnym rządzie - pomyślał Malone. Ambicje czyniły ich jednak zbyt zajętymi, by mieć i wychowywać dzieci.

- Inspektor Malone? - Debbs podniósł się i wyciągnął rękę. - Cóż tak pilnego sprowadza panów tutaj?

- Nie zajmiemy zbyt wiele czasu, o ile odpowie pan na kilka pytań. Czy zna pan człowieka o nazwisku Gotti?

- Jeden z moich wyborców? Nie kojarzy mi się z nikim kogo bym znał. Ale nie mogę pamiętać wszystkich.

Uśmiechnął się chcąc podkreślić swą szczerość.

- Nie, to nie jest pański wyborca. Przyjechał z Melbourne na spotkanie z panem tydzień lub dwa temu. Młody Włoch, drobnej budowy. Zawodowy morderca - dodał Malone patrząc w oczy Debbsa.

Debbs wytrzymał spojrzenie, ale jego niebieskie oczy pociemniały i zwęziły się.

- Ach, ten. Prawie go nie znam. Morderca, mówi pan? To nie żart inspektorze? Nie, widzę to po wyrazie pana twarzy. Gdzie on jest teraz?

- W kostnicy. Zastrzeliłem go zeszłej nocy. Zapewne czytał pan w gazetach.

- Jasne! Słyszałem w radio, ale nie podawali nazwiska. Do kogo strzelał? Do pana?

- Myślę, że do pańskiego znajomego Briana O'Briena.

Oczy Debbsa przybrały groźny wyraz.

- Czy to O'Brien przysłał pana do mnie?

- Nie. Po co Gotti był u pana?

- Przez miesiąc zastępowałem ministra do spraw imigracji. Gotti zjawił się u mnie w sprawie swojego wujka, który chce wyemigrować z Włoch. Odesłałem go do szefa lokalnego biura imigracyjnego, Nicka Odshirta.

- Z czyjego polecenia zjawił się u pana?

- Przyszedł ot tak, po prostu. Wyglądał na młodego człowieka pełnego inicjatywy. Zawodowy morderca? - Potrząsnął siwą głową, jakby takie pojęcie nie istniało w języku członka Partii Pracy.

Clements uśmiechnął się i powiedział:

- Mam informacje, że tydzień temu Gotti kontaktował się z Tony Lango. Może z jego polecenia trafił do pana?

Debbs ściągnął brwi.

- Ma pan na myśli tego Lango wspomnianego w kronikach policyjnych? Człowiek mafii? Dobry Boże! Nie, gdyby o nim wspomniał wyrzuciłbym go za drzwi. Chryste! On szukał poparcia dla swojego wujka, który być może jest jakimś donem albo ojcem chrzestnym, czy jak oni ich tam zwą.

Malone uznał, że tracą czas. - W porządku panie Debbs. Nie będziemy zajmować panu czasu. Ci wyborcy na zewnątrz pewnie mają poważniejsze problemy. Możemy tu pana zastać, gdyby pojawiło się coś nowego?

- Niestety nie. Będę w Canberze przez następne dwa tygodnie. - Podniósł się wyciągając rękę. Groźny wyraz oczu zniknął bez śladu. Patrzył na nich teraz niemal przyjacielsko.

- Dlaczego Gotti próbował zabić O'Briena? - zapytał na koniec.

- Nie wiemy - odparł Malone.  
- Ani punktu zaczepienia - dodał Clements. - Ale z czasem wszystko się wyjaśni. Tak zwykle bywa.

Wyszli na zewnątrz. Kolejka czekających na przyjęcie urosła.

- Wielki człowiek, ten pan Debbs - powiedział Malone. - Zrobi dla was wszystko co w jego mocy. - Spojrzał na sekretarza stojącego przy biurku. - Prawda?

- Na pewno - odparł, a w duchu zapewne pomyślał o czasie jaki pozostał do upadku lub śmierci swego pryncypała i szansie na zajęcie jego miejsca.

Wsiadli do auta. - Co myślisz o nim? - zapytał Malone.

- Kłamca w każdym calu. Trzeba tylko dowiedzieć się dlaczego - odpowiedział Clements.

## 5.

- Trafili od Gottiego do mnie. Trafia i do ciebie Tony - Debbs mówił spokojnie jak na człowieka, któremu pętla zaciska się wokół szyi.

- Skąd masz te wszystkie informacje?

- Mam swoje źródło. Wiarygodne, Tony.

Ostrzeżenie dotarło do Debbsa zaledwie parę minut przed wizytą policjantów. Tuż po ich wyjściu zwołał na spotkanie wszystkich zainteresowanych. Siedzieli teraz w jego letnim domu na obrzeżu Bowral i rozważali następne posunięcia.

- Skąd wzięliście tego partacza? - zapytał Leslie Chung, uważany za jednego z szefów Triady, oficjalnie zajmujący się importem biżuterii.

- Ja poleciłem go do tej roboty - odezwał się Dennis Pelong. - Pracował na moje zlecenie już kilkakrotnie. Nie ma co nad tym dyskutować, Les. Tak bywa.

- Pomówmy o tym, co nam grozi - wtrącił się Jack Aldwych. Czy wszystkie ślady prowadzące do niego zostały zatarte, Arnie?

Debbs starał się zachować spokój. Nie znosił Aldwycha, ale musiał się z nim liczyć. W tym towarzystwie Wielki Jack, jak go nazywano był

najpotężniejszym partnerem. Jako właściciel sieci hoteli i butików, plasował się nieoficjalnie w pierwszej dziesiątce najbogatszych ludzi w kraju. Patrzył teraz na niego wyczekująco.

- Prowadzą dochodzenie. W końcu odeślą ciało do Melbourne, papiery na półkę...

- Tak jak zwykle - powiedział Chung i wszyscy oprócz Debbsa roześmiali się.

Wszystkich w tym towarzystwie połączył jeden człowiek - Brian O'Brien. A tym, który go wprowadził był właśnie Debbs.

- Musimy się więc zająć O'Brienem - ciągnął Chung.

- Wykorzystaj któregoś ze swych ludzi - odezwał się Pelong. - Jesteście ekspertami w zabijaniu. Robicie to od pięciu tysięcy lat.

- Czytasz za dużo komiksów, Dennis. Mam pokojową naturę.

- Przestań pieprzyć!

- Spokojnie - Aldwych próbował opanować sytuację. - Skąd wziął się ten gliniarz Malone w towarzystwie O'Briena? Znam go. To miły facet, ale nie da się go kupić. Próbowaliśmy już kiedyś do niego podejść. Ma ciekawy pogląd na życie i duże poczucie humoru - dodał uśmiechając się pod nosem. Czy on ma coś wspólnego z O'Brienem?

- To właśnie jest nasza szansa - powiedział Debbs. - *Nil desperandum*.

Jednym z jego politycznych autorytetów był niewątpliwie premier, który potrafił błysnąć klasycznym powiedzeniem odpowiednim do sytuacji. Debbs nie miał okazji do studiowania nauk klasycznych, ale kupił dobry słownik ze słynnymi frazami wydrukowanymi na okładce.

- Co ty pieprzysz? - Pelong dla odmiany nigdy nie zaglądał do słownika.

- To stare konfucjańskie powiedzenie - odezwał się Chung. - On ma zwyczaj używać go zawsze. Nigdy nie wpadaj w rozpacz.

- Zamknijcie się! - wrzasnęła Aldwych. - Co chcesz powiedzieć, Arnie?

Debbs poczuł, że stąpa po cienkim lodzie. Głupią łacińską sentencją wzmógł tylko napięcie. - Jest taki facet, były kadet, który postanowił zastrzelić O'Briena, Malone'a i śpiewaka operowego niejakiego Waldorfa. To ma coś wspólnego z wydarzeniem sprzed lat w akademii policyjnej. Zabił już dwóch gliniarzy, eks-kadetów i przyjaciółkę O'Briena. Tą ostatnią chyba przez pomyłkę.

- Skąd o tym wiesz, Arnie? - zapytał Lango.

Wszyscy pozostali słuchali z uwagą.

Odetchnął w duchu. Te informacje były jego kapitałem.

- Powiedzmy, że czasami opłaca się być politykiem.

- Sądziłem, że to się zawsze opłaca - odparł Aldwych i ponownie wszyscy poza Debbssem wybuchnęli śmiechem.

- Więc ten facet - jak on się nazywa? Blizzard? Jak burza śniegowa - próbuje ich sprzątnąć?

- Może byśmy go zatrudnili? - odezwał się Pelong.

- Po co? - odpowiedział Aldwych, dla którego Pelong był kimś nie zasługującym nawet na odrobinę uwagi. - On pracuje na swój rachunek. Wszystko co mamy do roboty to siedzieć i czekać. Jeśli zastrzeli O'Briena, to możemy mu posłać kwiaty albo inny upominek. - Znow uśmiechnął się z wyższością starego, wytrawnego gracza.

- A co, jeśli to potrwa zbyt długo? - zapytał Lango. - Ta cholerna NKK jest gotowa dobrać się nam do skóry łada moment. Wytrząsną z O'Briena wnętrzności.

- Poczekamy tydzień - powiedział Aldwych, który w ciągu pięćdziesięciu lat swej przestępczej kariery nigdy nie czekał, aż wybiorą go na lidera; mówił, a inni zgadzali się z nim. - Jeżeli nie sprzątnie O'Briena w tym czasie, to znajdziemy innego cyngla. Tym razem dobrego. Zostawcie to mnie.

- A co z Malone i tym śpiewakiem? - powiedział Debbs. Z tego co wiem, okopali się razem z O'Brienem w Kongresowym.

- Jezu! - zajęczał Chung, który płacił podatki tylko wtedy, kiedy nie mógł już tego uniknąć. - Policja płaci za to?

- Jeżeli będziemy musieli, załatwimy ich wszystkich - wtrącił się Pelong. Nikt nie będzie płakał za gliniarzem i jakimś pieprzonym wyjcem.

Wzniesli toast za śmierć O'Briena dojrzałą, piętnastoletnią whisky, którą przyniósł ze sobą Debbs. On sam nie czuł nawet jej smaku. Myślał o ryzyku związanym z zabójstwem O'Briena i policji badającej powiązania pomiędzy nim i Gottim. Bał się jednak tego towarzystwa bardziej niż policji.

Zaczęli się rozchodzić. Debbs odprowadził Aldwycha przed dom.

- Jestem pełen obaw, Jack. O'Brien jest przesłuchiwany w odosobnieniu, ale mam swoje źródła. Nie wsypał dotąd żadnych nazwisk, ale ujawnił parę szczegółów. Myślę, że będzie próbował zawrzeć z nimi układ.

- Czy oni mogą na to pójść?

- Raczej nie. Oni nie działają tak jak ty. - Aldwych spojrzał na niego uważnie. - Wiesz co mam na myśli, Jack.

- Jasne. - Uścisnął mu ramię. Mimo swego wieku miał chwyt młodego zapalnika. - Wszystko co do nas należy, to nie tracić nerwów. Wyjdziemy z tego. Nie po to tyle pracowałem, by teraz jakiś gówniarz w stylu O'Briena miał mnie poszatkować.

Wsiadł do samochodu, machając przyjacielsko ręką.

- Twój wybór nie był najszcześniejszy, Arnie - usłyszał nagle głos Chunga.

- Sądziłem, że O'Brien będzie wciąż na fali. Skąd mogłem wiedzieć?

- Nie, nie o tym myślę. Popatrz na tego durnia Pelonga. Gotów zrobić coś głupiego. Przesadza we wszystkim, choćby ten rolls. Dziwię się, że tak długo przetrwał.

- Może za długo - odparł Debbs.

- Może... Nie spodziewałem się jednak usłyszeć czegoś takiego od ciebie, Arnold.



# Rozdział ósmy

## 1.

Gmach Narodowej Komisji Kontroli obłożony był przez ekipy reporterów. Wszyscy czekali na wyniki przesłuchania, wietrząc nie byle jaką sensację. O'Brien i Bousakis, zaskoczeni tym tłumem, zatrzymali się w drzwiach.

- Czego, u diabła, oni chcą! - zaklął cicho O'Brien.

- Nie wiem, Brian. Przypuszczam, że spodziewają się szybkiego i dramatycznego końca. Wszystko co możemy zrobić, to wstrzymać się od komentarzy.

O'Brien spojrzał na kłębiący się tłum powstrzymywany przez ochronę gmachu. Operatorzy kamer przepychali się z fotografami. Każdy chciał zająć możliwie najlepszą pozycję.

- Jest już nasze auto?

- Właśnie podjeżdża. Masz zamiar dostać się tam biegiem?

- George! Ty, turlający się przez ten plac? - O'Brien nie tracił humoru. - To byłby wspaniały obraz w telewizji. Lepszy niż jakiegokolwiek moje ujęcie.

Wyszli przed budynek kierując się do drzwi samochodu, które próbowali osłonić ludzie z ochrony O'Briena. Reporterzy rzucili się w ich stronę przekrzykując się nawzajem. Wsiadali szybko, odpychając mikrofony podtykane im pod nosy. Ochroniarze zatrasnęli drzwi, kierowca ruszył torując sobie drogę przez tłum.

Nie odzywali się do siebie aż do momentu, kiedy dotarli do biura w Cossack House. - Myślę, że trzeba się przygotować na najgorsze - powiedział Bousakis. - To przesłuchanie nie mogło wypaść gorzej.

O'Brien skinął głową, zacierając nerwowo ręce.

- Tak, ale nie zagrałem jeszcze ostatniej karty. Wciąż możemy zawrzeć układ.

- Brian, oni nie są zainteresowani takim rozwiązaniem. Jack Aldwych i pozostali nie mają w tym żadnego interesu.

- Będą mieli. Jeżeli postawią mnie w stan oskarżenia, zaczną mieszać między nimi.

- To dość ryzykowne.

- Cała ta sprawa jest ryzykowna, ale to chyba jedyny sposób, by z tego wybrnąć.

Bousakis opuścił swe cielsko na fotel. - A co ze mną?

- Nie wiem, George. Wyjdiesz z tego. Znajdziesz sobie inną robotę. Jesteś czysty.

- Nigdy nie dostanę takiej pracy jak ta. Recesja, banki zwijają się jeden po drugim. Na niczym innym się nie znam.

- Jesteś niezłym administratorem. Nie gorszym niż wszyscy inni w tym mieście. Dam ci najlepsze referencje.

- Myślisz, że referencje od ciebie mogą się na coś przydać?

- Sądzę, że wszystko co możemy zrobić, to zachować spokój.

Bousakis nie był jednak w stanie opanować nerwów.

- To nie ja wpędziłem firmę w kłopoty! To twoja zasługa! Miałem nadzieję, że Cossack to szansa na przyszłość. A teraz wszyscy, nie tylko ja, znajdziemy się na ulicy! Przez ciebie i twoją pazerność!

O'Brien nigdy dotąd nie widział Bousakisa tak zdenerwowanego. Zawsze uważał go za przykład filozoficznego Greka, chociaż jego kontakt z filozofią wielkich Greków ograniczał się do słuchania Nany Mouskouri. Wyjął chusteczkę, wytarł nos; potrafił docenić wartość chwili milczenia.

- Stało się - powiedział w końcu. - Czego spodziewasz się po mnie? Mam cofnąć czas?

- Nie - odparł Bousakis. - Dasz mi pakiet kontrolny Cossack Holdings. Bank padnie, ale resztę mogę uratować. Chcę mieć kontrolę nad tym.

O'Brien siedział nieporuszony. Zmagania w świecie biznesu zahartowały go w tego typu pojedynkach. Ręka pod biurkiem zacisnęła się w pięść.

- To mnóstwo pieniędzy. Przed chwilą płakałeś, że wylecisz na bruk? Bousakis poprawił się w fotelu.
- Nie chcę pieniędzy na własność. Chcę kontroli nad nimi. Będę ciągnął to, co uda się uratować, a ty będziesz mógł skorzystać z tego, kiedy wyjdiesz z więzienia.
- NKK nie zgodzi się na taką transakcję w momencie, kiedy toczy się śledztwo.
- Zgodzą się, jeśli zapewnimy, że drobni posiadacze akcji odzyskają swoje pieniądze. Możemy to zagwarantować.
- Możemy? Kto? Kogo masz na myśli?
- Nie mogę ci teraz powiedzieć. Nazwijmy to twoją opozycją.
- O! Takich mi nie brakuje. Praktycznie całe miasto. Dlaczego czekałeś z tym tak długo?
- Staralem się być lojalny. To leży w naturze Greków.
- Naprawdę? Irlandczycy twierdzą, że to ich domena. Jak widać mamy coś wspólnego. - Odwrócił się w kierunku wielkiego okna, spoglądając na biurowce strzelające wysoko w niebo.
- Patrzył gdzieś w przestrzeń przez dłuższy czas myśląc zapewne o propozycji, którą otrzymał przed chwilą.
- Pomyślę o tym George - powiedział nie odwracając się od okna. Oferta... - przerwał mu trzask fotela. Bousakis podniósł się i bez słowa opuścił pokój.
- O'Brien stał nadal przy oknie, kiedy nagle po przeciwnej stronie ulicy zauważył człowieka, który najwyraźniej przyglądał mu się z zainteresowaniem. Przerazony, odskoczył od okna wciskając natychmiast guzik automatu zaciągającego zasłony.
- Czy wszyscy w tym mieście chcą mojej śmierci? - pomyślał ze zgrozą.
- Dzwonek telefonu poderwał go na równe nogi. Odetchnął głęboko, zanim podniósł słuchawkę. Usłyszał głos Malone'a.
- Co u ciebie? Jak minął dzień?
- Strasznie. A ty? Czynisz postępy?
- Niewielkie. Wracasz do hotelu?
- Nie, mam tu trochę pracy. Potem jadę prosto na spotkanie.
- Brian?

- Tak?
- Uważaj na siebie. Nie wystawiaj się na cel.

Odłożył słuchawkę z dziwną świadomością, że pierwszy raz od dłuższego czasu, ktoś poza Anitą nie życzył mu źle. Może była to nawet szansa na przyjaźń. Szkoda tylko, że ta szansa, podobnie jak miłość, pojawiła się tak późno.

## 2.

Danforth żałował, że nie założył płaszcza. Chłód dawał mu się we znaki. Siedział zdenerwowany na szerokiej werandzie domu Aldwycha próbując wyjaśnić mu zaistniałą sytuację.

- Dzwoniłem do ciebie natychmiast, kiedy tylko dowiedziałem się, że odryli powiązania pomiędzy Gottim i Debbsem.

- Kim jest ten facet, który próbuje dopaść O'Briena?
- Były kadet. Nazywa się Blizzard.
- Wiecie, gdzie on się podziewa?
- Nie wiemy nawet kim on teraz jest.

Aldwych spojrział z dezaprobatą. Nigdy nie miał dobrego zdania o policji, chociażby dlatego, że nie potrafiła dobrać się do niego samego. Owszem, aresztowano go parę razy, ale udowodnienie czegokolwiek i postawienie go przed sądem przekraczało już ich możliwości.

- Mogę w czymś pomóc? Wysłać paru ludzi na poszukiwania?
- Gdzie mieliby zacząć, Jack? Nie - Danforth potrząsnął głową. - Najlepiej człowiek w departamencie ma to w swoich rękach i nic. A on sam jest na liście do odstrzału. Scobie Malone, znasz go.

Aldwych sączył wolno whisky. Podciągnął kołnierz swetra; lubił siedzieć tak wieczorami, ale ostatnio i jego kości zaczęły odczuwać chłód.

- Tak, znam go, miły facet. Ale jeśli coś znajdzie, będziemy musieli mu przeszkodzić.

- Co masz na myśli? - Danforth zakaszłał, jakby zakrztusił się whisky.

- Musimy zacząć działać. Słyszałem, że O'Brien jest gotów pójść na układ. To może być dla nas niebezpieczne.

- Nas? - Danforth był na krawędzi kolejnego ataku kaszlu.

Aldwych uśmiechnął się.

- Nie ty, Harry. Ja i moje towarzystwo.

- Skąd masz te informacje, Jack?

- Harry, nic nie jest tajemnicą w tym kraju. Mamy najbardziej paplające gęby w świecie. Zawsze znajdzie się taki, co lubi się pochwalić, że wie.

- Ciekawe, że nigdy nie słyszałem o przeciekach ze spotkań, które ty odbywasz.

- My jesteśmy inni, Harry. Nie ma wśród nas polityków. Oni tylko dla nas pracują. Tak jak ty.

Danforth odstawił szklankę i podniósł się. - Masz miły dom, Jack. Dlaczego czasem nie pomieszkasz w środku?

Aldwych roześmiał się. - Kupiłem ten plac ze względu na widok. Będę siedział wewnątrz, kiedy oślepnę.

Danforth spojrział ze zdziwieniem. - Tracisz wzrok?

Aldwych roześmiał się głośno. - Nie. Umrę tutaj, ale jeszcze nieprędko. O ile O'Brien nie wygada za dużo i nie będą mnie chcieli wysłać za kratki. Co zrobisz, Harry, jeśli przyślą cię po mnie?

- Popenię samobójstwo - powiedział Danforth traktując to jako dobry żart.

- W porządku. Popelnimy je obaj. Ty możesz być pierwszy.

Kiedy Danforth odjechał, Aldwych wszedł do domu i usiadł przy kominku. Z sypialni na piętrze dochodziły dźwięki telewizora. Jego żona, Shril potrafiła namiętnie oglądać wszystko, co tylko pokazywano. Ogólnie rzecz biorąc, nie była głupią kobietą i zdawała sobie sprawę z tego, w jakim świecie żyją. Wiedziała, w jaki sposób Jack dorobił się wielkich pieniędzy. Tolerowała to pod jednym warunkiem: Jack junior ma być wychowany na uczciwego człowieka. Z dała od wszystkich interesów ojca. Jak dotąd cel swój osiągnęła.

Aldwych znał swoje miejsce. Próbował dowiedzieć się czegoś więcej o życiu, czytając opowieści o wielkich ludziach. Podziwiał postacie Churchilla,

de Gaulle'a. Odbył parę podróży do Europy. Zauważył jedną ciekawą rzecz: wszystkie budowle publiczne miały balkony wychodzące na wielkie place. Europejscy politycy mieli możliwość przemawiania do wielkich tłumów. W Australii jest inaczej. Politycy są innego formatu, są jakby na poziomie ziemi. Oczywiście, istnieje telewizja, ale to nie jest to samo. Nie poczujesz dreszczyku, kiedy premier apeluje o krew pot i łzy. Powiesz sobie, że powinien zwrócić się do Czerwonego Krzyża i sięgniesz do lodówki po kolejne piwo.

Zapalone nagle światło niemal go oślepiło. W drzwiach stał Jack junior.

- O co chodzi, Jack?

- George Bousakis chce się z tobą widzieć.

### 3.

O'Brien z trudem przekonał Ralpha Shada odpowiedzialnego za jego bezpieczeństwo, że ma pozwolenie Malone'a na samotny wypad. Natomiast kierowca zamówionego samochodu sprawiał wrażenie niezbyt szczęśliwego człowieka.

- Może nie masz ochoty jechać ze mną, Lee?

- Ależ skąd, proszę pana. Wszystko w porządku. To mój ostatni kurs dzisiaj. Odbierze pana inny kierowca.

- Znasz go?

- Niezbyt dobrze, proszę pana. To nowy pracownik. Nazywa się Calder. Pochodzi ze Szkocji i nie rozumiem ani słowa z tego co mówi.

- Daj mi kartę twojej firmy. - Podejrzliwość O'Briena obudziła się nagle, co nie uszło uwagi kierowcy.

- Nasza firma sprawdza bardzo dokładnie, kogo przyjmuje do pracy.

O'Brien nie był przekonany. Nie miał zamiaru w środku nocy wsiadać do auta z nieznanym mu człowiekiem za kierownicą.

Strach udzielił mu się na tyle, że kiedy wysiadł z samochodu, przestrzeń pomiędzy chodnikiem a drzwiami domu pokonał niemal biegiem. Poczekał

chwilę dla złapania oddechu i nacisnął guzik dzwonka.

Drzwi otworzyła Joanna.

- Nigdy dotąd nie mieliśmy okazji się spotkać, ale Anita opowiadała mi dużo o panu. Bardzo dużo - uśmiechnęła się tajemniczo. - Proszę wejść.

Anita czekała w salonie. Przywitali się serdecznie. Joanna przyglądała się im z sympatią.

- Dom jest do waszej dyspozycji do północy. Idę do opery, a potem na kolarcję.

- A to zbieżność. Byłem dziś również zaproszony. Sebastian Waldorf - zna go pani? - jest chwilowo moim gościem.

- Sebastian Obcisłe Gacie? Znałam go nawet bliżej, zanim wyszłam drugi raz za męża. Należałam do Towarzystwa Przyjaciół Opery. - Co on robi u pana? Jesteście przyjaciółmi? Anita mówiła mi, że jest pan fachowcem od muzyki pop, nie opery.

O'Brien nie powiedział Anicie o Blizzardzie. Nie chciał tego robić i teraz.

- Zналиśmy się przed laty. Zaprosiłem go na parę dni, by powspominać stare czasy. - Spróbował uciec z niepewnego gruntu - występuje dziś w *Czarodziejskim flecie*.

- Tak, wiem. No cóż, na mnie czas. Miłego wieczoru. - Pocałowała Anitę... - mogę pana też ucałować?

- Dobranoc i dziękuję. - Uśmiechnął się i nadstawił policzek.

Zostali sami.

- Nic mi nie powiedziałaś o tym Waldorfie. Dlaczego?

- Nie chciałem cię denerwować. - Zrozumiał, że dalsze ukrywanie prawdy na nic się nie zda. - Posłuchaj....

Opowiedział jej wszystko o Blizzardzie.

- Boże, Brian! Co jeszcze może cię spotkać?

- Widzisz, koło fortuny odwróciło się do mnie ciemną stroną. Akurat teraz, kiedy spotkałem ciebie.

- Chodźmy na górę - pociągnęła go za sobą. W małej sypialni stanęła przed nim wyczekująco. - Odpręż się, rozbierz mnie.

- Nie jestem w tym zbyt dobry. Moje palce...

- Nie mów mi o swoich doświadczeniach - pocałowała go delikatnie.

Rozpiął powoli zatrzaski cienkiej bluzki, czując jak jej ciało pręży się w oczekiwaniu na chwile radości. Pocałował napiętą pierś, z podziwem patrząc na jej wciąż smukłe i delikatne ciało. Krok po kroku ostrożne i delikatne ruchy zamieniały się w pełne dynamiki zapasy. Ona szalona jak dziewczyna z *Różanego Ogrodu*, on z zadowoleniem przyjmował jej fantazyjne pomysły. W tej walce nie było wygranych i pokonanych.

Leżeli teraz obok siebie pieszcząc odniesione na polu bitwy rany.

- Co z nami będzie? - zapytała cicho.

- Prędzej czy później będziemy musieli się rozstać. Nic na to nie poradzimy - odpowiedział powoli.

- Nie! - Wbiła mu paznokcie w ramię. - Nie wolno ci tak mówić. Myślę o czym innym, jak masz zamiar się bronić?

Patrzył w sufit z niechęcią wracając myślami na ziemię.

- Nie pozostaje mi nic innego jak zaufać policji.

- Dlatego inspektor Malone był z tobą tamtego wieczoru?

Skinął głową.

- Czy on ma rodzinę?

- Trójkę dzieci. Są gdzieś w bezpiecznym miejscu.

- A czemu ty nie zrobisz tego samego?

Zadała to pytanie, chociaż sama znała odpowiedź. Zbyt wiele ciemnych chmur nzbierało się nad głową Briana.

- To nie jest takie proste - usłyszała na potwierdzenie swych myśli.

- Pamiętaj, Brian, że wszystko czego teraz pragnę to widzieć cię żywego.

## 4.

Malone nie był wielbicielem opery i już pierwszy akt upewnił go w tym przekonaniu. Pierwsza partia śpiewana przez Waldorfa zainteresowała go na moment, ale wkrótce jego umysł zaczął błądzić wokół. Najwięcej uwagi poświęcił śpiewającej sopranem Królowej Nocy.



W czasie pierwszej przerwy wyszedł do baru, ale widząc w nim cały tłum ludzi zrezygnował i wolno spacerując rozglądał się za jakąś znajomą twarzą.

- Inspektor Malone? - operator filmowy ekipy kanału 15, którego ostatnio kilkakrotnie spotykał przy pracy, podszedł z boku uśmiechając się przyjaźnie.  
- Służbowo czy prywatnie?

- Przyniósłby pan kamerę, gdyby pan wiedział? - mimo woli zabrzmiało to niezbyt uprzejmie.

- Nie dzisiaj. Jestem tu wyłącznie po to, by posłuchać muzyki. Lubię Mozarta, a pan?

- Czasami. Przepraszam, nie pamiętam pana nazwiska...

- Colin Malloy. A to moja żona Julie - przedstawił młodą, ładną dziewczynę. - Pan inspektor nie lubi pokazywać się przed kamerą.

- Nie dziwię się panu. - Odwróciła się do męża - boli mnie głowa, chętnie pojechałabym do domu.

Zrobię to samo - pomyślał Malone, słysząc dzwonek wzywający na następny akt.

Malloy wyglądał na rozczarowanego. Szarpał gęstą, ciemną brodę. - Zamówię taksówkę. Dobranoc, inspektorze.

- Jeżeli mogę o coś zapytać...

- Tak?

- Jaka część materiału, który pan nakręca jest faktycznie wykorzystywana?

- To zależy, ile czasu dają nam na antenie. Dwie minuty możemy dostać na poważną katastrofę.

- A co dzieje się z resztą materiału?

- Idzie do kosza. Czasem przechowuje się jakieś fragmenty. Ale większość trafia na śmietnik.

- To tylko u nas nigdy nie ma pieniędzy do wyrzucenia. Dziękuję i dobranoc. Życzę pani powrotu do formy. To taka szkoda stracić Mozarta - skłamał gładko.

Kurtyna opadła wreszcie i Malone ruszył w kierunku zaplecza. Waldorf przekazał portierowi wiadomość, że spodziewa się gościa, nie mówiąc jednak, że będzie to policjant. Wszyscy patrząc na niego, zastanawiali się zapewne co

wspólnego może mieć ich Pierwszy Głos z policją. Takie przynajmniej wrażenie odniósł.

W garderobie Waldorfa zastał znaną mu już pannę Virgil.

- Spodziewałam się, że pójdziemy na kolację, ale pan podobno nie pozwala - zaszczebiotała rozkosznie.

- Nie mogę zabronić. Każdy odpowiada za siebie. - Czuł się już zmęczony ciągłym tłumaczeniem powodów, dla których zabiegał o bezpieczeństwo kogoś, kto wolałby iść swoją drogą. - Ale jeśli Blizzard dołączy do was ...

- Dobrze, już dobrze - Waldorf pocałował nadętą divę. - To wszystko skończy się kiedyś.

W drzwiach stanęła Królowa Nocy, patrząc po kolei na obecnych w garderobie. Zatrzymała wzrok na Malone'em.

- A pan czym jest wielbicielem - zapytała zaczepnie i podała mu rękę.

- Samego siebie - odparł w tym samym stylu.

- Nie jest pan zbyt romantyczny, co rycerzu?

- Moja żona i sześcioro dzieci mają inne zdanie - odparł.

- Zapraszam w takim razie pana z żoną i sześciorgiem dzieci na party. Ciebie też Sab. Och! I ciebie Rosalie - dodała nie patrząc na pannę Virgil.

- Z przykrością muszę odmówić, kochanie. Oto inspektor Malone, który właśnie mnie zaaresztował.

- Czy mam się obrazić? To coś nowego. Podoba mi się pan, inspektorze. Proszę przyjść, kiedy nie będzie pan na służbie. Moja garderoba znajduje się na parterze. Dobranoc.

Panna Virgil znudzona tą sceną, również ruszyła w kierunku drzwi. Waldorf poderwał się i pocałował ją w policzek.

- Obiecuję, kochanie, że jak już będzie po wszystkim, wyjedziemy gdzieś na cały tydzień.

Wyszła szybko. Łzy zakręciły się w kąciakach jej oczu.

- Chciałbym być teraz w Niemczech. Brak mi moich dzieci.

Przebrał się i wyszli z budynku opery. Przywitał ich zimny wiatr od morza. Wielki księżyc ozdabiał niebo niczym złoty guzik. Szli w kierunku parkingu, na którym Malone zostawił swego commodore. Nie chciał już dłużej korzystać

z taksówek, a tym bardziej poruszać się piechotą. Commodore nie był czołgiem, ale zawsze stanowił jakieś zabezpieczenie. Podeszedł do drzwi od strony kierowcy i włożył kluczyk w zamek. Waldorf stał po drugiej stronie. - Jutro wieczorem...

Kula trafiła go w tył głowy, powodując natychmiastową śmierć. Na odgłos strzału Malone kierowany, szóstym zmysłem, padł na ziemię. Dwa kolejne pociski uderzyły w dach auta. Malone zdążył jeszcze zobaczyć w świetle księżyca jakąś postać na szerokich schodach ogrodu botanicznego. Nie widział karabinu, ale przyjeta postawa sugerowała, że to właśnie ten człowiek usiłuje go zabić. Wtulił głowę w ramiona, czekając na kolejne strzały. Po chwili zrozumiał, że już po wszystkim.

Wychylił się ostrożnie. Postać zniknęła. Wyszarpnął pistolet i pochylony pobiegł w kierunku schodów. W każdej chwili mógł spodziewać się niespodzianki. Dotarł do wierzchołka. Blizzard przepadł bez śladu w ciemnych zaroślach ogrodu. Ściganie go w tych warunkach graniczyło z samobójstwem.

Zrezygnowany rozejrzał się wokół. Dopiero w tym momencie dotarło do niego w pełni, że po raz kolejny otarł się o śmierć. Ciało Waldorfa leżące na płycie parkingu było dowodem, że nie jest to tylko ponury żart.

# Rozdział dziewiąty

## 1.

Komisarz Fred Falkender był typem człowieka jowialnego; powinien zajmować się raczej sprawami stosunków międzyludzkich. Ściganie przestępców nie pasowało do jego postaci. Okrągły, niski, o minimalnym wzroście pozwalającym na służbę w policji, łysawy, z twarzą pełną miłosierdzia, wyglądał na polityka starej daty. Uśmiechał się, żartował i poklepywał wszystkich po ramieniu, nie wyłączając zwalnianych przestępców. Był pełen serdeczności, co było raczej rzadkością w Departamencie Policji.

- Musimy usunąć cię gdzieś w bezpieczne miejsce, Scobie. Nie ma co nad tym dyskutować. Pana O'Briena zresztą też. Nie możemy o nim zapominać - uśmiechnął się, pokazując białe zęby. - Ale ty jesteś najważniejszy. Utrata kolejnego człowieka nie wpłynęłaby dobrze na obraz departamentu

- uśmiechnął się znowu, patrząc na ich ponure twarze. - Staram się dodać wam odwagi.

- Rozumiem, ale nie mam ochoty okopać się gdzieś w bezpiecznym miejscu - przekonywał go Malone.

- Scobie, mam takie polecenie. Szef naciska. Wygląda na to, że jesteś jego ulubieńcem - jego niebieskie, niewinne oczy zabłyszczały na moment; przełożeni nigdy nie lubią, kiedy poświęca się zbyt dużo uwagi szeregowym pracownikom. - Kazał dbać o ciebie szczególnie.

Malone nie był zadowolony z faktu, że komisarz Leeds wziął to w swoje ręce. Oddał mu przysługę w zeszłym roku, ratując go od nieprzyjemnej sprawy, która mogła zakończyć się w sądzie. Nie oczekiwał jednak wyrazów wdzięczności, zwłaszcza w takiej postaci.

- Rozumiem, że to twój obowiązek, ale mam pewną propozycję.  
- Cokolwiek to będzie, musimy usunąć cię z widoku publicznego. Prawda Harry?

- Koniecznie. - Danforth siedział spokojnie zadowolony, że to Falkender wziął na siebie rozstrzygnięcie tej sprawy. Zostali tu zaproszeni, aby przedyskutować problem, ale wiedzieli dobrze, że komisarz pytając o opinie nie ma zwyczaju ich słuchać. - Ci cholerni dziennikarze robią tyle szumu. Wymyślają niestworzone historie.

Bomba wybuchła z chwilą śmierci Waldorfa. Nagłówki wszystkich gazet, wiadomości telewizyjne i radiowe prześcigały się w pomysłach starając się wytworzyć istic wagnerowską scenerię. Zanim przybył ambulans, aby zabrać Waldorfa w jego ostatnią drogę z Opery, na placu zebrał się tłum, jakby żegnano co najmniej Sutherlanda lub Pavarottiego.

Clements przyjechał niemal natychmiast. Wziął Malone'a pod rękę i zaprowadził go do samochodu policyjnego. Migające niebieskie światła wzmacniały dramaturgię wydarzenia.

- Zawieźć cię do hotelu?

- Nie, nic mi nie jest. Goniłem drania, Russ, ale uciekł. Tam - pokazał na schody prowadzące do parku.

- Potrafisz go opisać?

Pokręcił głową.

- Nie, widziałem ledwie zarys postaci.

- Inspektor Malone? - Młody reporter kanału 15 w towarzystwie równie młodego operatora i dziewczyny spieszył w ich kierunku. - Był pan tutaj, kiedy zastrzelono Sebastiana?

Malone wciąż w szoku, popatrzył na niego zmieszany. Nigdy pewnie nie widział Waldorfa z bliska - pomyślał - ale mówi o nim Sebastian. Te dzieciaki i Boga wołałyby po imieniu, gdyby je miał.

- Słucham.

- Nie, inspektor nie był tutaj - wtrącił Clements. - A teraz odwalcie się. Pan Waldorf był przyjacielem inspektora i on nie ma zamiaru rozmawiać o tym teraz.

- Powiedziano mi, że inspektor pierwszy zawiadomił policję.

- Chcesz, abym cię popędził? - Clements był zdenerwowany zdając sobie sprawę, że Malone znów był o krok od śmierci.

- Za co?

- Za używanie niewłaściwych słów w miejscu publicznym.

- Co ty pieprzysz! - Wyrwała się dziewczyna.

- O, właśnie. - Clements uśmiechnął się. Ta metoda nigdy go nie zawiodła.

- Zmywajcie się!

Zawrócili mrucząc pod nosem.

- Oni zawsze są pierwsi - powiedział Clements. - Pompują atmosferę, jakby zaczynała się co najmniej trzecia wojna światowa. Gotowi są dokopać się prawdy o Blizzardzie i jego liście. Co my wtedy zrobimy?

Malone wzruszył ramionami. To interesowało go teraz najmniej. Osiągnął granicę wytrzymałości. Wiedział, że to minie, ale chwilowo zamknięty był w swoim małym świecie.

- W dachu mojego auta powinny tkwić dwa pociski.

- Jest tylko jeden. Już go wyjęli. Drugi musiał odbić się rykoszetem w stronę przystani. Powiedziałem im, że chcemy mieć wszystkie możliwie najprędzej. Tę z głowy Waldorfa też - zamilkł na moment widząc minę Malone'a.

- Przepraszam. Jak się czujesz?

- W porządku. Napiszę ci oświadczenie i zrób z tego raport.

- Nie tutaj. - Clements popatrzył na następną ekipę dziennikarzy zmierzającą w ich kierunku. - Jedźmy do hotelu.

- Kto powiadomi rodzinę Waldorfa?

- Już to załatwiłem. Menedżer zespołu jest przyjacielem rodziny. Obiecał, że przekaże wiadomość.

Clements jak zwykle uprzedzał jego myśli.

- Dziękuję, tak będzie najlepiej. Trzeba jeszcze zawiadomić tę pannę Virgil. Zrobisz to?

- Dobrze, załatwione.

- Czym tu przyjechałeś?

- Taksówką. Zadzwonili do mnie do domu. Mogę poprowadzić twój wóz. Nic ci nie jest? Może potrzebny ci lekarz?

- Czy wyglądam na chorego?

- Widywałem cię w lepszej formie.

I czułem się lepiej - myślał teraz, siedząc w gabinecie Falkendera na dziewiętnastym piętrze. Jak wszystkie na tym poziomie był wielki, pomniejszony jednak o obszerną bibliotekę prawniczą. Półki pełne książek stały pod każdą ścianą. Nikt nigdy nie widział Falkendera z książką w ręce, ale uchodził za eksperta wśród siedmiu zastępców szefa departamentu. Na przeciwległej ścianie wisiał oprawiony w ramki dyplom magistra prawa.

- To normalne - mówił komisarz. - Dziennikarze potrafią dodać dwa do dwóch, byli u mnie dziś rano i pytali o listę ofiar. Chcieli wiedzieć jak to się stało, że byłeś z O'Brienem, kiedy strzelano do niego i teraz znowu z Waldorfem. Nic im nie powiedziałem. Podobno chcieli rozmawiać z tobą wczoraj, ale Clements ich wyrzucił. Na pewno pytali o to samo na konferencji prasowej, co Harry?

Danforth przytaknął.

- Odpowiedziałem, że rozważamy możliwość istnienia takiej listy, ale nic ponadto.

- Co im powiedziałeś o mnie? - Malone mógł wyobrazić sobie Danfortha tworzącego swoim prymitywnym językiem obraz departamentu.

- Poinformowałem ich, że prowadzisz śledztwo pod moim nadzorem. Wtedy te dupki zaczęły zadawać głupie pytania, więc kazałem im się wypchać.

- Rzeczywiście tak powiedziałeś?

- No nie zupełnie. Po prostu wyszedłem.

Falkender popatrzył na niego i prawie się roześmiał.

- No dobrze, Scobie, musimy się zająć tobą. Rozmawiałeś z żoną?

- Tak. - Lisa zadzwoniła z samego rana. Był nieprzytomny po przeżyciach ostatniej nocy. Zasnął, kiedy już świtało. Wciąż brzmiało mu w uszach jej błaganie. - Ona chce, abym zrezygnował.

- Zrezygnował? Z prowadzenia tej sprawy?

- Nie! Chce, abym złożył rezygnację. Ze służby w policji.

Popatrzyli na niego z niedowierzaniem.

- I co masz zamiar zrobić - zapytał po chwili Falkender.

- Sam nie wiem.

- Nie spiesz się, Scobie. Potrzebujemy cię. Prawda Harry?  
- Jasne. Słowo daję. - Co powiedziałyby na to Aldwych. Czy na miejscu Malone'a znalazłby się ktoś bardziej praktyczny, nie tak skrajnie uczciwy? - Ale decyzja należy do ciebie, Scobie.

- Raczej do mojej żony.

- No tak, oczywiście - powiedział Falkender. - Twoja rodzina też ma za swoje. Ale czy myślisz, że Blizzard da ci spokój tylko dlatego, że złożysz rezygnację? On chce zabić Malone'a, nie inspektora Malone'a.

- Spróbuję to wytłumaczyć mojej żonie, panie komisarzu.

- Chciałbyś, abym ja z nią porozmawiał? Potrafimy zapewnić ci lepszą ochronę, kiedy jesteś w policji. Wiesz o tym przecież.

Lisa nie należała do kobiet, które słuchały uważnie kogoś obcego, bez względu na jego rangę, niż własnego męża. Jako żona o tradycyjnych poglądach zawsze twierdziła, że jeżeli mąż i żona nie potrafią sami rozwiązać problemu, to jest to zły znak dla ich małżeństwa. Zbudowali swoje wspólne życie na miłości i zaufaniu i była to budowla solidna jak skała.

- Nie, sam z nią porozmawiam. Ale jeśli ja i O'Brien musimy opuścić hotel...

- Tak, musicie i to tak szybko, jak to tylko możliwe. Za dużo tam ludzi. Nie możemy dopuścić do strzelaniny w takim miejscu.

- Rozumiem, ale pozwólcie nam przenieść się gdzieś, gdzie Blizzard będzie mógł nas znaleźć.

Falkender otworzył ze zdziwienia usta.

- Co ty na to, Harry?

Danforth nigdy nie myślał za szybko.

- Ja? Myślałem, że tego właśnie chcemy uniknąć?

Malone pozwolił komisarzowi wyjaśnić swój punkt widzenia.

- On chce powiedzieć, że jeśli ukryjemy ich zbyt dobrze, to nie dostaniemy Blizzarda. Podejmując ryzyko, skłonimy go do wyjścia na otwarty teren.

- Dobra myśl - zaskoczył w końcu Danforth.

- Czy znasz takie miejsce? Pamiętaj, że nie mogę wydzielić zbyt wielu ludzi do twojej ochrony. Gdybyśmy wiedzieli, jak on wygląda, moglibyśmy



postawić na nogi cały kraj, ale jak dotąd to tylko widmo.

- O'Brien ma stadninę koni w okolicy Camden. Ostrzegalem go, aby się tam nie pokazywał, ale teraz jak połączymy siły, on może dać czterech ludzi i jeśli pan też da mi czwórkę, to możemy zorganizować niezłą ochronę.

- Nie lubimy pracować z prywatnymi ochroniarzami.

Falkender skrzywił się.

- Panie komisarzu, z całym szacunkiem dla policji, nadstawiam karku razem z O'Brienem i nie interesuje mnie, skąd dostanę pomoc.

Falkender roześmiał się.

- W porządku, muszę to tylko przedstawić szefowi. Czy O'Brien zgodzi się grać rolę kaczkę?

- On jest w fatalnej sytuacji. Ma na głowie NKK i nie bardzo dba o to co się z nim stanie, ale nie sądzę, aby chciał czekać na Blizzarda całe miesiące czy lata.

- Z tego co o nim slyszalem nie jest człowiekiem, z którym można by wytrzymać przez dłuższy czas. Nie mam racji, Harry?

- Nie potrafiłbym wytrzymać ani minuty z takim cholernym kryminalistą - potwierdził Danforth z namaszczeniem.

- Mógłbym wytrzymać z gorszym - odparł Malone nie patrząc na niego. - Nie jest taki zły, gdy go poznać bliżej.

- Czy on ma jakąś rodzinę? - zapytał Falkender.

- Dwie były żony w Anglii, z którymi nie utrzymuje kontaktów. Jego ojciec mieszka gdzieś w zachodniej części, ale z tego co wiem, nie rozmawiają od lat.

Falkender wstał, obszedł biurko i poklepał Malone'a po plecach. - A więc spróbujemy przekonać szefa. Dostaniemy tego drania Blizzarda, nie Harry?

- Jasne - zgodził się Danforth i wyszedł pierwszy, unikając należnego mu klepięcia. Dostało się więc po raz drugi Scobiemu.

Wyszli z budynku kierując się w stronę centrum, leżącego parę bloków dalej. Danforth milczał, Malone nie miał nic przeciwko temu; rozmowa z tym człowiekiem nie należała ani do lekkich, ani pouczających. Miasto drzemało spokojnie, jak zwykle w sobotnie przedpołudnie. Sierpień zbliżał się do końca i od północy nadszły wiosenne powietrze.

Drzewa w Hyde Parku zazieleniły się radośnie, otwierając swe liście ku ciepłym powiewom wiatru. Staruszkowie w swetrach siedzieli na ławkach rozgrywając partyjki szachów. Kolejna zima minęła, nadszedł kolejny sezon życia. Miał nadzieję, że i dla niego również.

- Nie mogę ci dać najlepszych ludzi - przerwał te rozważania Danforth. Możesz mieć na wezwanie ludzi z oddziału specjalnego, ale nie mogę ich oddać do twojej wyłącznej dyspozycji. Dam ci trzech młodzików i jednego doświadczonygo policjanta.

- Wystarczy, aby nie zasypiali i potrafili strzelać prosto. No i nie panikowali z byle powodu.

- Myślisz, że Blizzard może starać się ich usunąć?

- Nie wiem, Harry, ale nie sądzę, że przyjdzie z podniesionymi rękami.

- Nie zastrzelił cię zeszłej nocy, choć jak sam mówiłeś mógł to zrobić bez trudu.

- To fakt i trochę burzy to moje rozumowanie. Próbuję myśleć tak jak on. Całkiem możliwe, że to świadoma gra. Stara się trzymać nas w stałym napięciu.

Doszli do centrum. Przed drzwiami do swego gabinetu Danforth zapytał: - Czy O'Brien staje przed NKK w poniedziałek?

- Nie, dopiero we wtorek. Ostatni raz. Poprosił o odroczenie do wtorku. Domyślałem się, że chce uporządkować wszystko, zanim ujawni parę nazwisk, na które komisja czeka z niecierpliwością.

- Wspomniał o kimś konkretnym?

- Nie i nie pytam go o to. Nie jestem ciekaw. Mam dość swoich problemów.

- Czy powinniśmy zapewnić mu eskortę?

- Nie sądzę. Ma swoich ludzi.

- Jasne - powiedział Danforth na pożegnanie.

Malone ruszył do siebie.

W biurze czekał na niego Clements.

- Wyglądasz na zmęczonego. Nie spałeś tej nocy?

- Siedzę tu od siódmej i oglądam te cholerne taśmy. Nic na nich nie ma, nikt się nie powtarza, poza tobą i operatorami. Najczęściej z kanału 10 i 15.

- Nie zauważyłem, kto był tam wczoraj. Na pewno nie Malloy. Spotkałem go w operze. Jego żona poczuła się źle i wyszli wcześniej. Jakiś młody chłopak pracował wczoraj dla kanału 15.

- Dobrze, sprawdzę ich. Mam też robotę na weekend - wskazał na stos książek na biurku. Wziąłem to z biblioteki. Raymond Chandler. Nigdy go nie czytałem. Tak Clarrie? Dokąd to się wybierasz? - zwrócił się do Binyana, który wśliznął się przez drzwi i położył na biurku kopertę. - Co tam masz dla nas?

- Idę na wspaniałe wesele. Panna młoda wychodzi za Włocha. Piękna para. Państwo Bindiwarra - Caccioli. Mafia i ludzie ze szczepu. A wy macie tu swoje kulki.

Malone nigdy nie wiedział, czy Binyan żartuje ze swego plemiennego pochodzenia, czy też traktuje to jako jedyną metodę, by przeżyć w tym świecie, który sprowadził rodowitych mieszkańców tej ziemi do roli mało znaczącej mniejszości.

- Pasują do poprzednich?

- Dokładnie. Znaleźli też łuski. To tikka. Miałeś szczęście.

Malone skinął głową.

- Pilnuj się - rzucił na odchodne i zniknął za drzwiami.

- Co dalej? - zapytał Clements.

- Przeprowadzam się z O'Brienem do jego stadniny. To rozkaz szefostwa.

- Mógłbyś go zapytać o jakieś dobre typy na dzisiejsze popołudnie.

- Myślałem, że wyleczyłeś się już z koni i zajmujesz się wyłącznie akcjami.

- Tak tylko przyglądam się. Co można lepszego robić w stadninie niż oglądać wyścigi?

- Będziemy bawić się z Blizzardem w kozę i tygrysa. To taka stara gra pochodząca z Sumatry - dodał, widząc zdumienie na twarzy Clementsa.

## 2.

O'Brien usiadł i patrzył na człowieka, który był gotów zatańczyć na jego grobie.

- A więc masz źródło finansowania, George?

- Tak, zdobyłem wsparcie. Przedstaw swoją propozycję, a my rozważymy możliwość wykupienia twoich udziałów. Trzeba tylko dopracować szczegóły.

- Jak wiele, myślisz, uda ci się obronić przed NKK? Oni przyślą swoich specjalistów. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, George, jak bardzo oni chcą mnie oskubać. Chcą postawić mnie przed sądem i Bóg wie, jak to się skończy. Wygląda na to, że mam być przykładem i ostrzeżeniem dla wszystkich, którzy odważyliby się pójść tą samą drogą.

- Wiem o tym, Brian. - Nigdy dotąd, nawet na początku, osiem lat temu nie byli dla siebie tak chłodno uprzejmi.

Atmosfera przypominała spokój i powagę właściwą uroczystościom pogrzebowym. - Już ci mówiłem, że oni zgodzą się na pozostawienie części wystarczającej do spłacenia drobnych posiadaczy akcji pod warunkiem, że znajdzie się ktoś kto potrafi tym zarządzać.

- I to masz być ty i twoi tajemniczy wspólnicy?

Bousakis przytaknął. Usiadł wygodniej w fotelu z wyrazem triumfu na twarzy.

- Czy to ktoś kogo znam? Jeden z tych, którzy próbują mnie zniszczyć?

Okrągła jak księżyc twarz Bousakisa pozostała bez wyrazu.

Spotkał się wczoraj z Aldwychem i po godzinnej rozmowie wiedział już, że na O'Briena wydano wyrok. Wykupienie Cossack Holdings było czysto handlowym kontraktem; zabicie O'Briena sprawą osobistą. Wiadomość ta przeraziła go nie na żarty; sam wchodził teraz w spółkę, w której życie niewiele było warte. Był twardym partnerem w interesach, ale nie potrafił kłaść na szalę życia i śmierci. Wycofanie się nie wchodziło już jednak w grę. Mechanizm został uruchomiony. To on właśnie zaproponował Aldwychowi przejęcie majątku O'Briena.

- Nie sądzę, abyś musiał to wiedzieć, Brian. Weź po prostu pieniądze i uciekaj, jeśli możesz.

O'Brien z trudem trzymał nerwy na wodzy.

- A co ze stadniną?

- To część Cossack. Wszystko co zostanie tobie to kopalnia złota.

- Tylko dlatego, że sprytnie zarejestrowałem ją za granicą. Nikt jej nie dostanie, nawet NKK.

- Tak, to wszystko co masz. Niewiele tego, porównując z tym co posiadałeś.

- Po co chcecie to kupić?

- Cossack ma potencjalną wartość. Spróbuję doprowadzić firmę do postaci, jaką powinna mieć. I miałyby, gdybyś nie próbował wzbogacić się w ten twój pieprzony szybki sposób.

- I tak jestem bogaty, George. Mam kopalnię złota.

- To mała pociecha być bogatym, jeśli się siedzi w więzieniu. - Lub jeśli się nie żyje - pomyślał w duchu Bousakis.

O'Brien nie miał dziś sił na twardą, bezkompromisową walkę. Zbyt świeże było wspomnienie wczorajszej śmierci Waldorfa. Leżał już w łóżku, kiedy zjawił się Malone przynosząc tę straszną wiadomość. - Omal sam nie zginąłem - mówił przejęty. - Zaledwie parę cali i tylko ty pozostałbyś.

O'Brien patrzył na niego z troską. - Czujesz się dobrze?

- Tak. Mam tylko trochę miękkie nogi. Wiesz, mam ochotę wyjść na zewnątrz i zacząć krzyczeć na tego drania, by wyszedł mi naprzeciw. Już mam dość tej ucieczki przed duchem.

- Rozumiem cię doskonale. Sam mam podobne odczucie.

- Porozmawiamy o tym rano. Wybierasz się gdzieś jutro?

- Pojechałbym chętnie na wyścigi. Moglibyśmy odetchnąć świeżym powietrzem.

- Obawiam się, że to nie wchodzi w rachubę. Musimy unikać tłumów. Nie możemy pozwolić na przypadkowe, niewinne ofiary, gdyby Blizzard znowu spróbował.

Teraz Malone stał w drzwiach patrząc z niechęcią na Bousakisa. Grubas podniósł się ciężko, wyciągnął rękę i mruknął:

- Już wychodzę. Właśnie skończyliśmy, prawda Brian?  
- Niezupełnie, ale pomyślę o tym przez weekend. Spróbuję nie umrzeć do poniedziałku. Powiedz to swoim kolegom.

Bousakis zrozumiał aluzję. Jego układ nie jest nic wart póki nie został podpisany. Potoczył się do drzwi.

- Taniec nosorożca - rzucił za nim cicho O'Brien.

- Co? - zapytał Malone.

- Nie, nic. Zaczyna mi się pieprzyć w głowie.

- Co miało znaczyć to posłanie do przyjaciół o pozostaniu przy życiu?

- Chcesz koniecznie wiedzieć? Nie dość masz kłopotów z Blizzardem?

- Nie pytałbym normalnie, ale skoro masz kłopot?

Malone usiadł ciężko.

- Oj, mam. Zostawmy to jednak na razie. Co nowego?

- Przeprowadzamy się do stadniny. Ty dasz swoich czterech ludzi, a z departamentu dostaniemy czterech następnych. Będą dyżurować po dwóch.

- I będziemy czekać na Blizzarda?

- Przez tydzień. Jeśli się nie pokaże, to pomyślimy co robić dalej.

- On poczeka. Potrafił czekać dwadzieścia lat.

- Mam nadzieję, że nie. Ma już na koncie czterech z nas, pięciu jeśli liczyć Mardi jako ciebie.

- Przestań!

- Dobrze, nie sądzę, aby nagle usiadł i czekał.

- Psychika zabójcy?

- On nie jest typowym szalonym zabójcą. Zabija systematycznie, z góry wybrane ofiary. Skoro zaczął, to nie przestanie. Mam tylko nadzieję, że jego celność nie jest idealna. Tak jak ostatniej nocy.

- Ja też. A tak poza tym, to chciałbym go zobaczyć zanim mnie dostanie.

- Zbierajmy się.

Z ciężkim sercem podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do Lisy. Jej nastrój nie zmienił się od rana.

- Przemyślałam to. Byłam w agencji. Możemy przeprowadzić się do Europy. Rodzice wciąż mają mieszkanie w Amsterdamie. Mógłbyś pracować w policji... Cholera, co ja plotę.

- Posłuchaj, kochanie - próbował ją uspokoić. Nie myśl o takich rzeczach. Wrosliśmy w tę ziemię, my i dzieci. W Europie ludzie też mają problemy. Jestem bezpieczny. Przeprowadzamy się do stadniny. Obiecuję ci, że jeżeli za tydzień to wszystko się nie skończy, wezmę urlop i wyjedziemy. Do Nowej Zelandii lub gdziekolwiek, do czasu aż go złapią. W porządku? Jak dzieci się mają?

- Chcesz z nimi rozmawiać? - zapytała już spokojnie.

- Siedzę w pace, tata - zaczęła Maureen bez słowa wstępu.

- Znowu? Nie opowiadaj!

- Położyłam gumę do żucia na siedzeniu w samochodzie. Potem chciałam ją oderwać i rozerwałam pokrowiec. Mama kazała mi zaszyć, ale zgubiłam igłę i mama na niej usiadła.

Z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

- Nie rozumiem o co mają do ciebie pretensje? - Z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

- Ja też nie! Możesz im to powiedzieć?

- Jasne. Daj mi Toma.

- Cześć tato. Ja też siedzę w pace. Trafiłem piłką w butlę wina. Dziadek mówił, że to było jego najlepsze.

Usiadł na fotelu bez słowa. Wszedł O'Brien.

- Coś nie tak?

- Rozmawiam z dziećmi. Wiesz, tam na zewnątrz jest całkiem normalny świat.

### 3.

- Zachowujesz się nienormalnie.

- Przestań. Co masz na myśli mówiąc nienormalnie?

- Wszystko. Gdzie byłeś ostatniej nocy?

- Już ci mówiłem. Miałem spotkanie z Katką.

- Zawsze tak mówisz. Praca na nadgodziny, dodatkowe dyżury nocne poza planem.

Colin przerwał jej gwałtownie. - Tłumaczyłem ci, że staram się o prawo

dokumentowania przestępstw. Nie chcę być zwykłym operatorem przez resztę życia, filmującym jedynie ambulanse, straż ogniową i polityków na schodach parlamentu. Julie popatrzyła krzywo ponad stołem.

- Dzwoniłam do Katzki. Powiedział, że wcale z nim o tym nie rozmawiałeś.

Malloy poczuł narastającą złość. Nie wierzyła mu i sprawdzała go za jego plecami; to nie było do niej podobne. Pociągnął łyk kawy i wziął kromkę pełnoziarnistego pieczywa z miodem. Miała hyzja na punkcie zdrowej żywności i starał się zrobić jej przyjemność stosując się do wszelkich zaleceń. Poza domem folgował sobie i nadrabiał zaległości. Wciąż uważała, że ma nadwagę, ale nigdy nie miała o to pretensji. O nic nigdy nie miała, aż do dzisiaj.

- Spotykasz się z kimś?

- Z kim? Spojrzał na nią zdziwiony.

- Z tą dziewczyną o przepitym głosie, Luanne. Byłaby całkiem do rzeczy, gdyby ją dobrze wyszorować.

- Kochanie, ona nie uznaje prysznicza, uważa, że to wymysł burżujów. Gdybym miał się z kimś zadać, to przynajmniej wybrałbym kogoś czystego.

Nie miała co do tego wątpliwości. Ich pożycie było bardziej niż satysfakcjonujące. Eksperymentowali, ale bez brawury. Nie miała pojęcia, dlaczego miałby szukać czegoś innego, chociaż nie uważała się za eksperta w tych sprawach. - Gdzie więc znikasz? I co robisz?

- *Zabijam ludzi, których znienawidziłem* - chciał powiedzieć, ale kochał ją za bardzo, aby być tak okrutnym.

Próbował pogodzić się z myślą, że to sprawa, która dawno minęła, ale nie potrafił. Rozsądek podpowiadał mu uszanować to co ma; kochającą żonę, pracę, dzięki której zarabiał więcej niż mógłby mieć jako policjant, możliwość podróży. Mieli przyjaciół, jakkolwiek nie był z nimi związany zbyt blisko. Oboje z Julie byli raczej samotnikami. Nienawiść tkwiła w jego wnętrzu, nieuchwytna i nie do pokonania.

Czytał sporo i wiedział, że każdy ma w sobie odrobinę nienawiści, tak jak miłości, strachu i innych emocjonalnych uczuć. Nawet Julie, kobieta anioł, nienawidziła ludzi, którzy bili dzieci, zatruli środowisko lub byli rasistami.



Z tą tylko różnicą, że ta nienawiść nie popychała jej do morderstwa. Nigdy nie potrafiłaby go zrozumieć.

Żuł chleb myśląc intensywnie. Nie przypuszczał, że może go sprawdzać u Katzki. Była żoną, która nigdy nie miała żadnych podejrzeń. Spotkał ją w Londynie pięć lat temu, kiedy pracował dla niezależnej sieci telewizyjnej. Przyjechała z Adelajdy jako sekretarka. Nawet teraz, po pięciu latach nic o nim nie wiedziała. Powiedział jej, że jest sierotą. Zaakceptowała jego wersję bez oporów. Interesowała ją tylko terażniejszość.

Czasami tęsknił za wujem Jeffem, jedyną osobą, którą pokochał w swym życiu zanim spotkał Julie. Stary, prosty człowiek i młody chłopak, obaj snuli marzenia związane z jego pracą w policji. Więcej, marzyli o prawdziwej karierze. Jeff był też jedynym, który potrafił zrozumieć dziwne zaburzenia w jego osobowości. Ostrzegł go kiedyś, że jego porywczosć może źle się skończyć. On sam nie rozumiał wtedy swoich nagłych reakcji. Zaledwie tydzień przed tą rozmową zabił napastującego go psa sąsiada, zaciągnął go w krzaki i spalił, a potem całkiem spokojnie pomagał w poszukiwaniach.

Julie spotkał akurat w momencie, gdy samotność zaczynała mu już dokucać. Wpłynął na to pobyt w Londynie, mieście które przytłoczyło go swoją atmosferą. Atrakcyjna, miła i spokojna, wydawała się być pierwszy raz na randce z mężczyzną. Nie ciągnął jej do łóżka i to, jak mu później powiedziała, wzbudziło jej zaufanie. Widocznie nauki pobierane w kościele, dokąd prowadziła go ciotka Elsie odniosły w tym przypadku nadspodziewany skutek. Pobrali się uznając, że to najlepszy sposób na zabicie samotności. Żyli dość zgodnie, jedynie od czasu do czasu jego temperament wymykał się spod kontroli. Raz uderzył ją w chwili złości. Żałował i wstydził się potem, a ona od tego czasu unikała wszelkich kłótni zanim się rozpoczęły.

Były i inne przykłady świadczące o drzemającym w nim okrucieństwie, o których ona nic nie wiedziała. Kiedyś w czasie robienia reportażu w Bejrucie, podniósł z ziemi karabin leżący przy martwym żołnierzu i zaczął strzelać do cywili przebiegających przez ulicę. Nie zastanawiał się, do kogo strzela. Wystarczyło mu, że byli po drugiej stronie.

Sięgnął po następną kromkę chleba, choć nie skończył jeszcze poprzedniej.

- Nie chciałem ci o tym mówić. Chciałem napisać.
- Napisać? Co?
- Powieść kryminalną. Zawsze marzyłem, by napisać powieść jak Raymond Chandler. Albo Elmore Leonard, choć myślę, że nie mam tak dobrej ręki do dialogu.
- Chcesz być pisarzem?

Uśmiechnął się słabo.

- Mówisz tak jakbym był rabusiem, który napada na banki.
- Napisałeś cokolwiek? - zapytała z niedowierzaniem. - Nigdy nie widziałam, abys robił notatki albo cokolwiek, co zwykli robić pisarze.
- Mam różne fragmenty w pracy - tworzył fikcję na poczekaniu. Nie chciałem robić z niej głupca, próbował jedynie oszczędzić jej najgorszego.
- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Po co te kłamstwa? Wiesz przecież, że lubię kryminały podobnie jak ty.

Całe półki w sypialni zavalone były książkami. Od Conan Doyle'a poprzez Chandlera i Leonarda do Poego. Na grzbietach widniały nazwiska detektywów: Holmes, Maigret, Trent. Oboje lubili literaturę i filmy tego gatunku.

- O czym ma być ta twoja książka?
- O prywatnym detektywie ścigającym mordercę zabijającego z zemsty.
- Jak nazywa się detektyw?

Już chciał powiedzieć: Frank Blizzard, ale powstrzymał się.

- Nie zdecydowałem się jeszcze. Szukam czegoś oryginalnego, a na razie nazywam go po prostu Joe Smith.
- Prywatny detektyw Smith. - Wstała i zaczęła porządkować stół. Odzyskała humor, na jej twarzy znowu pojawił się wyraz entuzjazmu.

Uwierzyła. Naprawdę uwierzyła - pomyślał.

- Mogłabym przeczytać to co napisałeś?
- Kiedy skończę pierwszy szkic.
- Kiedy to będzie?
- Za tydzień, najwyżej dwa. - W tym czasie dwie ostatnie butelki zostaną

utrącone i Bóg jedynie wie, co stanie się z nim.

Poprzednia noc wiele go kosztowała. Niepotrzebnie próbował upiec dwie pieczenie na tym samym ogniu. Dotychczas wszystko, nawet strzał oddany w biały dzień do Gardnera, odbyło się zgodnie z planem i nie pociągało za sobą większego ryzyka.

Odwiózł Julie do domu zaniepokojony jej bólem głowy. Ale niezbadana siła ciągnęła go na powrót do opery. Świadomość, że są tam Malone i Waldorf działała jak magnes. Ułożył Julie w łóżku i zszedł do garażu. Wyjął pojemnik z karabinem i wsiadł do beżowej mazdy 626, której używał na co dzień.

Dojazd do Macquarie Street zajął mu raptem dziesięć minut. Zaparkował samochód w niedozwolonej strefie zostawiając za szybą kartę prasową. Szybko ruszył w stronę opery wspinając się po szerokich schodach prowadzących do ogrodu botanicznego. W głębi wśród drzew powinno być drugie wejście. Przejście to wykorzystywane było rzadko, nawet w ciągu dnia. Poznał je wcześniej przy okazji kilku nagrań, które robił w czasie wizyt zagranicznych gości. Metalowa furtka nie stanowiła większej przeszkody. Czasami prezentował swoje umiejętności w otwieraniu różnych zamków, podziwiany przez ludzi, z którymi pracował. Wrócił, usadowił się przy ogrodzeniu na samym brzegu skarpy i wyjął karabin. Tikka pasowała idealnie do jego rąk; kochał broń od najmłodszych lat. Nie miał celownika na podczerwień, ale luneta 8 x 56 Schmidta - Benderà, której zawsze używał, była wystarczająco dobra o ile cel stał w oświetlonym miejscu. Błąd popełniony w przypadku Mardi Jack wynikał właśnie ze zbyt słabego oświetlenia. Widział zaledwie zarys postaci. Wyrzucał sobie potem nie tyle zabójstwo niewinnej osoby ile swoją niekompetencję.

Młoda para podeszła do schodów najwyraźniej szukając jakiegoś ustronnego miejsca. Zakaszłał głośno dając im znać, że w ciemnych zaroślach ogrodu ktoś jest i to wystarczyło, aby zniechęcić ich do poszukiwania tu atrakcji. Zawrócili i szybko zniknęli.

Przed front opery zaczęli wysypywać się ludzie. Wsiadali do samochodów i odjeżdżali. W końcu pojawił się Malone w towarzystwie Waldorfa. Trzymał

ich na muszce, ale reflektory przejeżdżających aut raz po raz rzucały długie, żółte refleksy nie pozwalając na oddanie strzału. Doszli w końcu do parkingu. W momencie gdy Waldorf stanął do niego tyłem, pociągnął za spust. Potem szybko oddał dwa kolejne strzały, ale wiedział, że chybił. Nie było czasu na rozważania. Myśl, że mógł trafić również Malone'a zaabsorbowała go jednak na tyle, że pierwszy raz zapomniał o łuskach. Chwycił pojemnik na broń i pobiegł w głąb ogrodu, nie oglądając się za siebie. Zdyszany i spocony mimo chłodu nocy, zatrzymał się dopiero przy bramce. Nie słyszał żadnych oznak pościgu. Schował karabin i szybko ruszył do samochodu.

W drodze do domu nie czuł radości, jaka towarzyszyła mu przy poprzednich akcjach. Raczej niedosyt podobny do tego, który gnębił go po zastrzeleniu Mardi Jack zamiast O'Briena.

To właśnie O'Brien odpowiedzialny był za cały tragiczny ciąg wydarzeń. Zamglony obraz zdrajców, którzy spowodowali usunięcie go z akademii stanął mu znowu przed oczami. Słyszał ich śmiech, kiedy strumieniem wody z węża przeciwpożarowego wypchnęli go na ulicę wprost pod nadjeżdżający samochód. Pamiętał, jakby to było wczoraj; przesłuchanie w gabinecie komendanta i decyzję o usunięciu go z grona kadetów. Wszystko odżyło na nowo, kiedy przypadkiem spotkał O'Briena. Pojechał do Randwick sfilmować wywiad z jednym ze znanych dżokejów i nagle na padoku ujrzał znajomą roześmianą twarz. Tego uśmiechu nie zapomniałby nigdy. Przed oczami stanął mu natchmianem obraz sprzed lat. Patrzył na O'Briena nieprzytomnym wzrokiem.

- Co z tobą, kolego? Dobrze się czujesz? - zapytał zaniepokojony O'Brien.  
- Nie, nic mi nie jest. To tylko od słońca. Powinienem założyć kapelusz.  
- Możesz przykryć głowę brodą, masz jej pod dostatkiem - dobry humor nie opuszczał O'Briena.

Obraz pięciu pozostałych postaci nabrał na nowo ostrości po tym wydarzeniu. Pomysł wyłączył się w jego myśli w ciągu tego samego weekendu i od poniedziałku zajął się tropieniem śladów.

Harry'ego Gardnera odnalazł bez trudu. Dzwonił do wszystkich Gardnerów, jacy figurowali w spisie abonentów Sydney. Jedenastym z kolei był ten, którego szukał. Gdyby nie mieszkał w Sydney, żyłby prawdopodobnie do dziś.

Nie zabijał według z góry ułożonego planu. Sukces O'Briena wzmocnił w nim uczucie nienawiści. Jeden z głównych sprawców jego tragedii osiągnął pozycję, o której on właśnie marzył. W innej co prawda dziedzinie, ale był na szczycie i to wystarczało, żeby stara blizna zaczęła jątrzyć się na nowo.

Podobnie Malone; wspinał się systematycznie po szczeblach drabiny i gotów był sięgnąć w przyszłości nawet po stanowisko komisarza. To właśnie on marzył o takiej karierze, a teraz robili ją ci, którzy pozbawili go tej szansy.

Dojechał do domu. Julie spała, tak jak ją zostawił; teraz rano nie był już tego tak pewien. Rozebrał się i położył obok. Pocałował ją w szyję; przeciągnęła się przez sen i odwróciła się w drugą stronę. Leżał i przeglądał w myślach wydarzenia sprzed godziny. Sam nie wiedział dlaczego, ale nie był z siebie zadowolony. Czy dlatego, że nie wykorzystał szansy do końca? Usnął zanim znalazł odpowiedź. Obudził się z mocnym przeświadczeniem, że musi dokończyć dzieła zemsty.

Stał teraz obok Julie i pomagał jej w zmywaniu naczyń.

- Kiedy skończysz, to mogę napisać ją na maszynie.

Pracowała jako sekretarka w biurze projektanta mebli.

- Mogę wrzucić to do komputera i obrobić.

- Zobaczymy. - *Skąd mam wziąć ten cholerny rękopis!*

Za oknem sąsiad, znany prawnik, grał w tenisa z dziećmi.

Miał ich sześcioro. Mieszkali w dwupiętrowym domu obok. Malloy wiedział, że Julie tęskniła czasami za takim życiem. Wychowała się w Adelajdzie wśród sześciu braci i sióstr i nie mogła przyzwycząić się do ich trzypokojowego mieszkania, w którym musiała dbać jedynie o niego. On sam nie miał nic przeciwko pełnemu zieleni Wollstonecraft, ale chętnie zamieszkałby znowu poza miastem, gdzie mógłby polować na kaczki i króliki. Ale co miałby robić komisarz policji - pomyślał zaraz - w mieście takim jak Minnamook?

- Nie idziesz dzisiaj do pracy? - zapytała Julie.

- Nie wiem. Muszę zadzwonić. A jeśli nie, to co powiedziałaabyś na wycieczkę za miasto? Urządzimy sobie piknik na świeżym powietrzu.
- Świetnie, pogoda jest idealna. Dokąd pojedziemy?
- Nie za daleko. Co powiesz o okolicy Camden? Popatrzyłbym trochę na moje ptaszki.

# Rozdział dziesiąty

## 1.

- Wielu właścicieli traktuje swoje konie jak zabawki - mówił O'Brien. - I chociaż nigdy nie zgodziliby się z taką opinią, zachowują się jak dzieci przy zabawie lalkami - złością się na nie, a potem znów się nimi bawią.

Malone siedział obok niego na werandzie i przyglądał się gościom stadniny, którzy przy okazji późnego, niedzielnego śniadania w Cossack Lodge, mieli możliwość podziwiania swoich ekstrawaganckich nabytków na kopytach. Sam nigdy nie uczestniczył w wyścigach i nie potrafił zrozumieć nerwowej namiętności i pożądania towarzyszącego wydawaniu pieniędzy na coś tak nierealnego. Kiedyś Clements próbował mu wyjaśnić, że szanse nie są tak złe, jak mu się wydaje, ale nie przekonał go. Nawet O'Brien twierdził, że z setki koni w jego stadninie najwyżej dziesięć jest wartych poważnych inwestycji. Dla niego, przeciętnego człowieka z kilkoma pensjami w kieszeni, nie była to szansa godna zainteresowania. Nie to jednak stanowiło obecnie powód jego niepokoju.

- Chciałbym, aby ten piknik skończył się możliwie najprędzej.

- To należy do ceremoniału, Scobie. Oni tego oczekują. Przyjeżdżają tu, rozmawiają z zarządcą, trenerami i chcą usłyszeć potwierdzenie dla swej wiedzy i umiejętności dobrego zakupu. Dzisiaj mają dodatkową atrakcję po opublikowaniu w gazetach wiadomości o Blizzardzie. Spójrz na nich - poświęcają nam nie mniej uwagi niż swoim koniom i klaczom.

- Faktycznie, to jest coś. Gliniarz równie atrakcyjny jak koń wyścigowy. Myślisz, że będą mnie prosić o autograf? - Popatrzył na dobrze ubranych ludzi spacerujących pomiędzy stajniami, wzdłuż białych ogrodzeń padoku. - Pomyślałeś, że wśród nich może być Blizzard?

O'Brien odwrócił głowę.

- Tak, rozważałem taką możliwość. Wszyscy zostali sprawdzeni przy wejściu. To regularnie odwiedzający nas goście, poza paroma znajomymi, których przyprowadzili ze sobą. Ale faktycznie, jednym z nich może być Blizzard. Nie przypuszczam jednak, aby próbował szczęścia na oczach tylu świadków. Znałem tych ludzi wcześniej, zanim zająłem się tą stadniną parę lat temu. Gdyby któryś z nich był Blizzardem, mógłby mnie zabić dużo wcześniej - stwierdził, sam zdziwiony spokojem z jakim to powiedział.

Malone odezwał się dopiero po chwili.

- Jeśli dobiorą ci się do skóry, to stracisz stadninę?

O'Brien nie odpowiedział. Patrzył z zadumą na swoją posiadłość. Wiosenna zieleń pojawiła się na odległych wzgórzach; na ich tle, daleko na wybiegu stał samotnie czarny koń. Stał nieruchomo, jak skalna rzeźba. O'Brien powiódł wzrokiem wzdłuż ogrodzenia padoku. Żał byłoby to utracić. Nie, jako kolejną rzecz, której udało mu się dorobić, ale ze względu na spokój jaki tu znajdował. Dopiero teraz uświadamiał to sobie w pełni.

- Pójdzie na sprzedaż. Po skrajnie niskiej cenie, wystarczającej jedynie na spłacenie drobnych posiadaczy akcji. Oskubią mnie zupełnie.

- Zupełnie?

Uśmiechnął się krzywo.

- No, może nie do końca. Ulokowałem co nieco w miejscach, do których nie mogą sięgnąć.

- Na Wyspach Cooka albo Kajmanach?

O'Brien uśmiechnął się rozbawiony.

- Nieobce są ci te sposoby. Nie, akurat nie tam.

Malone poczuł przyływ sympatii dla tego człowieka, sam nie wiedząc dlaczego. O'Brien był reprezentantem grupy, która dla niego była godna jedynie potępienia. Kombinacje, unikanie podatków, korupcja i wspinanie się po tej drabinie bez skrupułów. Nie zazdrościł mu bogactwa, bez względu na to co się za nim kryło. Jego odczucie sięgało głębiej, dotyczyło pewnej moralności w starym stylu, która nie podlegała kwestionowaniu. I teraz, sam dziwił się sobie myśląc, że nie chciałby widzieć tego człowieka zrujnowanego. Jakaś



iskierka dobroci tliła się wewnątrz tej intrygującej postaci.

- Mógłbyś zapewnić sobie i Anicie odpowiednie warunki na resztę życia?

O'Brien uśmiechnął się smutno i rozłożył ręce w pytającym geście.

Anita zadzwoniła wczoraj z Canberry. Rozmawiali niemal przez godzinę. Malone w salonie oglądał transmisję z meczu rugby. Podkrecił głos na tyle, aby nie słyszeć ani słowa z rozmowy, którą Brian prowadził z sypialni. I całe szczęście, gdyż nigdy dotąd nie poruszali przez telefon tak delikatnych, intymnych spraw.

- Mam zamiar opuścić Filipa - mówiła Anita. - Co prawda nie przypuszczam, aby zgodził się na rozwód przed kolejnymi wyborami. To źle wpłynęłoby na jego image. Możemy jednak ogłosić ugodową separację, tak to się chyba nazywa.

- Nie!

- Tak!

- Nie, nie możesz niszczyć swego życia przeze mnie.

- Jakiego życia? Nie mam żadnego własnego życia, od kiedy Filip zajął się polityką. Wysłałam za mąż za człowieka, którego nie kocham już od czterech czy pięciu lat. Jako patronka licznych komitetów jestem niczym innym, tylko figurką na pokaz.

- Wiesz dobrze, że to nieprawda. Każdy kraj potrzebuje swej pierwszej damy.

- Nie jestem pierwszą damą. Żona generalnego gubernatora gra tę rolę. Ja jestem pierwszą rezerwową.

- Dla Australijczyków ty jesteś najważniejsza - argumentował patriotycznie, co pasowało do niego tak samo jak spodnie kłowna; nawet w jego uszach brzmiało to zbyt pompatycznie. - Serduszko moje, nie rujnuj sobie życia.

- Kochanie - ciągnęła niezrażona. - Nie mam zamiaru dłużej żyć z Filipem w ten sposób jak dotąd.

- Powiedziałaś mu o nas?

- Nie, ale on już chyba domyśla się, że jest ktoś inny. Wyprowadziłam się z sypialni.

- I co o tym pomyślą wszyscy w waszym domu? - zażartował.

- To nie ich interes.
- Roześmiał się do siebie i wyciągnął się wygodnie na łożku.
- Jesteś tam? ...
- Jestem. Próbuję sobie wyobrazić kucharzy i pokojówki.
- Nie zmieniaj tematu. Opuszczam Filipa cokolwiek byś mówił. Chcę przyjechać do stadniny i omówić to z tobą.
- Nie! Usiadł z powrotem zdecydowany powstrzymać ją.
- Założę perukę, okulary.
- Anita, to miejsce jest pełne glin i ludzi z ochrony. Inspektor Malone przyjechał na weekend.
- Nic mi nie mówiłeś! Co tam się dzieje, na miłość boską? - W jej głosie pojawił się strach. - Kiedy mówiłeś o zamordowaniu Waldorfa... - zamilkła na moment, uświadamiając sobie groźbę sytuacji - nie powiedziałaś nic o policji i o tym, że wszyscy przenosicie się do stadniny. Kochanie, co tam się dzieje?
- Próbujemy prowadzić tę grę bezpiecznie - skłamał. Nie mógł jej tłumaczyć, że starają się wywabić tygrysa z jego kryjówki.
- Bezpieczna gra? Boże, dlaczego wy mężczyźni zawsze musicie w coś grać? Ten morderca Blizzard nie bawi się z wami! On chce cię zabić! - Zamilkła i cicho załkała.
- Płaczesz?
- Nie - powiedziała po chwili, ale kobiety nie potrafią płakać bez pociągania nosem, podobnie jak mężczyźni nigdy nie nauczą się ich słuchać. - Będę w Sydney w środę. Spotkajmy się znów u Joanny. Porozmawiamy na serio.
- Dobrze - skłamał ponownie, odkładając słuchawkę.
- Mając dwa wyroki śmierci na karku trudno jest cokolwiek planować.
- Powrócił do rzeczywistości obudzony pytaniem Malone'a:
- Czy ci Chińczycy są też twoimi klientami?
- Tak, ten mały, okrągły to Keye Chai, gruba ryba z Hongkongu. Ma tutaj pół tuzina koni. - Spojrzał uważniej na grupkę Chińczyków i dodał: - Znasz zapewne tego w skórzanej marynarce?
- Tak jak ty. To Leslie Chung. Czy on też ma jakieś konie?
- Nie. O'Brien nie chciał kłamać.

- Więc co on tutaj robi? Powiedz prawdę, Brian.

*Po co ukrywać to dalej. I tak wszystko opowiem we wtorek na przestuchaniu przed NKK.* - To jeden z tych, o których wspominałem mówiąc o praniu pieniędzy.

- I nic więcej?

- No dobrze. On uważa, że nie dostał całej forsy z pewnej transakcji.

- A więc należy do tych, którzy chcą wysadzić cię z siodła?

O'Brien popatrzył znów na Chińczyków.

- Prawdopodobnie, ale nie potrafiłbyś niczego im udowodnić. Macie coś na niego?

- Nie, nic. Próbowano wiele razy, ale bez powodzenia. Niewinny, jak biała lilia. Ile przepuścił przez twój bank?

- Nie potrafię powiedzieć, może Bousakis wie więcej. Ale co najmniej parę milionów. Nigdy nie robił tego osobiście. Zawsze wykorzystywał pośredników.

- Kto jeszcze jest w tej spółce? ...No mów Brian! - naciskał niecierpliwie.

- I co zrobisz, jeżeli podam ci nazwiska?

- Jeszcze nie wiem. Może zajmę się tym, jak już złapiemy Blizzarda?

- Za co będziesz ich ścigał?

- Usiłowanie morderstwa.

- Nie będziesz miał zbyt dużych szans, by to udowodnić.

- Być może, ale już mamy ślad prowadzący od Gottiego do Tony Lango.

Czy on również był twoim klientem?

O'Brien zawahał się, potem skinął głową i dodał:

- Tak, i jeszcze dwóch innych, Dennis Pelong i Jack Aldwych.

Malone ściągnął usta, omal nie zagwizdał.

- Boże, dlaczego nie wyciągnąłeś z grobu Al Capone i nie zaprosiłeś go do tego towarzystwa? Ty naprawdę szukasz guza.

- Nie wiedziałem nic o nich, kiedy zaczynałem. Pamiętaj, że nie było mnie tu przez lata.

- Czy oni też uważają, że ich wyrolowałeś?

O'Brien skinął głową.

- I kto jeszcze?

- Jeszcze? Czy to nie dość?

- Na przykład Arnold Debbs?
- Nie, Scobie. On jest chciwy, ale nie wdałby się w morderstwo. To tchórz.
- Spotykał się z Gottim. Próbuje kryć kogoś innego.
- Chung i pozostali są jak generałowie na wojnie. Inni wykonują za nich brudną robotę.

- Jeśli wymienisz ich nazwiska we wtorek ... rzeczywiście chcesz to zrobić? Zgodnie z głosem duszy, jak mówi moja mama?

- Nie traktujesz tego poważnie?
- Czy oczekujesz mojego poparcia, Brian?
- Tak, to pomogłoby mi na pewno.

Malone usiadł wygodniej. Przyglądał się siedzącym samotnie czterem Chińczykom. Przy wszystkich stolikach obok widać było kobiety, tylko oni siedzieli ponuro jak ekipa zakładu pogrzebowego pośród szczebiotów i ogólnej wesołości. Kieliszki szampana krążyły wokół, ale oni wierni tradycji popijali jedynie herbatę. Z jednej strony najwięksi hazardziści świata, z drugiej wierni wyznawcy Konfucjusza.

- Brian, byłeś draniem przez większą część swego życia, próbowałeś obejść wszelkie zasady, którym ja na przykład staram się być wierny. Teraz wyglądasz jak leopárd, który chce pozbyć się własnej skóry.

- Może dlatego czuję ten cholerny chłód - odparł, siląc się na uśmiech. Zaczynamy filozofować.

- A czego innego można spodziewać się po dwóch Irlandusach? Mój ojciec nigdy nie przeczytał żadnej książki, ale wystarczy, że wleje w siebie parę piw i już myśli, że jest Jamesem Joyce'em. Z twoim jest pewnie tak samo.

Twarz O'Briena wydłużyła się. - Dzwoniłem do niego niedawno. Nie wiem nawet, co mnie do tego skłoniło ...pomyślałem, ... bez sensu ... Powiedział krótko, że jestem tam, gdzie sam chciałem być i odwiesił słuchawkę.

- A twoja matka?
- Nie żyje.

Malone odwrócił głowę, patrząc w odległą przestrzeń. Współczuł mu w głębi duszy.

- Dobrze, Brian. Masz moje wsparcie, ale pozwól mi działać. Proś Boga o pomoc... - Miało to zabrzmieć groźnie, ale czy można przerazić kogoś, kto ma

świadomość, że może zostać zabity w każdej chwili? Wstał i zaproponował:

- Chodźmy przywitać się z gośćmi.
- Z którymi? - zapytał O'Brien.
- Z Chungiem i jego towarzystwem.

Ruszyli przez trawnik w stronę stolików. Siedzący goście, właściciele koni, ich żony, córki i kochanki, pozdrawiali O'Briena proponując mu lampkę jego własnego szampana. Brian odwzajemniał uśmiechy, ale prowadził Malone'a wprost do stolika Chińczyków.

- Panie Malone - Chai wyciągnął delikatną jak jedwab rękę, kiedy O'Brien przedstawił ich sobie, nie wspominając o randze inspektora. - Interesuje się pan końmi?

- Nie, jestem kolegą Briana ze szkolnej ławy.

- Pan Malone jest inspektorem policji - wtrącił się Chung, który wstał wraz z innymi do formalnego przywitania. - Należy do najlepszych w naszym kraju.

Malone spojrzał na niego ostro, ale twarz Chunga pozostała bezbarwna.

- Czy pan, panie Chung, wystawia konie w wyścigach?

- Nie, nigdy. Właśnie próbuję wyjaśnić panu Keye wszystkie zawiłości wyścigów, skorumpowani dżokeje i trenerzy, konie, które opadają z sił nie wiedzieć czemu.

- Pan Chung ma złe doświadczenia - wtrącił Keye. - Chodził do szkoły w Szanghaju, gdzie czytał książki Hsun Tzu. To bardzo nieodpowiednia lektura. Hsun Tzu napisał kiedyś, że jeśli człowiek jest mądry to wyrasta na złodzieja, a jeśli jest odważny, to na bandytę ... Czytałeś złe książki Leslie.

Spojrzał na Chunga i obaj uśmiechnęli się niewinnie jak noworodki. Wiedział oczywiście, w jaki sposób Chung zdobywał pieniądze. Malone wiedział to też i podejrzewał, że Keye nie był inny. Brytyjczycy pozwolili Chińczykom utworzyć w Hongkongu swe własne księstwo. Być może uważali, że łatwiej tropić tygrysa niż go zabić. A zresztą, może ten Keye jest uczciwym człowiekiem? Czyżby rasizm tkwiący tak mocno w jego ojcu i u niego zaczynał brać górę nad rozsądkiem?

- Mogę porozmawiać z panem przez chwilę? - odezwał się Chung, biorąc O'Briena pod rękę i prowadząc go na bok.

Malone popatrzył za nimi i nie mając innego wyjścia przyjął zaproszenie na filiżankę herbaty.

- Indyjska herbata jest nieco za mocna, jak wszystko co mamy w Australii.
- Może to pana smak jest zbyt subtelny, panie Malone?
- Nie sądzę, jestem po części Irlandczykiem.
- Ciekawy naród, Irlandczycy. Od dwóch tysięcy lat siedzą na bagnach i wciąż stoją w wodzie.

- *O! Ojciec dałby ci za to. Nie zważając na twych goryli miałbyś go już na karku.*

Na uboczu O'Brien słuchał Chunga.

- Chcę cię tylko ostrzec. Jeden z filozofów powiedział kiedyś: Nie otwieraj pułapki, to nic w nią nie wpadnie, a ty przede wszystkim.

- Czy to też z książki Hsun Tzu?
- Nie, tak naprawdę sam to wymyśliłem.
- Czy wy wszyscy bawicie się w dzieci Konfucjusza?

- Potrafię być niegrzeczny, O'Brien. Nie chcę żadnych awantur na oczach twoich gości. Uważaj co powiesz we wtorek. Dość świństw już nam wykroiłeś. Nie próbuj znowu.

- Przecież to przez was znalazłem się przed NKK.

- A co, myślałeś że bawisz się ze słabą, starą kobietą i jej czekami emerytalnymi?

- W czym imieniu to mówisz? Swoim, czy Debbsa i spółki?

- Na pewno nie Debbsa. On, mam nadzieję, potrafi dbać o swoje interesy.

I nie w imieniu Pelonga i Lango.

- A więc swoim i Aldwycha - O'Brien poczuł chłód pomimo słońca grzejącego go w kark. - Dobrana z was para.

Chung wzruszył ramionami.

- Tylko chwilowo. Minie wtorek i każdy z nas pójdzie znów swoją drogą. Bądź rozsądny, O'Brien. Nie otwieraj pułapki, bo... Chodźmy do naszych przyjaciół. Po co zaprosiłeś tu Malone'a?

- Ktoś inny też próbuje mnie zabić.
- Masz same kłopoty, co? Życzę ci szczęścia. Będziesz go potrzebował.

Goście rozchodzili się wreszcie i Malone czekał na O'Briena, który zęgnął

wszystkich po kolei. Wynajęta służba sprzątała stoliki, konie spokojne już po oględzinach wprowadzano do stajni. Życie w stadninie powoli wracało do normy, on jednak nie mógł opanować rosnącego napięcia. Oczekiwał gościa, który się nie pokazał.

- Dlaczego, do cholery on nie przyszedł?

- Kto? - O'Brien wciąż był pod wrażeniem słów Chunga. - Myślisz o Blizzardzie?

- A o kim? Co powiedział ci Chung?

- Ostrzegł mnie. Zagroził, że jeśli otworzę we wtorek usta, to ...

- Zabiją cię?

O'Brien skinął głową.

- Powiedział to wprost?

- No, niezupełnie. Nie musiał używać takich słów.

- Mogę go przymknąć.

- I po co, Scobie. Zaprzeczy i nic mu nie udowodnisz. Zapomnij o tym.

- Co zrobisz we wtorek?

- Sam nie wiem. To zależy od tego czy Blizzard dopadnie mnie wcześniej czy nie.

Przed budynek podjechał gwałtownie samochód, podrywając ich na nogi. Obaj mieli nerwy napięte do ostatnich granic. Z wnętrza wyskoczył Clements.

- Mamy wreszcie ślad Blizzarda!

## 2.

Clements skręcił w wąską, bitą drogę i zsalutował wartownikom przy bramie. Prowadził zupełnie nowy samochód, którego Malone jeszcze nie widział.

- Harry Danforth patrzył jak odbierałem go dziś rano i aż zagryzł zęby z wściekłości. On wciąż jeździ swoim gratem.

- Po co mieliby mu dawać nowy. Wszyscy liczą, że pójdzie wreszcie na emeryturę. Czy on wie, że złapałeś ślad Blizzarda?

- Nie, jeszcze wtedy sam nic nie wiedziałem.

Clements jechał wzdłuż pasma drzew otaczających stadninę. Skręcił w lewo w następną drogę, która prowadziła do autostrady odległej o trzy mile. Drzewa rosły wokół równiutko, jak na plantacji. Droga była pełna dziur powstałych w czasie długiego, mokrego lata i jesieni. Dwukrotnie uniknął groźby urwania koła skręcając ostro w ostatniej chwili. Droga opadała w dół do wcięcia pomiędzy skalistymi brzegami i prowadziła pod wąskim drewnianym mostkiem, po czym wychodziła na otwartą przestrzeń, pełnych zieleni zagród dla bydła. W oddali rysowały się przedmieścia Camden. Wokół panowała idealna cisza, zakłócona jedynie szumem auta.

Malone odpoczywał. Nie mówił prawie nic od kiedy wyjechali ze stadniny i Clements nie zakłócał mu dotąd spokoju.

- Podejrzewam, że on wie o twoim pobycie w Cossack Lodge.

- Nie zamierzam siedzieć i czekać na niego. Zbyt wiele mnie to kosztuje. Teraz wiem kim on jest.

Nie był zaskoczony, kiedy Clements powiedział mu o tropie prowadzącym do Colina Malloya. Powinien się znaleźć na liście podejrzanych wcześniej, ale ta pogoń za duchem zatarła jasność widzenia. W gruncie rzeczy nie stworzyli listy podejrzanych, szukali raczej człowieka bez twarzy w bezpostaciowym tłumie.

Clements opowiadał:

- Poszedłem do studia kanału 15 na rozmowę z redaktorem wiadomości o nazwisku Katzka. Zapytałem go o sposób podziału pracy pomiędzy ekipami reporterów. Operatorzy kamer pracują zwykle z tymi samymi reporterami i dźwiękowcami. W przypadku Malloya była to dziewczyna. Zauważyłem, że w dwóch przypadkach zamiast Malloya w nagraniach brał udział kto inny. Katzka był zdziwiony. Nie przypuszczał, że ktoś może urywać się z roboty. To dało mi do myślenia.

Clements pokazał książkę, którą przywiózł z sobą. *Żegnaj laleczko* - brzmiał tytuł powieści. - Wiodącą postacią jest niejaki Malloy - Myszka Malloy, ale Blizzard nie był tak głupi, by przyjąć jego imię. Pożyczył je od swego ulubionego autora.



O'Brien wziął książkę z rąk Malone'a. - A dlaczego nie Marlowe? To przecież bohater Chandlera.

- To byłyby zbyt łatwe - odpowiedział Malone. Kiedy ludzie przyjmują fałszywe nazwisko, w dziewięciu przypadkach na dziesięć nie jest to wybór losowy. Kierują się czymś co wiąże je z sytuacją. Wybranie czegoś zupełnie przypadkowego jest niebezpieczne. Nie zareagujesz, gdy ktoś cię zawoła. Blizzard jest wystarczająco sprytny.

- Co macie zamiar zrobić?

- Ty zostaniesz tutaj i nie wychodź z domu. Postaw na nogi całą swoją ochronę, dopóki nie wrócę. My pojedziemy odwiedzić Malloy a. Wiesz gdzie on mieszka, Russ?

- Na Tempie Road w Wollstonecraft. Mieszka z żoną. Nie mają dzieci.

- Wezwiemy przez radio parę osób z lokalnego posterunku, aby nie myśleli, że działamy na własną rękę. Potrzebne nam będzie ewentualne wsparcie. Zaalarmuj oddział specjalny, niech czekają w gotowości, ale niech nie podejmują żadnej akcji wcześniej. Nie chcę, żeby rozpuściło się tam piekło.

Clements poszedł do samochodu i przez radio wydawał dyspozycje, podczas gdy Malone przygotował swoją broń.

- Chciałbym pojechać z tobą - odezwał się O'Brien.

- To nie jest twój interes.

- Jestem jedną z potencjalnych ofiar. Nie mów mi, na litość boską, że to nie mój interes! - zdenerwowany O'Brien podniósł głos.

- Nie ma mowy. Gdybyś zginął, albo został choćby ranny, byłby to koniec mojej pracy w Departamencie. Grzebaliśmy się w różnych górnach ostatnio, czasem z własnej winy, a ja nie chcę podkładać następnych. Widzisz co wypisują w gazetach o tej sprawie. Nie wiem nawet, skąd o tym wszystkim wiedzą. My staramy się ujawniać jak najmniej.

- Może Blizzard nakarmił ich tą historią?

Malone przypiął szelki z kaburą.

- Być może. Nie brałem tego pod uwagę, ale jeżeli to faktycznie Malloy, to wiedział dobrze jak sprzedać taką wiadomość bez ujawniania źródła.

- No dobrze, ale ja mimo wszystko chcę pojechać z wami.

- Nie! Nie, Brian - Malone próbował złagodzić ton. Zostań tutaj i martw

się o Chunga i jego goryli. Jeśli dostaniemy Blizzarda, to będziesz wiedział pierwszy, obiecuję.

O'Brien stał cicho, bez ruchu, jak naburmuszone dziecko. Potem wyciągnął rękę mówiąc:

- Życzę ci szczęścia. Spróbuj wziąć go żywcem. Chciałbym go kopnąć w jaja, póki będzie żywy. Nie za siebie, ale za Mardi.

Malone uśmiechnął się.

- Ja dam mu za ciebie.

- Uważaj na siebie, Scobie - usłyszał na pożegnanie.

Spojrzał na niego stojąc już w drzwiach. - Szkoda, że byłeś draniem przez tyle lat, Brian.

Teraz, kiedy Clements naciskał pedał gazu, Malone podniósł mikrofon do ust i wywołał centralę:

- Dajcie mi Grahama z wydziału zabójstw. Czy on jest na służbie? - zapytał Clementsa.

- Dałem mu znać, jak tylko dowiedziałem się, że jedziemy. Wybierał się właśnie na mecz.

- Znow nie miał szczęścia.

Głośnik przemówił głosem Andy Grahama:

- Co się dzieje, panie inspektorze?

Malone wyjaśnił mu dokładnie sytuację.

- Może nic z tego nie będzie, więc zachowaj spokój. Skontaktuj się z Danforthem, ale nie wcześniej niż za pół godziny. Daj mi czas na dotarcie do Wollstonecraft.

Czasami Graham potrzebował bardzo dokładnych instrukcji, ale po roku służby wiedział już, że należy bronić swojego podwórka. Komisarzy, jak generałów najlepiej trzymać za biurkiem.

- Nie będzie łatwo go złapać - cmoknął w mikrofon. Niedziela ...

- Przykro mi, że straciłeś mecz. Jaki wynik?

- Penrith zdobył punkty w pierwszych minutach. Sześć - zero. Już niedługo koniec ... O! Właśnie.

Pomimo popołudniowego, niedzielnego ruchu Clements szybko pokonał

odległość dzielącą ich od Wollstonecraft. Było jeszcze wciąż jasno, gdy zaparkowali samochód pod rosnącymi wzdłuż ulicy drzewami. Gdyby nie auta stojące po obu stronach można by przypuszczać, że okolica jest nie zamieszкана.

- Ciekawe gdzie są nasi chłopcy z oddziału specjalnego?

Znaleźli ich zaraz w pierwszej przecznicy; cztery auta policyjne, mikrobus, kilka wozów prasowych i mały tłumek ciekawskich przytrzymywany przez nieumundurowanych policjantów.

- Boże! Czy oni myślą, że to szarża lekkiej brygady? Co się tu dzieje do diabła?

- Przepraszam, inspektorze - tłumaczył się Leo Safire, który znał Malone'a od lat, ale uznał, że lepiej nie zwracać się teraz do niego po imieniu. Nie wiem kto dał znać prasie, ale przyjechali tuż za nami. Musiałem im zagrozić wystrzelaniem, żeby utrzymać ich tu na uboczu.

Malone spojrział na ludzi z oddziału specjalnego. Dowódca, sierżant Killop nie miał jeszcze trzydziestu lat. W ciemnych spodniach, swetrze i czapce z daszkiem czekał na rozkaz do uderzenia.

- Ilu was jest?

- Pięciu, powinno wystarczyć.

- Mam nadzieję. Zaczniemy powoli i ostrożnie. Czy ci z telewizji nadali już coś na żywo?

- Nie - odezwał się Safire. Postawiłem człowieka przy każdym wozie. Powiedziałem, że zaaresztuję każdego, kto powie choć słowo.

- Co z innymi ludźmi w mieszkaniu Malloya? Powinniśmy ich ostrzec? - zapytał Killop.

- A jak to sobie wyobrażasz? Chcesz ostrzec mordercę?

Podszedł do rogu ulicy i popatrzył na blok po przeciwnej stronie.

- Ile tam może być mieszkań? Szesnaście? Na którym piętrze on mieszka?

- Na szóstym. Tam są dwa mieszkania na każdym piętrze.

Balkony wychodzą na południe - odpowiedział Safire.

Malone spojrział na szóste piętro. - Który to numer?

- Jedenasty, po prawej stronie.

- Dobrze, my z Russem pójdziemy pierwsi. Dwóch twoich ludzi za nami,

jako osłona. Poślij dwóch następnych na drugą stronę. Leo ty weź samochód i podjedź tam. Pilnuj radia i w razie potrzeby wezwij posiłki. Trzymajcie wszystkich pozostałych tutaj. Szczególnie tych cholernych dziennikarzy. Co jest wewnątrz budynku?

- Winda na sześć osób i wokół niej spiralne schody na samą górę.

- W porządku. Jeden z twoich ludzi zostanie na dole przy schodach. Jeżeli usłyszycie zamieszanie na górze, to ruszaj biegiem do akcji. Ruszamy!

Podeszli ostrożnie do budynku i bez przeszkód dotarli do windy. Malone i Clements wyjęli swoje pistolety, ludzie Killopa załadowali dwunastostrzałowe karabiny. Wyglądali potężnie, pogrubieni dodatkowo przez kuloodporne kamizelki. Wjechali ciasną windą na górę. Malone czuł rosnące napięcie. Brał udział w wielu podobnych akcjach, ale nigdy nie miał przed sobą przeciwnika, dla którego on sam byłby celem. Wciągnął głęboko powietrze w płuca.

- Czekanie się skończyło - powiedział spokojnie Clements.

### 3.

Malloy i Julie urządzili w sobotę piknik w zagajniku, na wzgórzu odległym o milę od stadniny Cossack Lodge. Colin zabrał z sobą kamerę, z którą nie rozstawał się nigdy. Tak jak policjant, zawsze był na służbie; sensacyjne wiadomości nie podlegają planowaniu. Dzięki teleobiektywowi Tasco o powiększeniu 30 x 90, mógł z odległości mili rozróżnić w ustach śmiejącego się człowieka sztuczny ząb od prawdziwego. Kupił go dawno temu, kiedy zdecydował się na odpłacenie tym, którzy go zdradzili. Julie, prowadzącej kasę w ich domu wyjaśnił, że ma zamiar obserwować ptaki. Zdziwiona nieco tym nowym zainteresowaniem dała spokój, kiedy zasypał ją gradem nazw ptaków, jakby oszalał nagle na punkcie ornitologii. Pamiętał je dobrze z czasów, gdy jako chłopiec uganiał się po lasach wokół Minnamook. Zabierał ją od czasu do czasu na swoje wyprawy i był szczęśliwy, że nie zdradzała wielkiego zainteresowania. Wędrował wtedy samotnie, zaszywał się w gąszczu i czytał

powieści kryminalne, których nigdy nie miał dość.

Zjedli obiad i odpoczywali w popołudniowym słońcu. Obok na stosie drewna skrzeczała sroka, a wysoko na niebie wisiał jastrząb jak pływający krzyż. Podniósł teleobiektyw gotów do kolejnej samotnej wyprawy.

- Idę poszukać jakichś ptaków w okolicy.

- Póki nie są oskubane - powiedziała automatycznie Julie, przypominając stary jak świat żart. - Słońce przygrzewa tak przyjemnie. Mam ochotę na ciebie - dodała, zachęcająco kładąc się na plecy.

- Co mówisz?

- Mam ochotę zdjąć wszystko i popatrzeć jak słońce przypieka twój tyłek.

Uśmiechnął się patrząc na nią czekając jego reakcji.

- A co jeśli inny podglądacz ptaków się tu przyplącze? I wyceluje w nas swój teleobiektyw?

- Najwyżej zajdzie mu mgłą - odpowiedziała przeciągając się jak kotka. - Idź oglądać swoje ptaki. Poleżę tu i pomarzę o tym co moglibyśmy robić.

Pochylił się, pocałował ją i powiedział: - Odrobimy to wieczorem. - Wstał i szybko zniknął wśród drzew. Sroka skrzeczała ostrzegawczo, ale on wiedział co ma robić. Zaplanował wszystko dokładnie i jak dotąd nie popełnił żadnego błędu.

Położył się pod drzewem i wyregulował ostrość obiektywu. Po chwili zobaczył znajomą postać wychodzącą na werandę - Malone. Za nim pojawił się O'Brien. Obaj naraz, tego się nie spodziewał. Chciał przyjrzeć się bliżej terenom stadniny. Tu właśnie powinien zginąć O'Brien. Na tle obrazu swojego bogactwa i sukcesu.

Opuścił rękę zmęczoną od podtrzymywania teleobiektywu. Boże, dlaczego nie wziął karabinu? Taka okazja może się nie powtórzyć. Odległość trochę za duża, ale mógł podejść bliżej. Ogarnęła go złość. Gdyby był sam, miałby z sobą broń. Wszystko przez Julie.

Podniósł ponownie obiektyw i zaczął lustrować otoczenie. Zauważył ludzi z ochrony noszących automatyczną broń gotową do użycia w każdej chwili.

Spodziewają się moich odwiedzin - pomyślał podekscytowany.

Podniósł się z ziemi z zadowoleniem. Przepęłniło go uczucie siły, egzekutora, który dyktuje czas i miejsce akcji. I znowu powrócił spokój i chłód, dzięki któremu nie dał się dotąd wytropić. Jeszcze raz podniósł do oczu obiektyw. Jego ofiary siedziały przy małym stoliku jedząc późny obiad. Skoro Malone i O'Brien zdecydowali się przebywać razem, to razem przyjdzie im zginąć - powiedział do siebie.

Zszedł ze wzgórza w kierunku miejsca, gdzie zostawił Julie. Sroka rozkrzyczała się ponownie. Podfrunęła w górę, zakręciła wśród gałęzi i pikowała w dół przelatując tuż nad jego głową. Stał w miejscu jak przed laty w lesie pod Minnamook i czekał cierpliwie. Kiedy powtórzyła ten sam manewr, błyskawicznie podniósł w górę teleobiektyw trafiając ją prosto w głowę. Zatrzępotała skrzydłami i padła martwa na ziemię. Spojrzał na nią beznamiętnie. Wychował się na wsi i wśród lasów, ale ptaki i zwierzęta nie budziły w nim żadnych uczuć. Były niczym więcej niż częścią krajobrazu.

Julie leżała tak jak ją zostawił, z zamkniętymi oczami wyglądała na śpiącą. Uklęknął i włożył rękę pod jej sweter dotykając nagiej piersi.

- Fred? - Jej oczy pozostały zamknięte. Chwycił ją mocniej.

- Kto to jest Fred?

- To ten, z którym umówiłam się na randkę w nocy - powiedziała uśmiechając się lekko.

Kochali się tej nocy jak szaleni. Kilkakroć doprowadził ją do krzyku w chwilach pełnego uniesienia. Kiedy zmęczona usnęła, leżał patrząc w ciemność i zastanawiał się, czy to nie ostatni raz spędzili tak cudowną noc.

Niedzielne gazety rozpisywały się na ten sam temat. Zarówno *Sunday Telegraph* jak i *Sun-Herald*, pierwszych stronach przynosiły doniesienia o tajemniczym mordercy i liście jego ofiar. Jak większość niedzielnych doniesień i te opierały się na paru zaledwie faktach i całej masie domysłów. Nikt nie wspomniał, że mordercą jest ekspolicjant. Departament Policji miał na swym koncie parę nieciekawych spraw w tym roku i za wszelką cenę starał się nie ujawnić,

że były policjant poluje na innego policjanta, w dodatku na jednego z najlepszych inspektorów.

Julie wciąż w koszuli nocnej, z twarzą noszącą ślady ich nocnych zmagania, spojrzała ponad gazetą.

- Nie masz ochoty pójść do łóżka, Fred?
- Po południu - obiecał. Jak mój grzbiet wydobrzeje.

Uśmiechnęła się leniwie i wróciła do czytania. Po chwili spojrzała znowu na niego.

- Widziałeś to? Te zabójstwa, z których robiłeś reportaże? Piszą, że to zaplanowany ciąg morderstw.

- Specjalnie podbijają bębenek. - *Ciekawe co by powiedziała, gdybym dołożył dwa ostatnie nazwiska z tej listy*”! - Wiesz jacy są dziennikarze. Chcą wypełnić strony czymś ciekawym, zwłaszcza w niedzielę. U nas nic się o tym nie mówiło.

Zacisnęła ramiona wstrząśnięta dreszczami. - Nienawidzę tych historii o morderstwach. Owszem w powieściach kryminalnych to co innego.

- To czytaj kronikę towarzyską.

Po obiedzie zadzwonił do Katzki.

- Mam dzisiaj dyżur? - zapytał.

- Nie, dziś masz wolne. Nie mamy nic ciekawego. Zaledwie parę drobnych doniesień - wypadek kolejowy w Holandii, tornado w Stanach. Do zobaczenia jutro.

- A co mamy jutro w planie?

- Pogrzeb tej piosenkarki Mardi Jack, powinno być tam parę osób z show biznesu, i gliniarza, który został zastrzelony, jego nazwisko chyba ... Knoble. Oba na cmentarzu Botany, możesz więc zrobić to za jednym zamachem.

Poczuł rosnące w nim emocje.

- W porządku, będę tam. Nic więcej?

- Nic. O! poczekaj chwilę! Odwiedził mnie sierżant Clements z wydziału zabójstw. Doszukał się, że nie byłeś w pracy tak jak przewidywał plan.

Palce Malloya zacisnęły się na słuchawce.

- Czy kazał ci nie mówić mi o tym?

- No właśnie, ale ty pracujesz dla nas, nie dla niego. Nie lubię jak mi się ktoś wtrąca.

- Dziękuję ci Nick. To sprawa osobista. Straciłem cierpliwość tydzień czy dwa temu i powiedziałem coś, czego nie powinienem. Wiesz jak to jest. - Kłamstwo wypłynęło mu z ust gładko jak wystudiowana rola. Spodziewał się, że ktoś kiedyś może zadać kłopotliwe pytanie. - Być może on chce podjąć jakieś oficjalne kroki - ciągnął dalej. - Policjanci są szczególnie uczuleni na ludzi takich jak my.

Odłożył słuchawkę i starał się uspokoić myśli. Nie spodziewał się, że sieć zostanie zarzucona tak szybko. Clements mógł już uruchomić cały mechanizm. W wieczornych wiadomościach o szóstej Katzka ze zdziwieniem może ujrzeć twarz swojego pracownika na ekranie.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Julie urządziła tu wygodny dom. Przystanek na drodze do własnego domu z ogrodem. Zarabiał 45 tysięcy na rok pracując na zmiany i ponad normę, ale przy 23 tysiącach Julie pozwalało im to na życie na niezłym poziomie. Nie mieli długów i stać ich było na spędzanie urlopów w Nowej Zelandii lub na Fidżi. Miał wiele do stracenia i pierwszy raz pomyślał, czy jego pragnienie zemsty było tego warte. Kiedy zaczynał, nie brał pod uwagę możliwości wypadki.

Wszedł do łazienki. Julie właśnie brała prysznic. Popatrzył na zarys jej ciała za matową szybą i pomyślał z nadzieją, że jej obraz w jego pamięci pozostanie na zawsze ostry. Poczul wzbierającą w nim złość. Poświęcił to wszystko dla głupiego rewanzu! Za późno na żal.

- Muszę jechać do pracy. W teren. Nie będzie mnie parę dni.

- Cholera! Stanęła przed nim zasmucona. Jej ciało pobłyskiwało od kropelek wody, spod których widać było resztki opalenizny z minionego lata. Mokre włosy przykleiły się do jej głowy. Wyglądała biednie jak nigdy dotąd. - Myślałam, że...

Wziął ją w ramiona i pocałował czule.

- Muszę być w studio za pół godziny.

- Dokąd jedziesz?

Z żalem w duszy ciągnął swoje kłamstwo.

- Do Boggabilla. Jakieś zamieszki wśród aborygenów. Będę z powrotem jutro wieczorem, najpóźniej we wtorek.

- Pomogę ci zapakować rzeczy na drogę - owinęła się ręcznikiem i podążyła za nim.



- Masz jakieś pieniądze?
- Kilkadziesiąt dolarów.
- Pożycz mi. Wezmę resztę z banku.
- Na co ci tyle pieniędzy? Przecież będziesz na delegacji. Prawda?

Nie chciał już jej okłamywać, ale prawda mogła być jeszcze gorsza. Była jedyną osobą na świecie, na której mu zależało.

- Jasne, masz rację. Pospieszmy się.

Dziesięć minut później pożegnał się z Julie. Starał się, by wypadło to możliwie naturalnie.

- Bądź ostrożny - powiedziała i wydawało się, że nigdy dotąd nie żegnała go takimi słowami. A może to on przyjmował teraz wszystko w inny sposób?

Pocałował ją po raz ostatni i dodał:

- Nie pozwól zbliżyć się żadnemu obcemu mężczyźnie, kiedy mnie nie będzie.

Niosąc swój ekwipunek filmowy zszedł do garażu. Włożył wszystko do nissana i otworzył metalowy pojemnik przymocowany do podłogi. Wyjął broń zapakowaną w pokrowiec i trzy pudełka amunicji.

Wycofał jeepa z garażu i spojrzął w górę. Julie pomachała mu ręką i posłała pożegnalny pocałunek. Z duszą przepełnioną smutkiem i żalem wyjechał na ulicę. Nie przypuszczał nawet, że jest zdolny do tego rodzaju uczuć. Ostatni raz podobne wrażenie miał dwadzieścia trzy lata temu, kiedy opuszczał akademię.

## 4.

Ustawili się po obu stronach gotowi do akcji. Na dźwięk dzwonka drzwi uchyliły się i stanęła w nich Julie Malloy. Malone wyjął legitymację i przedstawił się.

- Czy pani mąż jest w domu?
- Zaprzeczyła ruchem głowy.
- Nie, nie ma go. Czego chcecie od niego?

- Porozmawiać. Gdzie możemy go znaleźć?
- Wyjechał dziś po południu do Boggabilla. Ma tam jakąś robotę.
- Możemy wejść i skorzystać z telefonu?

Zawahała się na moment, po czym otworzyła szerzej drzwi.

- Nie lubię być sama w domu, ale to zdarza się dość często. Mój mąż pracuje w różnych porach dnia i nocy.

- Moja żona ma podobne odczucia - powiedział Malone z sympatią w głosie.

Julie wyłączyła telewizor.

- Oglądam często wiadomości SBS. To ulubiony program Colina. Wyrzuciliby go z kanału 15, gdyby wiedzieli o tym. - Spojrzała uważnie na Malone'a. - Teraz pana poznałam. Spotkaliśmy się już. Mój mąż też pana filmował parę razy. Telefon jest tutaj.

Malone zwrócił się do Clementsa:

- Idź na dół, Russ i wycofaj wszystkich. Niech czekają w samochodach.

Clements zatrzymał się w drzwiach.

- Pani Malloy, jakim samochodem pojechał pani mąż?

- Wziął jeepa. To Nissan Patrol. Ale myślę, że w teren pojechał wozem transmisyjnym telewizji. Co tu się dzieje tak naprawdę? Po co ci ludzie na zewnątrz? Clements zignorował pytanie.

- Gdzie on trzyma tego jeepa?

- Na dole, w garażu numer 11. O co chodzi, na litość boską?

- Zaraz pani wyjaśnię - odezwał się Malone. - Czy może nam pani dać klucze do garażu?

Podeszła do komódki i wyjęła klucze z szufladki. Podała je Clementsowi ze złością.

- Może wyjaśnicie mi wreszcie o co chodzi?

Malone podniósł słuchawkę telefonu.

- Jaki jest numer do studia kanału 15?

- Ma pan zamiar dzwonić do nich?

- Tak. Kto jest szefem pani męża?

- Nic więcej nie powiem, jeżeli nie wyjaśni mi pan o co wam chodzi.

- Pani Malloy, staram się nie sprawiać pani jakiegokolwiek przykrości. Jeżeli szef pani męża potwierdzi to co usłyszeliśmy, przeproszę panią grzecznie i odejdziemy natychmiast.

- Do cholery z wami! Wy ...

Popatrzył na nią groźnie i to ją widać powstrzymało. Spokojniej już powiedziała:

- Katzka, Nick Katzka jest szefem męża. Nie wiem tylko czy zastanie go pan w pracy.

Katzka odezwał się po chwili. W jego głosie dało się wyczuć niecierpliwość, jakby zawrócono go od drzwi.

- Co? ...Ja miałem wysłać Malloya? ... Gdzie?... Do Boggabilla? Po co miałbym go tam wysłać? Powinien być w pracy dopiero jutro rano

- Panie Katzka, sierżant Clements był u pana dziś rano. Czy Malloy wie o tym? ...Powiedział mu pan? - No tak, dziękuję pięknie. Mam nadzieję, że kiedyś będę się mógł panu odwdziaczyć.

Odłożył słuchawkę. Julie przerażona stała obok.

- Dlaczego pan wypytuje o Colina?

- Proszę, niech pani usiądzie. To co muszę powiedzieć nie będzie przyjemne ani dla pani, ani dla mnie.

- O czym? - Jej głos załamał się.

- Pani mąż... - opowiedział całą historię najdelikatniej jak potrafił.

Istnieje taki rodzaj ludzi, którzy nie dopuszczają do siebie okropnych myśli. Są porządni, niczemu niewinni i myślą, że wszystko co ich dotyczy jest takie samo. Wiedzą, że to nieprawda, ale oszukują sami siebie, bo tak jest im wygodniej. Niestety, życie sprawia niespodzianki, czasami wymierza im karę i nic nie jest w stanie ich przed tym obronić.

- Bardzo mi przykro, ale to co mówię jest prawdą. Pani mąż to Frank Blizzard, który zabił już pięć osób i poluje na następne dwie, w tym na mnie.

- Już pan to mówił - powiedziała automatycznie. - Nie wierzę w nic co pan mówi... - Wierzyła w każde słowo. Miała to wypisane na twarzy. - Przecież coś bym zauważyła.

- Nie potrafię tego wyjaśnić. Aresztowałem już niemało ludzi, których rodziny nigdy o nic nie podejrzewały. Każdy potrafi coś ukrywać. Niektórzy robią to lepiej niż inni.

- Ale dlaczego on miałby nienawidzić was tak mocno za to, że przez was wyrzucono go z akademii?

- Może będzie pani mogła zapytać o to, kiedy go już znajdziemy.

Siedziała nie odzywając się słowem, a on nie chciał jej dłużej przeszkadzać. Całą niewdzięczną partię miał już za sobą. Kochała Malloya-Blizzarda i wolał zostawić jej cień nadziei. Musiała to przeżyć sama.

- Czasami zachowywał się dziwnie - powiedziała po dłuższej chwili. - Ale zawsze kładłam to na karb jego zmiennych nastrojów. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć go do końca.

- Byliście razem szczęśliwi?

Potwierdziła zdecydowanie, jakby próbując obronić choć resztkę nadziei.

- Tak, nawet bardzo. Czy jest pan pewien, że on to zrobił?

- Przykro mi, ale tak.

W drzwiach stanął Clements. Położył na oparciu fotela trzy paczki amunicji. - Znaleźliśmy to w metalowym pudle w garażu. Kaliber 243. Karabin zniknął.

- Karabin? zapytała Julie. - Miał tam karabin?

- Nie widziała pani tej skrzyni?

- Widziałam. Colin trzymał tam zapasowe obiektywy i taśmy. Nigdy nie zaglądałam do wnętrza.

- Czy mąż wziął z sobą jakiś bagaż?

- Parę koszul i sweter. Prosił o pieniądze, ale w końcu zdecydował, że skorzysta z karty kredytowej. - Popatrzyła na nich smutno, tracąc resztkę nadziei. - Myślałam, że jedzie najwyżej na parę dni ...

- On już nie wróci, pani Malloy - powiedział cicho Malone.

# Rozdział jedenasty

## 1.

- On musi zostać usunięty, Arnie. Nie mam co do tego wątpliwości. Trzeba go zabić.

- Jack, czy nie ma innego sposobu? Jezu! Nie możemy go kupić? On posłucha dźwięku pieniędzy. Każdy jest na to podatny. - Arnold Debbs mierzył wszystkich swoją miarką.

- Arnie, czy myślisz, że O'Brien jest członkiem jakiejś lokalnej rady. - Aldwych chciał niemal powiedzieć: *On nie jest byle podrzędnym politykiem.* Powstrzymał się jednak; nie należy bić po twarzy polityków, szczególnie w ich własnym domu. Jego żona, Shril próbowała nie bez sukcesu nauczyć go dobrych manier.

- O'Brien ma więcej pieniędzy niż moglibyśmy mu zaoferować - argumentował spokojnie. - Podjąłem już odpowiednie kroki i przeprowadziłem dziś rozmowy.

- Z kim?

- Arnie, czy ja pytam, kto mówi ci co się dzieje na posiedzeniach gabinetu? A co do O'Briena, to on ma mnóstwo forsy ulokowanej za oceanem.

- I dlatego nie płaci nam tyle co powinien. To sukinsyn! - Debbs nie mógł opanować narastającej wściekłości. Był jednak tylko pionkiem i ta świadomość przyprawiała go o ból głowy.

- Arnie, on jak my wszyscy jest pazerny. Nigdy nikogo za to nie krytykowałem. To naturalna cecha. - Wieczorami Aldwych nastrajał się filozoficznie i dlatego lubił załatwiać swe interesy po zachodzie słońca.

Przyjechał dziś do Sydney z wizytą do domu Debbsa. Przywiózł go syn, który czekał teraz na zewnątrz, za kierownicą granatowego jaguara.

Debbs mieszkał w zachodniej części miasta, w dzielnicy średniej klasy, która aspirowała do pozycji lepszej niż ta, jaką faktycznie miała. Mówiło się, że połowa mieszkańców to księgowi i doradcy prawni patrzący sobie na ręce; konserwa polityczna i religijna. Parę domów czynszowych zajmowanych przez prywatne szkoły i domy opieki tkwiło pomiędzy wielkimi domami budowanymi na małej przestrzeni przez powojennych emigrantów.

Dom Debbsów był solidną kamienicą z lat dwudziestych, nie dość wielką jednak, by stać się obiektem napaści prasowych w czasie kolejnych kampanii wyborczych.

Aldwych pociągał whisky, którą przyniósł w prezencie; Debbs jako dobry gospodarz otworzył ją natychmiast.

- Arnie, Les Chung odwiedził dzisiaj O'Briena. Wygląda na to, że razem z Malone'em prowadzą szczególną grę przeciw temu, który próbuje ich obu sprzątnąć.

- Obu? - Jestem zaskoczony, że Departament Policji tak do tego podchodzi.

- Z mojego źródła w departamencie wiem, że są zdesperowani. Niemniej musimy coś zrobić. Les próbował ostrzec O'Briena, ale według niego nie jest to warte nawet kawałka gówna. Wysłałam więc dziś w nocy człowieka, dwóch tak na prawdę. Jeden zajmie się ochroną, a drugi O'Brienem.

- Czy to nie za duże ryzyko?

- Arnie, ryzyko bierze na siebie ten, kto uderza. A on nie wie kto mu płaci.

- A co z Malone'em?

- Zależnie od sytuacji. On nas nie interesuje, ale jeśli stanie na drodze... Nie bój się, Arnie - powiedział Aldwych, jakby widział w mroku pokoju trzęsące się ręce Debbsa. - Robota będzie zrobiona i nikt nas z nią nie będzie łączył.

Do pokoju weszła Penelopa.

- Dlaczego siedzicie w ciemnościach? - Włączyła światło, które rozlało się po dużym, komfortowo urządzonej pokoju. Stare obrazy, wytworne meble reprezentowały klasę nie mającą na pewno nic wspólnego z ich wyborcami.

W rogu pokoju stał oszklony regał, a w nim kolekcja kryształów, duma i główna pasja Penelopy poza jej politycznymi aspiracjami.

- Czy pan zwykle przesiaduje po ciemku, panie Aldwych?

- Bardzo często, pani Debbs. Moja żona zawsze pyta, czy oszczędzam energię?

Penelopa nie spotkała dotąd Aldwycha i nie miała na to ochoty. Nie dlatego, żeby się go bała, nie bała się nikogo, ani świętych ani gangsterów, ale dlatego że w ogóle unikała kryminalistów. Rzadko tylko, jak w przypadku O'Briena dokonywała niewłaściwej oceny. Wiedziała, że Arnold go zna, a mimo to była wręcz zaskoczona, kiedy godzinę wcześniej młody człowiek zadzwonił do drzwi i oznajmił, że Jack Aldwych chce się widzieć z jej mężem. Była mile zaskoczona, kiedy zamiast oczekiwanego goryla ujrzała miłego, uprzejmego mężczyznę. Przywitała się grzecznie i przepraszając wyszła do kuchni. Nigdy nie uczestniczyła w dyskusjach i rozmowach Arnolda. Wieczorami, w łóżku, miała zawsze czas na chłodną i trzeźwą rozmowę.

Aldwych podniósł się wolno.

- Czas na mnie. Syn czeka i na pewno spiesz się do dziewczyny.

Penelopa nie potrafiła wyobrazić sobie dziewczyny spieszącej w ramiona gangstera.

- Sympatyczny chłopiec - powiedziała wbrew sobie. - Ma czarujący uśmiech.

- Po matce - odparł Aldwych. - Tak, jest niezłym chłopakiem. Szkoda tylko, że trafił na takiego ojca - spojrzał na nią uśmiechając się w oczekiwaniu na jej reakcję.

Ale ona nauczyła się już dawno, jak daleko można posunąć się w uprzejmościach. Pozwoliła jego własnej opinii o sobie zawisnąć w powietrzu, jak pętli nad głową. Natychmiast poznał w niej godnego przeciwnika i podziękował Bogu, że Shril nie jest podobna.

- A więc... Dobranoc. Właśnie powiedziałem Arnoldowi, że wasze kłopoty już wkrótce się skończą.

- To będzie ulga. Dobranoc, panie Aldwych.

Arnold odprowadził go i wrócił do salonu, gdzie Penelopa czekała na niego bez ruchu.

- Co on miał na myśli?  
- Ma zamiar dobrać się do O'Briena.  
- Jak? - Ale natychmiast dodała: - Nie, nie mów mi! Nie chcę nic wiedzieć.

Arnold nalał sobie whisky.

- Jak mogliśmy wpaść w takie pieprzone gówno? - zadał pytanie, którego echo brzmi w naszej historii od czasów Adama i Ewy.

## 2.

O północy Malone i Clements dotarli wreszcie do stadniny Cossack Lodge.

Julie Malloy zadzwoniła po przyjaciółkę, prosząc ją o pozostanie na noc. Prasa została odesłana z niczym, oddział specjalny wrócił do centrum i tylko dwóch ludzi pilnowało nadal domu na wypadek, gdyby Malloy wrócił.

- Jedna szansa na tysiąc - powiedział Malone. - Ona już go nie ujrzy, chyba że złapiemy go żywego.

- Chciałbyś widzieć już jego trupa, nie? - zapytał sierżant Safire.

Malone skinął głową, choć wołałby użyć innego słowa.

Nie rozmawiali wiele od chwili opuszczenia miasta. Kiedy Clements skręcił do bramy stadniny, ludzie z ochrony poderwali się na nogi.

- A, to pan inspektorze. U nas wszystko w porządku. Spokojna noc.

Clements podjechał pod dom. O'Brien otworzył drzwi.

- Nie dopadliście go?

- Porozmawiamy o tym w środku - powiedział Malone. Nie stójmy tu w pełnym świetle.

W tym momencie padł strzał. Malone pchnął O'Briena do środka. Clements skoczył za nimi, zatrzaskując drzwi.

- Wyłączcie światło!



O'Brien zareagował równie szybko jak policjanci. W parę sekund w domu było zupełnie ciemno. Na zewnątrz ktoś włączył samochód, słychać było krzyki i hałasujące w stajni konie. O'Brien krzyknął:

- Do cholery! Mam nadzieję, że konie na padoku nie wpadną w szal.  
- Czy to może być jakaś przypadkowa strzelanina? Zdarzają się tu napady, kradzieże?

- Raczej nie. Nigdy dotąd.

- Wyjdę na zewnątrz, zobaczę co tam się dzieje - powiedział Malone.

- Nie, nie ty - zaprotestował Clements. Ty zostań tutaj.

Nie dał mu czasu na dyskusję, wyskakując przez drzwi z tyłu domu.

Plac wokół nie był typowym farmerskim podwórkiem. Nie było tu żadnego sprzętu, maszyn ani beczek. To też była część reprezentacyjna stadniny.

Clements ruszył ostrożnie w stronę narożnika domu, właśnie wtedy gdy jakaś ciemna postać poderwała się do biegu z pobliskiej zagrody dla koni. Sierżant zatrzymał się i czekał.

Intruz przeskoczył niski, biały płotek ograniczający plac. Kierował się do drzwi, które Clements właśnie opuścił.

Clements podniósł pistolet i zawołał:

- Stać! Policja!

Napastnik przygotowany był na niespodzianki. Padł natychmiast i tocząc się w bok podniósł do góry pistolet. Nie było żadnego błysku, jedynie uderzenie pocisku w zbiornik z wodą tuż obok ramienia Clementsa dało mu znać, że przeciwnik otworzył ogień. Strzelił, ale ten potoczył się akurat w odwrotnym kierunku. Dwa kolejne pociski trafiły w zbiornik i strumień wody siknął mu w twarz. Czarna postać była już przy drzwiach. Clements strzelił. Był o ułamek sekundy szybszy niż Malone, który ukazał się właśnie w drzwiach na wprost przed napastnikiem. Drugi strzał trafił bandytę prosto w głowę.

Clements wyprostował się, opierając plecy o zbiornik. Nogi miał zupełnie miękkie. Opryskał twarz ciekącą wodą. Była zimna i lekko słona. Podeszedł do niego Malone.

- Nic ci nie jest, Russ?

- Nic. Boże już myślałem, że cię dopadnie.

- Gdyby nie ty, to kto wie? Jak on się tu dostał?

- Od strony zagrody. Do diabła, jak on tu wszedł?

O'Brien wyszedł z domu, spojrzął i pochylił się nad trupem.

- „Scobie”?

Podeszli do niego.

- Wszystko w porządku, Brian. Wejdz do środka. Ty Russ też.

O'Brien patrzył na leżące ciało.

- Czy to Blizzard?

- Nie. Pójdę sprawdzić co dzieje się po drugiej stronie.

- Wszyscy do domu! - rozkazał Malone. - Brian przygotuj jakiegoś drinka.

Clements wskazał na trupa.

- A co z nim?

- Zostawmy go dopóki dokładnie nie sprawdzimy, co się dzieje.

Usłyszeli samochód po drugiej stronie budynku.

- Wchodźcie do środka, ja zaraz wrócę - powiedział Malone.

Przed frontem budynku trzy samochody podjeżdżały właśnie ostro hamując. Dwa z nich rozpoznał natychmiast - jedno policyjne, drugie używane przez ochronę stadniny. Trzeciego nigdy dotąd nie widział. Z wnętrza wyskoczył policjant ochrony i wyciągnął za sobą parę młodych ludzi, chłopaka i dziewczynę ubranych w dżinsy. Oboje sprawiali wrażenie mocno przerażonych.

- Kto to? - zapytał Malone.

- Znaleźliśmy ich przy zagrodzie. Próbowaliśmy ich zatrzymać, ale wskoczyli do auta i zaczęli uciekać. Po kilku strzałach zatrzymali się jednak.

Malone spojrzął na chłopaka.

- Pokaż prawo jazdy, synu.

- Zostało w innych spodniach, w domu. - Nie miał więcej niż dwadzieścia lat. W świetle lamp oświetlających ścieżkę do domu jego bladożółta twarz wzbudzała więcej zaufania niż zachowanie. - Nie mam nic wspólnego z tym głównem.

Malone popatrzył na dziewczynę.

- Jak się nazywasz?

- Lily Azoulet.

Nie byłaby brzydka, gdyby pozbyła się tego makijażu - pomyślał Malone. W tej nocnej scenerii wyglądała jak matka chłopaka. Strach też nie dodawał jej uroku. - Nic nie zrobiliśmy. Przyjechaliśmy tu na chwilę... no wiesz.

- To nie tak, inspektorze - odezwał się policjant - Oni specjalnie ściągnęli nas do siebie. Ten gówniarz zatrąbił, by dać nam znać gdzie są.

- Pieprzysz - rzucił chłopak.

- Weź ich na tył domu - powiedział Malone.

Zaprowadził ich do leżącego pod ścianą ciała. Otworzył drzwi i światło z wnętrza oświetliło trupa. Błada twarz i nic nie widzące oczy przypominały postać mima, który powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia. Teraz w jasnym świetle Malone rozpoznał go.

- Ten człowiek próbował zabić mojego sierżanta. Przybył tu, by zamordować właściciela stadniny pana O'Briena. Znacie go?

Dziewczyna załkała, pokręciła przecząco głową i odwróciła się.

Malone kazał policjantowi odprowadzić ją i zwrócił się do chłopaka:

- Ale ty go znasz, prawda synu?

Chłopak wpatrywał się w trupa. Nagle hardość zniknęła, jakby czarna skórzana kurtka nabijana metalowymi cekinami przestała stanowić pancierz. Skurczył się w niej i stał bez słowa. Malone czekał cierpliwie. Wreszcie chłopak przemówił:

- Nic nie wiedziałem o tym, co on zamierza zrobić. Do cholery! Bywałem już w kłopotach, ale nie tej klasy. Spotkałem go parę razy, handlował kradzionymi samochodami. - Zamilkł. - Nie, nic więcej nie powiem, dopóki nie dacie mi adwokata.

- Myślę, że wiem co masz do powiedzenia. Obiecał ci trochę forsy za przyjazd tutaj i wywołanie zamieszania, tak? Ile ci zapłacił?

- Parę setek. - Nic więcej nie powiem.

- Jak chcesz. - Malone przywołał policjanta. Weźcie go do aresztu. I dziewczynę też. Ściągnijcie tu ekipę dochodzeniową.

- Pan będzie to prowadził?
- Nie, to rejon Parramatta, niech oni się tym zajmą.

Schylił się i przy pomocy ołówka podniósł pistolet za obudowę spustu. Na lufie założony był tłumik.

- To ruger 0.22. Profesjonalna broń. Ten człowiek nazywa się Barry Fozel. Lista przestępstw, które popełnił jest długa jak moje ramię.

- Ściągnę wszystkich możliwie najprędzej, inspektorze. Chce pan się z nimi widzieć jak przyjadą?

- Jeśli usnę, to porozmawiam z nimi rano. Miałem wyczerpujący dzień.

Dobrze, że Lisa jest gdzieś daleko - pomyślał. Nie będę musiał składać sprawozdania.

### 3.

Obudził się o siódmej. Przeżycia ostatniej nocy i whisky sprawiły, że padł bez czucia nie wiedząc nawet kiedy. Teraz zdziwiony rozglądał się po pokoju, z trudem przypominając sobie skąd się tu wziął. Leżał w ubraniu, na łóżku w jednym z gościnnych pokoi. W drzwiach stał Clements.

- Śniadanie gotowe. Kerry Swanson z Parramatta czeka na ciebie.
- Będę za dziesięć minut. Muszę wejść pod prysznic.

W kuchni zastał O'Briena, Clementsa i Swansona. Żona zarządcy uwijała się przy stole. Mała, zapracowana kobietka z rudymi pokręconymi włosami przypominała nieco clowna.

- Oni jedzą parówki i jajecznicę. Co mam panu podać?
- To samo. - Był to standard, który preferowała również Lisa.

Postawiła przed nim talerz z owocami.

- A to na początek.

- Ona myśli, że karmi konie - powiedział O'Brien.

Gospodyni pogroziła mu palcem.

Zaczęli rozmawiać o wydarzeniach ostatniej nocy. –

Zwolnimy dziewczynę - mówił Swanson. - Nie miała pojęcia co się dzieje. Uśmiechał się tak szeroko, że Malone myślał z obawą, czy jego uszy nie

wpadną mu do ust. Był flegmatykiem, by nie powiedzieć ślamazarą. Pomimo to pracował całą noc i teraz składał sprawozdanie. - Chłopak nazywa się Richie Cuppa. Możemy go oskarżyć, ale nie udowodnimy mu, że był w to zamieszany. Utrzymuje, że miał zrobić zamieszanie, a Fozel chciał w tym czasie ukraść konia.

- Z pistoletem w ręce? - zapytał Malone.

- Chłopak twierdzi, że nic nie wie o żadnej broni. Sędzia nie będzie tego podważał - powiedział Swanson tonem, który świadczył, że wiele godzin spędził bezskutecznie na sądowej sali.

- A co wiesz o Fozelu? Kto go tu przysłał?

- Nic, żadnych konkretnych powiązań.

- W porządku Kerry, dziękuję. Prowadź to dalej. Masz coś nowego o Blizzardzie? - Malone zwrócił się do Clementsa.

- Dzwoniłem do Grahama. Dostali zdjęcie Blizzarda lub Malloya jeśli wolisz, i pokażą je w prasie i telewizji. Zrobili też portret Malloya bez brody. Nie ma śladu po jego samochodzie. Opis jeepa też został ogłoszony. Myślę, że on zgolił brodę, zamienił auto i siedzi gdzieś cicho, czekając aż gorączka minie - zakończył Clements.

O'Brien siedział spokojnie jedząc niewiele.

- A ty co o tym sądzisz? - zapytał Malone.

- Pamiętam co mówiłeś w sobotę w nocy. On nie potrafi ukryć się i czekać. Chce nas dopaść i na pewno nie zrezygnuje.

Gospodyni, kręcąca się obok, upuściła nagle talerz. Hałas poderwał ich wszystkich, jakby dopiero teraz ją ujrzeni.

- Przepraszam bardzo. Ja ...

- Nic, nic. To my przepraszamy. Przejdziemy do salonu. Nie chcemy tu pani przeszkadzać.

Swanson pożegnał się. - Mam do cholery roboty i bez tego Malloya. Gangi wietnamskie, Syryjczycy... Gdzie są te dawne lata ... Cześć, Scobie, życzę ci szczęścia. Uważaj na głowę.

Clements odprowadził go na zewnątrz. Malone i O'Brien usiedli w fotelach. Salon był urządzony stylowo, ale nie zwracali teraz na to uwagi.

- Myślisz, że on uderzy znowu? - zapytał O'Brien.

Malone skinął głową.

- On na pewno jest gdzieś w pobliżu, czeka na okazję. Ale ja jestem już zmęczony tym becznym siedzeniem. Jadę na pogrzeb Jima i Mardi.

- Myślisz, że on zaryzykuje?

- Nie. Chyba że zdecyduje się na samobójstwo. A może? Jego dni i tak są już policzone. Jadę bez względu na to.

- To ja też - włączył się O'Brien.

- Nie - Malone spojrział, potem machnął ręką. A zresztą. Ale jeśli ktoś mnie opieprzy, to weź to na siebie. Nie chcę się tłumaczyć za ciebie. - Po chwili dodał: - Źle to zabrzmiało, ale wiesz co mam na myśli?

- Wiem. - Był to moment, kiedy ich znajomość przeobrażała się mimo woli w przyjaźń, ale obaj czuli, że nie potrwa to pewnie długo. - Nie powinienem pozwolić, by Mardi została pochowana beze mnie. Jestem jej winien przynajmniej ostatnie spojrzenie. Co do Jima, to akurat nie ja zacząłem tę awanturę, ale byłem tym, który pierwszy sięgnął po wąż strażacki.

Pokręcił głową, jakby nie wierzył, że głupi kawał w młodości może być przyczyną śmierci po latach. Malone zastanawiał się, czy Brian zdaje sobie sprawę z tego, że teraz po latach, on za podobne kombinacje staje przed NKK.

## 4.

Deszcz rozpadał się na dobre zanim dotarli do cmentarza Botany. Przy bramie stały już zaparkowane samochody policyjne, kilka wozów prasowych i telewizyjnych.

- Powiedziano mi, że przyjedziesz, Scobie - przywitał go Neil Gittings. Ukończył akademię w tym samym roku co Malone i podobnie jak on w ciągu dwudziestoczworoletniej służby doszedł do stopnia inspektora.

- Czyżbym grał rolę bohatera, Neil?

- Nie, nie to miałem na myśli. Ale jeśli ... - wskazał na ponure otoczenie. - Jeżeli Blizzard jest gdzieś tu w pobliżu, na tych wzgórzach?

- Na to właśnie liczę, Neil - Malone uśmiechnął się. - Razem z O'Brienem doszliśmy do wniosku, że czekamy już zbyt długo. Pogrzeb Jima już się rozpoczął?

- Jeszcze nie. Będą tu za dwadzieścia minut. Ale właśnie przed chwilą zaczął się pogrzeb tej dziewczyny. O tam, na wzgórzu - wskazał na niewysoki pagórek na środku cmentarza.

- Jest tam pełno ludzi ze świata muzyki rozrywkowej. Operatorzy z telewizji prosili nas o pomoc w przedostaniu się do grobu.

- Chciałbym tam pójść - wtrącił się O'Brien, cierpliwie stojący obok. Teraz ruszył zdecydowanie w kierunku cmentarza.

Malone spojrzał na Clementsa.

- Lepiej będzie jak pójdziemy za nim, Russ.

- Będziesz tam zupełnie odslonięty - powiedział Gittings.

Malone popatrzył na szybko oddalającego się O'Briena.

- Pójdziemy za nim w odległości dwudziestu jardów. Gdyby Blizzard trafił jednego, drugi będzie miał czas, by ukryć się za jakimś nagrobkiem, zanim zostanie wzięty na muszkę.

- Czy ty, do cholery, nie masz rozumu? - powiedział Gittings. - Nie trzymaj się go zbyt blisko, Russ.

- Jestem tylko sierżantem. - odparł Clements. Zawsze idę parę kroków za inspektorem.

Czarny humor pasował jak rzadko do sytuacji i otoczenia.

Cmentarz położony był pomiędzy niewielkimi wzgórzami, na których rosły artretycznie pokręcone przez wiatr drzewa. Długie rzędy grobów wyglądały podobnie do rzędów marmurowych łóżek, tyle tylko że spoczywający tu ludzie spali pod nimi. Na najwyższym wzgórzu stały trzy jasnozielone wieże ciśnienia; poprzez deszcz Malone zauważył sylwetkę policjanta z grupy specjalnej, który na jednej z nich zajął właśnie stanowisko. Na południe, w kierunku zatoki rozciągał się ogród i plantacja roślin ozdobnych typowych w otoczeniu wielu cmentarzy.

W oddali, poza granicami cmentarza, sterczały wysokie konstrukcje kranów portowych, rurociągów i składów portu Botany. Na szarym tle nieba, żółte szkielety dźwigów

## 5.

Blizzard obserwował ich odjazd z farmy, patrząc przez potężny teleobiektyw skierowany wprost na dom. Siedział na wzgórzu oddalonym o półtorej mili i widział dokładnie jak wsiadali do policyjnego samochodu. Tuż za nimi ustawiło się drugie auto, prawdopodobnie z eskortą. Oba samochody odjechały po chwili, kierując się do Sydney, drogą przebiegającą kilkaset jardów od niego.

Zauważył, że nie zabierali żadnych bagaży co oznaczało, że na pewno tu wrócą. Był przygotowany na czekanie.

Przyjechał tu o szóstej rano, po nocy spędzonej w motelu, oddalonym stąd o siedemdziesiąt kilometrów na południe. Wczorajsze popołudnie spędził jeżdżąc swoim jeepem nissan patrol od jednego składu samochodów do drugiego. Znalazł w końcu miejsce, które bardziej przypominało złomowisko pełne wraków niż skład handlowy. Właściciel był w nie lepszej formie.

- Ile pan da za to? - zapytał Blizzard. Rocznik 86, 36000 na liczniku.

Chudy handlarz rzucił krokodylim okiem na jeepa.

- Bo ja wiem? Nie jest łatwo znaleźć chętnego na takie auto. Wie pan, ten cały kryzys ekonomiczny. Ludzie nie mają forsy. Mógłbym za nie dać... Bo ja wiem?... Musiałbym pomyśleć.

Pomyślał tak szybko, że Blizzard jeszcze nie widział takiego szybkiego podejmowania decyzji.

- Nie mógłbym dać więcej niż dwanaście kawałków.

Blizzard wiedział, że auto jest warte co najmniej piętnaście.

- Zgadzam się.

Oczy handlarza błysnęły, dlaczego nie trafia mi się taki frajer codziennie? - pomyślał zapewne.

- Ale pod jednym warunkiem - dodał Blizzard. Chcę gotówkę. Nie będę dyskutował o cenie, a ty o sposobie płacenia.

- Za kogo mnie bierzesz? Nie trzymam gorącej forsy. Masz papiery?

- Wszystko co trzeba. Rejestracja, prawo jazdy, karta kredytowa. - Wyjął



kartę identyfikacyjną kanału 15. Teraz mógł pokazać ją bez obawy. Niedługo jego zdjęcie na pewno ukaże się w prasie i telewizji, a wtedy handlarz zrobi wszystko, by ukryć swój dobry, tani zakup.

- No dobra. Masz szczęście. Mam akurat taką sumę w sejfie. Właśnie sprzedałem toyotę za marne pieniądze facetowi, który twierdził, że nie ufa bankom.

Ciekawe jak wiele pieniędzy przepływa z rąk do rąk w takich składach dzięki facetom, którzy nie ufają bankom - pomyślał Blizzard.

Dziesięć minut później wymaszerował ze składu z pieniędzmi w kieszeni i torbą przewieszoną przez ramię. Na szyi powiesił teleobiektyw, w jednej ręce trzymał torbę ze sprzętem fotograficznym, w drugiej pokrowiec z karabinem.

- Ależ pan obładowany. Na pewno nie chce pan mniejszego auta? - przekonywał go handlarz. - Mam tu takie cudeńko, honda civic, jeden właściciel - moja ciotka, rocznik 87 - wyciżał szybko.

Przeszedł paręset jardów i w kolejnym składzie kupił motocykl, Honda GL 1000, za cztery tysiące. Przywiązał szybko bagaże i odjechał na południe.

Zatrzymał się przy Mc Donaldzie, zjadł dwa hamburgery i jabłko i znów ruszył na południe. Tuż przed Bowral skręcił z głównej drogi i przystanął na poboczu obok niewielkiej skarpy. Wyjął z torby lusterko, maszynkę do golenia i nożyczki. Odszedł na bok i w ciągu dwudziestu minut zniszczył wszystko co dotyczyło Colina Malloya. Kiedy spojrzął w lusterko z trudem rozpoznał człowieka, na którego teraz patrzył. Świeżo ogolony, łysiejący obcy facet niemal go przeraził. To był ten szalony mężczyzna, który zabił pięć osób i właśnie usunął spośród żywych Malloya, człowieka, który w odróżnieniu od Franka Blizzarda doświadczył paru chwil szczęścia. Pociągnął ręką po delikatnej twarzy próbując jak ślepiec zidentyfikować obcą osobę.

Stojąc teraz obok ściętego drzewa i patrząc na policyjne auta jadące w kierunku Sydney zdawał sobie sprawę, że jest ofiarą jakiegoś szaleństwa. Czytał kiedyś wiersz, nie pamiętał już autora, z którego pozostał w pamięci fragment: - Jest coś przyjemnego w szaleństwie, o czym nikt poza szaleńcem nie wie. Tak ale trzeba być naprawdę stukniętym, aby się z tego cieszyć.

Był daleki od tego. Miał nadzieję, że nikt nie nazwie go psychopatą. Nie chciał zabierać ze sobą do grobu takiej opinii.

Czekał już dwie godziny otulony kurtką, w kasku na głowie, osłaniającym go przed deszczem przesiąkającym poprzez gałęzie. W końcu poszedł po motocykl ukryty na skraju zarośli, wyciągnął go i zjechał w dół po śliskim zboczu, wąską, pełną drogą wiodącą przez łąkę równoległą do głównej drogi.

Deszcz przestał padać, ale ciężkie, pełne chmury wisały nisko. Podjechał do bramy w ogrodzeniu padoku, otworzył ją i pojechał dalej w kierunku kępy drzew. Przejechał przez drewniany mostek i skierował się na sąsiednie zarośnięte wzgórze. Zostawił motocykl pod jednym z drzew, wyjął karabin i zamocował celownik optyczny. Tikka była gotowa do użycia. Potem poszukał wygodnego stanowiska. Ulokował się przy skale na brzegu przecinki.

Siedział i czekał. Ostatnie z zielonych butelek powinny zjawić się przedzej czy później.... Nucił pod nosem starą melodię.

Deszcz zaczął padać na nowo. Nagle skrzywił się porażony straszliwym bólem z tyłu głowy, który od lat dawał mu się we znaki. Wiedział, że atak potrwa chwilę i minie. Być może dzisiaj zniknie na zawsze.

Późnym popołudniem dostrzegł trzy auta jadące ód strony Sydney. Były w odległości pół mili. Podniósł do oczu teleobiektyw tasco dający doskonałe zbliżenie. W pierwszym samochodzie ujrzał Malone'a siedzącego obok kierowcy, który wyglądał na Clementsa. Nie mógł dostrzec kto siedzi w drugim, ale był pewien, że w którymś z nich jest też O'Brien.

Odłożył teleobiektyw i wziął do ręki karabin. W chwili gdy pierwsze auto osiągnęło szczyt rozjazdu prowadzącego pod most, ustawił celownik dokładnie na pierś Malone'a.

## 6.

Clements zauważył dziurę w jezdni w ostatniej chwili. Szarpnął kierownicą w lewo i w tym momencie uratował życie Malone'a. Kula przeszła przez przednią szybę, przeleciała pomiędzy nimi i utkwiała w tylnym siedzeniu tuż obok O'Briena. Szyba pękła promieniście od otworu po pocisku, ale Clements nie stracił panowania nad kierownicą. Auto wpadło w lekki poślizg zjeżdżając na bok wąskiej drogi, podskoczyło na kamienistym poboczu i zaczęło zjeżdżać w dół. Szczęśliwie commodore wciąż trzymał się drogi i pomimo zderzenia ze skalistym brzegiem rozjazdu, od którego wyleciały obie boczne szyby, nie przewrócił się na dach. Clements wykazał wystarczająco dużo spokoju, by zapanować nad nim w końcu i wyhamować na przestrzeni następnych pięćdziesięciu jardów.

Malone szarpnął drzwi i wyskoczył padając natychmiast na ziemię. Kolejny pocisk trafił w zderzak tuż obok jego głowy. Przetoczył się do tyłu. Pozostałe dwa auta hamowały z piskiem opon. Wychylił się ostrożnie ponad bagażnikiem. Po drugiej stronie mostu zobaczył mężczyznę z karabinem wycelowanym w jego kierunku. Schował głowę i w tym samym momencie poczuł ostre uderzenie w szyję. Pocisk trafił tym razem w skałę za nim, rozpryskując wyłupane odłamki. Strzelił kilkakrotnie w odpowiedzi, nie celując nawet. Wiedział dobrze, że jego pistolet jest w tych warunkach za mało skuteczny. Poderwał się i pochylony nisko zaczął biec po pochylej nawierzchni, starając się dostać pod most. Za jego plecami rozległy się strzały. Policjanci z eskorty otworzyli ogień, dając mu osłonę.

Dotarł do mostu i zatrzymał się na sekundę łapiąc oddech. Ręką dotknął piekącego karku. Pod palcami poczuł krew. Przebiegł na drugą stronę i zaczął wspinać się po zboczu. Z trudem utrzymywał się na śliskiej powierzchni. Deszcz wzmógł się, a może tak mu się wydawało.

Nadszedł wreszcie czas rozprawy z Blizzardem, ale mimo oczekiwania na ten moment, nie był do niego przygotowany. Nie tak to sobie wyobrażał, może dlatego, że tak długo musiał czekać.

Następny pocisk odbił się rykoszetem od skały, ale teraz nie mógł go sięgnąć.

Wspiął się na samą krawędź, przeskoczył przez kanał, w którym biegly przewody elektryczne i padł płasko w płytki rów rozpryskując fontannę błotnistej wody. Deszcz nie ustawał. Przetarł zalaną wodą twarz, podniósł głowę i ostrożnie wyjrzał ponad krawędzią rowu.

Blizzard, zupełnie odkryty stał na środku mostu z karabinem wycelowanym prosto w jego kierunku. Malone strzelił i ku swemu zdziwieniu zobaczył, że lufa karabinu Blizzarda podnosi się do góry, prosto w niebo, a on sam pada na plecy. Strzał nie mógł być bardziej szczęśliwy. Kula trafiła dokładnie w głowę. Z tej odległości i przy padającym deszczu, granoczyło to z cudem. Sprawiedliwość, tak ślepa czasami, tym razem zatriumfowała.

Malone podniósł się i przetarł ponownie twarz zabłoconą ręką. Oblepiony od stóp do głów ociekającym błotem wyglądał okropnie, ale był żywy. Lepiej źle wyglądać niż być trupem - pomyślał.

Trzej policjanci z bronią w rękach, wbiegli na most. Malone odetchnął i zaczął schodzić na dół w stronę samochodów. Danforth stał przy commodore z pistoletem w dłoni.

- Jesteś cały, Scobie? Twój policzek krwawi.

- Drobiazg. Nic mi nie jest.

Danforth krzyknął do policjantów na moście:

- Co z nim?

- Nie żyje, szefie!

- Dzięki Bogu. Wszystko skończone.

- Co z tobą, Russ? - zapytał z troską Malone patrząc na Clementsa trzymającego się za lewe ramię.

- Chyba złamane. Boli jak diabli, ale jesteśmy żywi, więc nie ma co narzekać. Czy to na pewno Blizzard?

Malone przytaknął.

- Na pewno. A ty Brian? Nie ci się nie stało?

- Sam nie wiem. - Oparł się ciężko o samochód. - Mam zupełnie miękkie nogi. Nie chce mi się wierzyć, że to koniec.

Danforth popatrzył na niego uważnie. - Zawiozę pana do stadniny. Może

pan przygotować parę drinków z tej okazji. Ty zrób tu porządek, Scobie. To przecież twoja sprawa. Trzeba wezwać ambulans dla Clementsa.

Malone odprowadził ich do samochodu.

- Będę za pół godziny, Brian. Przygotuj whisky.

- Jasne. Przeżyliśmy... - O'Brien otarł z twarzy krople deszczu.

Malone zatrzasnął drzwi.

- Pamiętaj o whisky!

- Dołączę do was - powiedział Danforth, zawsze chętny do wypicia drinka.

Siedział już za kierownicą. Przekręcił kluczyk w stacyjce i poprawił się na siedzeniu, podciągając swój wielki brzuch. Wyjął pistolet z kabury i włożył go do skrytki na rękawiczki. - Do zobaczenia, Scobie.

Ruszył drogą przechodzącą pod mostem w stronę stadniny. Malone spojrzął na Clementsa.

- Wezwij przez radio wszystkich, którzy są potrzebni, a potem usiądź i nie ruszaj się.

- A ty co masz zamiar tu robić?

- Pójdę na górę popatrzeć na Blizzarda. Wciąż nie wiem, jak wyglądał w tamtych czasach.

Wspiął się na most i podszedł do policjantów stojących nad ciałem Blizzarda.

- Wszystko się zgadza, panie inspektorze. Karabin tikka, amunicja kaliber .243, pociski na pewno będą pasować do pozostałych.

Malone popatrzył na leżące ciało. ... Zupełnie obca twarz. Jedyne kurtka przypominała mu operatora kamery Malloya; już go kiedyś w niej widział. Policjant naciągnął kaptur na głowę trupa, zakrywając okropną ranę od kuli. Błada wykrzywiona twarz nie budziła u Malone'a żadnych wspomnień.

Wtem jeden z policjantów zawołał: - Co jest grane? Szeff wraca?

Malone odwrócił się i zobaczył wolno jadący samochód Danfortha. Przejechał pod mostem i zatrzymał się w miejscu, z którego niedawno odjechał. Malone biegiem ruszył na dół.

Danforth wciąż siedział w środku. Na siedzeniu obok leżał O'Brien oparty o drzwi. W jego skroni widniała duża, czerwona od krwi dziura. W zaciśniętej

dłoni trzymał pistolet. Danforth spojrział ukosem, kiedy Malone otworzył drzwi i złapał w ręce opadające ciało.

- Na litość boską! Co się stało?

- Sam nie wiem. - Grube ręce Danfortha spoczywały na kierownicy. Nie widać w nim było ani odrobiny napięcia.

- To była jedna chwila. Sięgnął nagle do schowka po mój pistolet i zanim mogłem go powstrzymać... Nie mam pojęcia dlaczego?

Malone patrzył z niedowierzaniem na O'Briena. Jego twarz wyrażała tyle bólu...Ułożył go delikatnie na siedzeniu, zdjął z siebie marynarkę i przykrył martwe ciało.

Popatrzył na Danfortha i bezbarwnym tonem nie sugerującym oskarżenia powiedział:

- Właśnie, dlaczego miałyby to zrobić?

## 7.

Samochód lokalnej policji czekał na Clementsa i Malone'a pod szpitalem w Camden. Obaj otrzymali pierwszą pomoc. Złamana ręka Clementsa została opatrzona i zagipsowana, a na szyi Malone'a pojawił się opatrunek. Wyszli przed drzwi i spojrzeli na siebie pytająco. Nie rozmawiali prawie wcale od chwili śmierci O'Briena. Zdenerwowany Danforth odjechał już do Sydney. Nie sposób było uniknąć nasuwających się pytań.

- Myślisz, że to on zrobił? - powiedział Clements.

- Harry? Do cholery, to przecież oczywiste! - ze złością odpowiedział Malone.

Młoda pielęgniarka przechodząca obok spojrzała na niego przestraszona tym nagłym wybuchem. Poczekał chwilę, aż przeszła i dodał:

- Brian nie był typem samobójcy. Owszem był pod presją ostatnich wydarzeń. Widziałem kilkakrotnie jak popadał w depresję, ale na pewno nie był zdesperowany na tyle, by przyłożyć sobie pistolet do głowy. To robota Danfortha.

- Ktoś mu za to zapłacił?

- Na pewno. Domyślam się nawet kto. Ale nie potrafię tego udowodnić. Nie potrafimy nic udowodnić. Oczywiście odbędzie się formalne przesłuchanie, na którym zeznanie Danforth'a stanie naprzeciw głosowi nieżyjącego człowieka. Przy wszystkich kłopotach O'Brien'a, kto zakwestionuje możliwość popełnienia samobójstwa. Harry zostanie zapewne upomniany za nieostrożne obchodzenie się z bronią, i to wszystko. Prawdopodobnie odejdzie teraz na emeryturę mając na dodatek to, co dostał za usunięcie O'Brien'a.

- Jezu! - Clements patrzył w rozpogadzające się niebiesko-zielone niebo, na którym strzępy chmur układały się w fantazyjne obrazy. - Rzygać się chce.

Malone zły w swej bezsilności nie sądził, by tak prosta operacja potrafiła go uwolnić od uczucia kolejnej przegranej.

# Rozdział dwunasty

## 1.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytała Joanna.

- A cóż mi pozostaje? Będę nadal z Filipem.

- O, na miłość Boską! - Joanna rzuciła się na oparcie fotela. Anita rzadko widywała siostrę tak wzburzoną jak teraz. Zwykle jej temperament ujawniał się poprzez język, który potrafił ciąć i ranić jak ostrze sztyletu. W tej chwili jednak jej całe ciało wydawało się być kipiące złością. - Dlaczego masz się zmuszać? Po prostu wyjedź stąd. W Sydney nie będziesz miała problemów z otrzymaniem pracy w radio czy w telewizji.

- To nie takie proste, jak myślisz. Nie miałaś nigdy do czynienia z życiem publicznym - jeśli w to wdepniesz, czy chcesz czy nie, jesteś uwiązana - kręciła nerwowo złotą bransoletką wokół nadgarstka; wydawało się, że w ciągu dwóch tygodni od śmierci O'Briena bransoletka zaczęła swobodniej obracać się wokół ręki. Całe jej ciało wydawało się chudsze, bardziej kościste. - Taka jest cena życia u boku najpopularniejszego człowieka w Australii.

- Och, daj spokój! Przesadzasz!

- Przejrzyj magazyny kobiece. Z drugiej strony to fakt, że Filip bardzo wierzy w swoje wielkie poparcie wśród wyborców, a w rzeczywistości nie jest ono aż tak duże. Jesteśmy parą numer jeden Jo, czy chcę tego czy nie. Taka jest prawda. Od kiedy Filip został członkiem parlamentu i zaczęliśmy podróżować po świecie, ze zdziwieniem odkryłam w jaki sposób żyją prezydenci, premierzy i ich żony. Często są znacznie dalej od siebie niż my z Filipem, ale mimo to pozostają razem. Już ci mówiłam nie mam wyjścia. Muszę z nim pozostać przynajmniej do kolejnych wyborów.



- Boże, mówisz tak, jakby wyborcy byli sędziami sądu rodzinnego, o ile takie istnieją. - Joanna nie miała większego pojęcia o prawie i nie próbowała go zgłębiać. Swemu pierwszemu mężowi oddała wszystko czego żądał byle tylko nie rozwlekać spraw w nieskończoność. Opinia publiczna nie miała na nią co prawda wpływu, ale lubiła żyć swoim prywatnym życiem.

Przysunęła się bliżej i wzięła siostrę za rękę. - No dobrze, więc wszystko co chcesz zrobić, to zapomnieć o Brianie? Pogrzebać go na zawsze?

- A ty potrafiłabyś?

- Ja tak zrobiłam - odpowiedziała obojętnie Joanna.

Anita pokręciła głową. - Nie, ja nie dam rady. Pamiętam taki wiersz - zamyśliła się na moment

- *Śmierć nigdy nie jest pogrzebem serca...*

## 2.

Dwa tygodnie wcześniej, w poniedziałkowy wieczór, Harry Danforth podniósł słuchawkę w publicznej budce telefonicznej.

- Jack? To ja Harry.

- Ostrożnie z nazwiskami, kolego. Znasz przecież dobrze metody policji. - Aldwych jak zwykle siedział na werandzie swojego domu. Pomimo chłodu z zadowoleniem spędzał tak kolejny wieczór, jakby w obawie, że niewiele czasu już mu pozostało. Zły, że ktoś waży się mu przeszkadzać, przyjął słuchawkę od Jacka juniora. - Gotowi jesteście podsłuchiwać moje rozmowy bez zezwolenia prokuratora - dodał. - Co masz do powiedzenia?

- Wszystko mam pod kontrolą. Spodziewam się, że nie zapomnisz o tym.

- Chcesz powiedzieć, że nie potrzebujemy się niczego obawiać? ...Załatwiłeś to? Dobrze, jestem ci zobowiązany. Możesz już myśleć o emeryturze.

- Wszystko załatwię dziś po południu. Czas abym się usunął. W jakies przyjemne miejsce na Złotym Wybrzeżu.

- Zostaw to mnie. Żadnych telefonów, żadnych wizyt. Bądź ostrożny. Rozumiesz?

Danforth odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki. Poczł nagle chłód, jakby przeszedł obok świeżo wykopanego grobu.

### 3.

- Co ty robisz, wujku Russ?

Clements odjął butelkę od ust i uśmiechnął się z poczuciem winy.

- Robię jej oddychanie usta - usta. - Wino przestało oddychać.

Claire przewróciła oczami i spojrzła na Lisę, która zapytała:

- Sam wymyślasz te powiedzonka, Russ?

Listopad niósł z sobą ciepłe powietrze, zapowiedź nadchodzącego grudnia. Była niedziela i w ogrodzie koło basenu Malone urządził barbecue. Clements przyniósł sześć kilogramów mięsa i kiełbasy; dość by nakarmić całą drużynę piłkarską. Ubrany w szorty, pilnował teraz Maureen i Toma przewracających steki i kiełbaski na ruszcie. Przyprowadził z sobą młodą dziewczynę o imieniu Sheila, która zdaniem Lisy nazbyt wdychała do Scobiego. Dziewczyna była ładna i Malone sam pomyślał, że jest zbyt dobra jak dla Russa, ta z kolei najwyraźniej traciła swą pewność patrząc na niego. Lisa rządziła całym tym bałaganem.

- Będiesz musiała wykorzenić z niego te powiedzonka, Sheila. Nikt nie potrafi żyć z kimś takim.

- Powoli - rzucił Clements poprzez dym z paleniska. - Sheila i ja utrzymujemy jedynie kontakt intelektualny. Nie żyjemy razem.

- Czym się zajmujesz, Sheila - zapytał Con Malone będący dziś gościem na przyjęciu u syna. W jasnozielonej koszuli i białych luźnych spodniach wyglądał, ku rozbawieniu Scobiego, jak uczestnik uroczystości ku czci świętego

Patryka. Był to prezent urodzinowy od synowej i założył je specjalnie na tę okazję.

- Pracujesz w policji?

- Jestem patologiem w biurze medycyny sądowej.

Spojrzeni na nią wszyscy z zainteresowaniem. Świat się zmienia - pomyśleli. Russ jest jednak szczęściarzem.

Lisa podeszła do leżaka, na którym leżał Scobie. Pochyliła się osłaniając go od innych. - Co cię trapi? Jesteś taki cichy.

- Dzwonił do mnie ojciec O'Briena.

- Czego od ciebie chciał?

- Powiedział, że znów odwiedził go George Bousakis. Pytał co powinien zrobić.

- I co mu powiedziałeś?

Malone nałożył ciemne okulary i ujął rękę Lisy.

- Powiedziałem, że ja kazałbym mu się wypchać.

Miesiąc wcześniej Malone odebrał telefon od nieznanego mężczyzny. Przedstawił się jako ojciec O'Briena. Z początku Malone miał wrażenie, że stoi przed nim kopia Briana. Taka sama podłużna twarz, szeroki uśmiech i bujne włosy.

- Widziałem pana na pogrzebie mojego syna. Nie pokazywałem się, bo nie chciałem żadnych fotografów ani prasy. Mogę od razu przejść do sedna?

- Proszę, panie O'Brien.

- Wiem, że pan znał mojego syna. Napisał do mnie długi list parę dni przed ... przed tym jak został zamordowany, a może sam się zabił? W jego głosie wyraźnie słychać było wątpliwość.

Malone nie miał złudzeń. Harry Danforth odszedł już na emeryturę i opuścił departament. - Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli przyjmimy wersję oficjalną, panie O'Brien.

Skinął głową.

- Tak ... więc dostałem ten list; był napisany w takim duchu, jakby Brian wiedział co go czeka. Wyrażał żal za tym co utraciliśmy i nadzieję, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, to uściśniemy sobie ręce i zapomnimy co było. Prosił

też abym skontaktował się z jego prawnikiem, gdyby coś się stało. Podał mi jego nazwisko. Dopiero teraz go odnalazłem. Okazuje się, że syn zostawił mi cały swój majątek, akcje jakichś firm naftowych i podobne rzeczy. Jestem kierowcą autobusu, pracującym na zmiany i zarabiam pięć setek na tydzień. A teraz on uczynił mnie milionerem.

Malone poczuł przyływ satysfakcji.

- Myślę, że Brian zrobił to z przyjemnością.
- Nie wiem. Są z tym jakieś problemy. Jakaś komisja...
- Narodowa Komisja Kontroli?
- Tak, właśnie to. Chcą zagarnąć co się tylko da. Nie miałbym nic przeciw temu, gdyby Brian dał im wszystko, ale tak ... jestem uczciwym człowiekiem.
- Zamilkł patrząc na Malone'a. - Czy to nie brzmi śmiesznie?
  - Nie, naprawdę nie. Ale dlaczego przychodzi pan do mnie?
  - Ponieważ Brian pisał bardzo dużo o panu. Wspomniał, że znalazł prawdziwego przyjaciela, tyle że trochę za późno. Napisał też o człowieku o nazwisku Bousakis. Radził mi przyjść do pana, gdybym miał z nim jakieś kłopoty.
  - I ma pan?
  - Jeszcze nie. Ale prawnik powiedział mi, że ten Bousakis chce kupić wszystko co należało do Briana. I nikt nie zapłaci mi więcej niż on.
  - I co ma pan zamiar zrobić?
  - Panie Malone. Mam zamiar iść na emeryturę. Jestem już stary. Nie zależy mi na pieniądzu. Kiedy straciłem żonę, zająłem się pracą, aby o tym nie myśleć. Teraz straciłem jedyne dziecko. Chcę zrobić to, czego on sobie życzył.
- Malone patrzył z podziwem na determinację starego człowieka.
- Panie O'Brien, powiem Bousakisowi, by dał panu spokój. Teraz siedząc nad basenem powtórzył to Lisie.
- I znów powiedziałem mu to samo.
- A więc nie ma wygranych?
- Nie ma. Przynajmniej jeśli idzie o pieniądze O'Briena. Szkoda, że nie poda żadnych nazwisk w przesłuchaniach przed NKK, ale nie można mieć wszystkiego.

Lisa popatrzyła na dzieci, potem na niego.

- Ja mam wszystko. - Pochyliła się i pocałowała go w czoło. Potem wstała energicznie, sięgnęła po butelkę wina i dwie szklanki. Nalała do pełna.

Wpatrywał się w nią dziwnym wzrokiem.

- Na co tak patrzysz?

- Ta zielona butelka. Mamy ich więcej? ... Nie? To trzeba zatrzymać ją na pamiątkę. - zamilkł zdając sobie sprawę, jak głupio wystrzełił.

- Nie - pochyliła się i znów go pocałowała. - To ostatnia zielona butelka, kochanie. I mam zamiar ją stłuc, kiedy tylko będzie pusta.